



MONUMENT 14

ODCIĘCI OD ŚWIATA

EMMY LAYBOURNE



MONUMENT 14 ODCIĘCI OD ŚWIATA

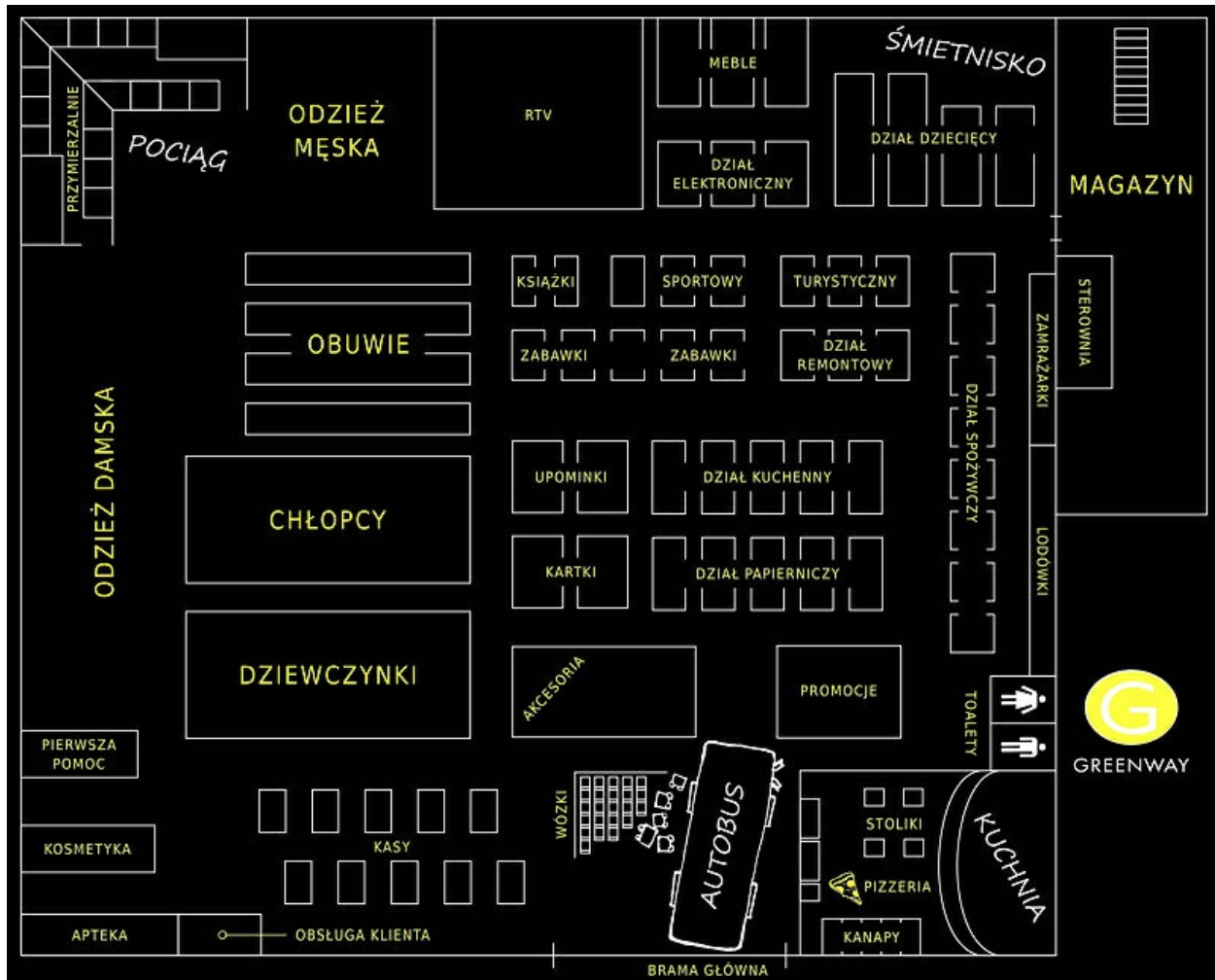
EMMY LAYBOURNE

PRZEKŁAD
MARIA SMULEWSKA



DOM WYDAWNICZY REBIS

Mojemu bratu



Rozdział 1

Stuk

DZIEŃ 1

Twoja matka wrzeszczy, że spóźnisz się na autobus.

Widzi już, jak nadjeżdża. Nie zatrzymujesz się, żeby ją przytulić i powiedzieć jej, że ją kochasz. Nie dziękujesz za to, że jest taka dobra, serdeczna, cierpliwa. Oczywiście, że nie – pędzisz w dół po schodach i mkniesz w kierunku przystanku.

Tylko że jeśli to był ostatni raz, kiedy widziałeś swoją matkę, to jednak jakby trochę żałujesz, że się nie zatrzymałeś i nie zrobiłeś tych wszystkich rzeczy. A może nawet, że nie spóźniłeś się na autobus.

Ale autobus już wjechał w naszą ulicę, więc pobiegłem.

Na podjeździe usłyszałem jeszcze, jak mama krzyczy na mojego brata Aleksa. Jego autobus jechał Park Trail Drive, tuż za moim. Jego przyjeżdżał o 7.09, co do minuty. Mój miał być o 6.57, ale prawie zawsze się spóźniał, jakby kierowca zgadzał się ze mną, że wyjeżdżanie do szkoły przed 7.00 jest po prostu nie fair.

Alex wybiegł za mną i nasze stopy wybijały na chodniku podwójny trampkowy rytm.

– Nie zapomnij, że po szkole jedziemy do Armii Zbawienia – zawołał.

– Jasne – odpowiedziałem.

Kierowca mojego autobusu zatrąbił.

Czasami po szkole wybieraliśmy się zapolować na stare gadzety elektroniczne. Przed kryzysem paliwowym podwoziłem brata na różne kiermasze. Teraz jeździliśmy rowerami.

Do szkoły też go kiedyś podwoziłem. Ale odkąd zaczął się kryzys, wszyscy – nawet maturzyści – przyjeżdżali autobusem. Tak nakazywało prawo.

Wskoczyłem na stopień autobusu.

Usłyszałem jeszcze, jak pani Wooly, która prowadziła autobus uczniów podstawówki, sarkastycznym tonem dziękuje Aleksowi, że zaszczyił ich swoją obecnością.

Pani Wooly była w naszym mieście prawdziwą kobietą instytucją. Szpakowata, rozczochna, śmierdząca jak popielniczka i wygadana. Niesławna i całkowicie oddana idei prowadzenia autobusu, czego nie da się powiedzieć o wszystkich kierowcach.

Natomiast mój autobus, który zawoził nas do liceum, prowadzony był przez chorobliwie otyłego i zupełnie nieprzytomnego pana Reeda. Jedyne, co było o nim wiadomo, to że pije poranną kawę ze słoika po dżemie.

Mimo że nasza podróż do szkoły dopiero się zaczęła, Jake Simonsen, mistrz futbolu i bohater popularności, który siedział z tyłu, już otoczony był swoją świtą. Jake przeniósł się do naszej szkoły z Teksasu rok temu. W Teksasie był prawdziwą gwiazdą, bo tam oczywiście króluje futbol, i po przeniesieniu do naszej szkoły utrzymał, a może wręcz umocnił swoją pozycję.

– Mówię wam: handel! – przekonywał właśnie swoich wielbicieli. – W mojej starej szkole parę lasek sprzedawało napoje, ciasteczka i pieczone ziemniaki. Na każdym meczu. Normalnie zbiły na tym z milion dolarów.

– Milion dolarów? – spytała Astrid.

Astrid Heyman, najlepsza zawodniczka w drużynie pływackiej, wyniosła, dumna królowa, dziewczyna moich marzeń.

– Nawet gdybym mogła zarobić milion dolarów, nie zrezygnowałabym z własnej kariery tylko po to, żeby zapewniać atrakcje fanom futbolu – dodała.

Jake posłał jej swój boski uśmiech.

– Tu nie chodzi o atrakcje, dziunia, tylko o przedsiębiorczość!

Astrid walnęła Jake’a w ramię.

– Au! – jęknął z uśmiechem. – Boże, ale ty jesteś silna. Powinnaś przetrzucić się na boks.

– Mam czterech młodszych braci – prychnęła. – Boks to dla mnie betka.

Zapadłem się w fotel, usiłując uspokoić oddech. Ciemnozielone oparcia ze sztucznej skóry były na tyle wysokie, że jeśli się człowiek trochę zgarbił, mógł niemal zniknąć.

Schowałem się. Miałem nadzieję, że nikt nie skomentuje mojego sprintu do autobusu. Astrid nawet nie zauważyła, że wsiadłem, co miało swoje dobre i złe strony.

Za mną Josie Miller i Trish Greenstein omawiały plany jakiejś demonstracji w obronie praw zwierząt. Były trochę takimi hipiskami-aktywistkami. Prawie ich nie znałem, poza tym, że raz w szóstej klasie chodziłem z nimi od drzwi do drzwi w ramach kampanii popierającej Cory’ego Bookera. W sumie nieźle się wtedy bawiliśmy, ale teraz nawet nie mówiliśmy sobie „cześć”.

Pojęcia nie mam dlaczego. W liceum już jakoś tak jest.

Jedyną osobą, która w ogóle zauważyła moją obecność, był Niko Mills. Pochylił się i skinął w stronę mojego buta gestem w stylu „taki jestem cool, że nawet się nie odzywam”. *Spojrzałem w dół i oczywiście but był*

rozwiązany. Zawiązałem sznurowadło. Powiedziałem „dzięki” i natychmiast wetknąłem sobie do uszu słuchawki, skupiając się na swoim minitapie. Nie miałem Nikowi nic do powiedzenia, a wnioskując z jego zachowania, on też nie miał nic do powiedzenia mnie.

Z tego, co słyszałem, Niko mieszkał z dziadkiem w chacie u podnóża Mount Herman. Podobno polowali, żeby zdobyć jedzenie, nie mieli elektryczności i używali porostów zamiast papieru toaletowego. Czy coś w tym stylu. Ludzie nadali mu ksywę „Dzielny Myśliwy” – całkiem nieźle pasowała do jego szczupłej, żylastej, wyprostowanej sylwetki i zestawu brązowa skóra plus brązowe oczy plus brązowe włosy. Nosił się z pewnego rodzaju sztywną dumą, jaką zaczyna się przejawiać, gdy nikt się do ciebie nie odzywa.

Zignorowałem więc Dzielnego Myśliwego i próbowałem włączyć minitaba. Ale wyglądało na to, że padła bateria, co było dość dziwne, bo przecież odłączyłem go od ładowarki na chwilę przed wyjściem z domu.

Potem usłyszałem to stuk, stuk, stuk. Wyciągnąłem słuchawki, żeby lepiej słyszeć. Stukanie przypominało deszcz, ale było bardziej metaliczne.

A potem stuk, stuk zmieniło się w STUK, STUK, a pan Reed wrzasnął:
– Jezu Chryste!

Nagle w dachu autobusu pojawiły się wgniecenia – ŁUP, ŁUP, ŁUP – a na przedniej szybie pajęczyna pęknieć. Z każdym ŁUP szyba się zmieniała jak na pokazie slajdów – pajęczyna rosła i stawała się coraz bardziej biała, a dziury były już na wylot.

Spojrzałem w okno obok mnie.

Ulicę bombardował grad, lodowe kulki miały bardzo różne rozmiary – od malutkich grudek po wielkość typu to-nie-może-być-grad.

Samochody zupełnie wariowały. Pan Reed, który zawsze miał ciężką nogę, wcisnął gaz zamiast hamulca, czyli dokładnie na odwrót niż pozostali

kierowcy.

Nasz autobus przemknął przez skrzyżowanie, przejechał drugi pas i wylądował na parkingu lokalnego hipermarketu Greenway. Panowały tu niemal zupełne pustki, bo było dopiero piętnaście po siódmej.

Obejrzałem się na Astrid i nagle zacząłem widzieć wszystko w zwolnionym i przyśpieszonym tempie jednocześnie. Autobus wpadł w poślizg i zakręcił się. Wirowaliśmy coraz szybciej, aż żołądek mi podszedł do gardła. Plecy miałem przyciśnięte do szyby. Przez jakieś trzy sekundy kręciliśmy się jak w wesołym miasteczku, po czym walnęliśmy w latarnię i rozległ się metaliczny huk.

Chwyciłem oparcie fotela przede mną, ale i tak poleciałem w powietrze. Inne dzieciaki też. Nie było słychać krzyków, tylko jęki i głuche uderzenia.

Runąłem na bok, ale jakimś cudem walnąłem w dach. Potem zrozumiałem, że to autobus przekręcił się na burtę i tak sunął po asfalcie. Zatrząsł się i zatrzymał.

Grad, który dotąd dawał łupnia dachowi, teraz zaczął dawać łupnia nam.

Ponieważ autobus leżał na boku, lodowe kule wpadały przez okna, bo szyby były raczej słabe. Część moich kolegów z klasy była już przysypana warstwą gradu i szkła z potrzaskanych szyb.

Miałem szczęście. Fotel obok mnie był źle zamocowany, udało mi się go przewrócić i pod nim schować.

Grudki lodu, niektóre małe jak kulki do gry, inne wielkie, nieregularne, były szare od czegoś w środku.

Słysząc było wrzaski i krzyki. Wszyscy próbowali się chować pod obluźowane fotele lub przyciskali do dachu, który był teraz ścianą.

Brzmiało to tak, jakby zasypywała nas lawina kamieni. Miałem wrażenie, że ktoś okłada kijem baseballowym fotel, pod którym się schowałem.

Przechyliłem głowę i spojrzałem na pozostałości przedniej szyby. Przez

białą ścianę gradu na zewnątrz widziałem, że autobus podstawówki – autobus Aleksa – jakimś cudem jedzie dalej. Pani Wooly nie straciła kontroli nad pojazdem tak jak pan Reed.

Jej autobus przejeżdżał właśnie przez parking w kierunku głównego wejścia do Greenwaya.

Pani Wooly chce wjechać do budynku, przemknęło mi przez myśl. I zrozumiałem, że chce w ten sposób schować dzieciaki przed gradem. I udało jej się. Autobus roztrzaskał szklane drzwi hipermarketu i wjechał do środka.

Alex jest bezpieczny, pomyślałem. Dobrze.

Potem usłyszałem smutny, jękliwy dźwięk. Podsunąłem się do przodu i spojrzałem w stronę fotela kierowcy. Przód autobusu był wgnieciony w miejscu, gdzie uderzyliśmy w latarnię.

To pan Reed wydawał ten dźwięk. Utknął za kierownicą, a krew lała mu się z głowy jak mleko z kartonu. Po chwili ucichł. Ale nie mogłem teraz o tym myśleć.

Zamiast tego spojrzałem na drzwi autobusu wciśnięte w chodnik. Jak się wydostaniemy? – myślałem. Nie mamy jak wyjść. Przednia szyba była zasłonięta maską autobusu.

Wszystko było powyginane. Utknęliśmy w zgniecionym, przewróconym autobusie.

Josie Miller wrzeszczała. Pozostałe dzieciaki instynktownie schowały się przed gradem, ale Josie siedziała i wyła pod grudami lodu.

Była cała zalana krwią, ale zrozumiałem, że nie własną, bo próbowała wyciągnąć czyjąś dłoń spomiędzy dwóch zgniecionych siedzeń. Przypomniałem sobie, że przecież obok niej siedziała Trish. Ręka była bezwładna niczym kluska i wyslizgiwała się z dłoni Josie. Trish z całą pewnością już nie żyła, ale do Josie to nie docierało.

Z bezpiecznej pozycji pod przewróconym fotelem ten kretyn Brayden, który zawsze się przechwala, że jego tata pracuje dla NORAD-u, wyciągnął swojego minitaba, żeby nagrać, jak Josie się drze i próbuje złapać śliską rękę.

Olbrzymia gradowa kula uderzyła Josie w czoło i na jej ciemnej skórze pojawiła się różowa rana. Krew zalewała jej twarz.

Wiedziałem, że grad ją zabije, jeśli będzie tak siedziała nieosłonięta.

– Chryste! – Brayden wściekał się na minitaba. – Włącz się wreszcie!

Wiedziałem, że muszę się ruszyć. Pomóc jej. Ruszyć. Pomóc.

Ale moje ciało nie reagowało na polecenia mózgu.

Potem Niko się wychylił, chwycił Josie za nogi i wciągnął pod powyginany fotel. Tak po prostu. Sięgnął, pociągnął ją za nogi i wziął na ręce. Trzymał ją tak, a ona łkała. Wyglądali jak bohaterowie horroru.

To jakoś wyrwało wszystkich z otępienia. Teraz nagle wszyscy próbowali się wydostać. Astrid przeczołgała się na przód autobusu. Próbowała kopniakami odrzucić maskę od szyby. Zobaczyła mnie pod fotelem i krzyknęła:

– Pomóż mi!

Patrzyłem na jej usta. Na kolczyk w nosie. Na poruszające się wargi. Chciałem powiedzieć:

– Nie. Nie możemy wyjść. Musimy zostać tu, gdzie mamy się pod czym schować – ale nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa.

Wstała i krzyknęła na Jake'a i jego grupę:

– Musimy się dostać do hipermarketu!

– Nie możemy wyjść! – udało mi się w końcu wycharczeć. – Grad nas pozabija.

Ale Astrid już była na tyłach autobusu.

– Spróbujcie wyjściem ewakuacyjnym! – krzyknął ktoś. Jake już ciągnął drzwi z tyłu autobusu, ale nie mógł ich otworzyć. Przez chwilę – nie wiem

jak długą – panował zupełny chaos. Poczułem się dziwnie. Jakby moja głowa unosiła się ponad tym wszystkim na długim sznurku od balonu.

A potem usłyszałem zabawny dźwięk. Takie bip-bip-bip, jakby wycofywał się szkolny autobus. Dziwnie było to słyszeć przez dudnienie gradu i wrzaski.

Bip-bip-bip, jakbyśmy byli na parkingu podczas wycieczki do Mesa Verde i autobus się wycofywał.

Bip-bip-bip, jakby wszystko było jak zwykle. Normalnie.

Zmrużyłem oczy i zobaczyłem, że to pani Wooly wycofuje swój autobus w naszą stronę. Znosiło ją dość mocno na prawo i widać było wgniecioną maskę po tym, jak autobus wbił się do hipermarketu. Ale jechał.

Przez dziurę, przez którą patrzyłem, zaczął wlatywać czarny dym. Zaniósłem się kaszlem. Powietrze było ciężkie. Oleiste. Niemiłosiernie piekło mnie w płucach.

Powinienem teraz iść spać, pomyślałem. Nie mogłem się uwolnić od tej myśli. Wydawała się taka logiczna. Powinienem pójść spać.

Krzyki innych stały się głośniejsze:

- Autobus się pali!
- Zaraz wybuchnie!
- Umrzemy!

I pomyślałem sobie: Nie szkodzi. Tak, umrzemy. Ale to nie szkodzi. Wszystko w porządku. Tak powinno być. Wszyscy umrzemy.

Usłyszałem walenie. Uderzenie metalu o metal.

I:

- Ona próbuje otworzyć drzwi!

I:

- Pomocy!

Zamknąłem oczy. Zupełnie jakbym spadał w wodę. Zrobiło mi się tak ciepło. Tak przytulnie.

A potem ostre światło. I zrozumiałem, w jaki sposób pani Wooly udało się otworzyć drzwi awaryjne. W rękach trzymała siekierę.

Usłyszałem, jak wrzeszczy:

– Wsiadać do autobusu.

Rozdział 2

Koce termiczne

DZIEŃ 1

CHCIAŁO MI SIĘ SPAĆ. WIDZIAŁEM, JAK DZIECIAKI PĘDZĄ W STRONĘ pani Wooly. Pomagała każdemu się pochylić, żeby mógł wyjść na czworakach przez drzwi, które otworzyła w poprzek.

Wszyscy krzyczeli, pomagali sobie nawzajem przepchnąć się przez potrzaskane fotele i ślizgali się na gradzie leżącym na podłodze, na krwi zmiażdżonych dzieciaków, na krwi pana Reeda, a może też na oleju albo benzynie, może... A mi było tak ciepło i tak się chciało spać.

Leżałem na samym przedzie autobusu, na ziemi, a czarny dym otaczał moją głowę gęstymi, pełnymi sadzy smugami. Niczym ramionami ośmiornicy.

Niko przebiegł jeszcze cały autobus, żeby sprawdzić, czy nikt nie został. Byłem prawie całkiem schowany pod fotelem, więc mnie nie zobaczył i zaczął się odwracać.

Chciałem mu powiedzieć, że nic mi nie jest. Było mi dobrze i wygodnie i właśnie zamierzałem się zdrzemnąć. Ale tak było daleko... słowom do gardła, a z gardła do ust, że nigdy tam nie dotarły. Byłem już zbyt głęboko.

Niko mnie dostrzegł, chwycił za ręce i zaczął ciągnąć.

– Pomóż mi! – krzyknął. – Odepchnij się nogami!

Próbowałem. Ale były takie ciężkie. Zupełnie jakby należały do słonia. Jakby ktoś mi podmienił całą dolną połowę ciała na wór ołowiu.

Niko z trudem oddychał. Dym był coraz gęstszy. Chwycił mnie za włosy jedną ręką, a drugą trzasnął po gębie.

– Odpychaj się nogami, bo inaczej tu umrzesz! – krzyknął.

Trzepnął mnie po gębie! W głowie mi się to nie mieściło.

Takie rzeczy widuje się na filmach oglądanych na tabie, ale żeby ktoś naprawdę ci to zrobił? To był szok.

No i zadziało. To uderzenie. Wybudził mnie. Wypłynąłem na powierzchnię. Ocknąłem się.

Wylazłem spod fotela i udało mi się stanąć na nogi. Niko zaczął mnie ciągnąć na tył autobusu, ale nie szliśmy między fotelami, tylko po oknach tuż nad nimi, bo autobus leżał przecież na boku.

Grad walił przez okna. Złapał teraz dziwny rytm. Mała grudka, mała grudka, łubudu. Lekko, lekko, z całej siły.

Jedna z tych większych uderzyła Nika w ramię, ale on nawet nie drgnął.

Pani Wooly podjechała tak, że przednie drzwi jej autobusu znajdowały się tuż pod naszymi tylnymi. Niko przepchnął mnie przez wyjście awaryjne. Pani Wooly mnie chwyciła i wciągnęła do swojego autobusu.

Jake Simonsen chwycił mnie za rękę i wciągnął głębiej. Posadził na fotelu. Zakręciło mi się w głowie, zawirowało przed oczami i nim zdołałem cokolwiek zrobić, zwymiotowałem na Jake'a Simonsena. Gwiazdę futbolu. Króla przystojniaków. A moje wymiociny były czarne jak smoła. Nie żartuję. Owsianka i smoła.

– Przepraszam – jęknąłem, ocierając usta.

– Nieważne – mruknął. – Siedź.

Autobus pani Wooly był w o wiele lepszym stanie niż nasz.

W suficie były ogromne wgniecenia. Przednia szyba była prawie zupełnie

– Sześć osób – ciągnął. – Pozwiemy Komisję Edukacji!

U mojego taty w pracy zawsze mają plany na wszelki wypadek. Plany awaryjne. Powinien istnieć taki plan. Powinniśmy zostać przeszkoleni!

Odwróciłem wzrok. Najwyraźniej trochę mu odbijało, ale trudno było mu się dziwić. Miał prawo lekko ześwirować.

Autobus dotarł do hipermarketu. Myślałem, że pani Wooly zatrzyma go przed wejściem i wejdziemy sami, ale nie, po prostu wjechała przez dziurę w szklanych drzwiach, która została po poprzednim razie. I już byliśmy w Greenwayu. W autobusie.

Surrealizm.

Nie widziałem żadnych pracowników Greenwaya, więc uznałem, że pewnie jeszcze nie przyszli do pracy.

Dzieci z podstawówki i gimnazjum siedziały w małej pizzerii Pizza Shack.

Przez okno autobusu zobaczyłem Aleksa. Zrobił krok w naszą stronę, mrużąc oczy, żeby nas dojrzeć. Autobus za- rzeźił i zatrzymał się na lśniącem linoleum. Wysiadła pani Wooly, potem Niko i ja. Rzuciłem się w stronę Aleksa, choć nogi jeszcze nie całkiem mnie słuchały, i przytuliłem go mocno. Ubrudziłem go całego sadzą i wymiocinami, ale było mi wszystko jedno.

Był właściwie dość czysty, zanim go złapałem. Wszystkie mniejsze dzieciaki były czyste. Oczywiście były przerażone, ale pani Wooly udało się uchronić je przed niebezpieczeństwem.

Powinienem tu pewnie wyjaśnić, że w Monumencie podstawówka i gimnazjum znajdowały się tuż obok siebie, więc w niektórych mniejszych dzielnicach, takich jak nasza, mieliśmy tylko jeden autobus, który zbierał uczniów z obu szkół.

I dlatego właśnie w autobusie pani Wooly jechała mieszanina maluchów z podstawówki i gimnazjalistów.

Od pięciolatek po nastolatki wszystkie dzieci wyglądały na całe i zdrowe.

W przeciwieństwie do nas. My wyglądaliśmy, jakbyśmy wrócili z wojny.

Pani Wooly zaczęła wykrzykiwać polecenia.

Jedną gimnazjalistkę imieniem Sahalia posiadała z kilkorgiem mniejszych dzieci do części aptecznej po bandaż, płyny dezynfekcyjne i inne takie. Dwoje dzieci z podstawówki wysłała, żeby napełniły wózek sklepowy wodą, gatorade'ami i ciastkami.

Niko powiedział, że skoczy po koce termiczne, żeby zapobiec szokowi. Patrzył przy tym na Josie i dobrze rozumiałem, co ma na myśli.

Josie zdecydowanie prezentowała się z nas najgorzej. Siedziała otępiała na schodkach autobusu i bujała się w przód i w tył. Krwawienie z rany na czole nie było już tak silne, ale krew zaschła jej na włosach i twarzy w lepkich grudach. Wyglądała naprawdę przerażająco.

Reszta maluchów po prostu stała i gapiała się na Josie, więc pani Wooly wysłała je do pomocy Sahalii. Potem spojrzała na Jake'a i Astrid.

– Pomóżcie mi zanieść ją do pizzerii – powiedziała.

Wspólnie podnieśli Josie i zaprowadzili ją na jedną z kanap.

Usiadłem razem z Aleksem na jednej kanapie. Brayden,

Jake i reszta opadli na inne.

Zaczęliśmy mówić. Głównie: To niemożliwe. To niemożliwe. To niemożliwe.

Mój brat uparcie mnie pytał:

– Dean, jesteś pewien, że nic ci nie jest?

A ja uparcie odpowiadałem, że nie.

Ale coś chyba było nie tak z moimi uszami, bo wciąż słyszałem ten dziwny, rytmiczny dźwięk stuk–stuk–stuk, jakby w kościach utkwilo mi stukanie gradu.

Wróciła Sahalia z maluchami i wózkiem pełnym środków pierwszej pomocy.

Pani Wooly podchodziła do każdego z nas i dawała nam to, co uznała za stosowne.

Głównie skupiła się na Josie. Gwizdnęła złowieszczo nad raną na jej czole.

Czekoladowy odcień skóry Josie sprawiał, że rana wyglądała jeszcze gorzej. Krew zdawała się przez to jaśniejsza.

– Trzeba to będzie zszyć, słonko – powiedziała pani Wooly.

Ale Josie tylko siedziała, gapiąc się przed siebie i kiwając.

Pani Wooly polała ranę wodą utlenioną. Zapieniło się i różowa piana spłynęła po skroni Josie aż na szyję.

Pani Wooly przemyła ranę gazą i posmarowała maścią. Przyłożyła duży kwadrat gazy i obandażowała Josie głowę. Może pani Wooly w młodości była pielęgniarką. Nie wiem, ale wyglądało to dość fachowo.

Wrócił Niko z kilkoma kosmicznymi srebrnymi kocami, jakich używają turyści. Jednym otulił Josie, drugi podał mnie.

– Nie jestem w szoku – zapewniłem.

Patrzył na mnie spokojnie. W wyciągniętej ręce trzymał koc.

Może nieco się trząsnę. I nagle olśniło mnie, skąd ten dziwny, prześladujący mnie dźwięk. To szczęknięcie moich zębów.

Wziąłem koc.

Podeszła do mnie pani Wooly. Miała w ręku nawilżane chusteczki i zaczęła wycierać mi twarz i szyję, a potem obmacała mi głowę.

Wyobrażacie sobie, że pani kierowca szkolnego autobusu wyciera wam twarz chusteczkami dla niemowląt i obmacuje głowę? To był kompletny absurd. Ale wszystko było już inaczej i nikt się nie naśmiewał.

Zginęło mnóstwo ludzi. O mały włos, a my też byśmy zginęli.

Nikommu nie było do śmiechu.

Pani Wooly dała mi trzy tabletki ibuprofenu i syrop na kaszel. A także trzylitrową butelkę wody i kazała wypić, aż do dna.

– Jak twoje nogi? – spytała. – Jakoś dziwnie szedłeś.

Wstałem. Bolała mnie kostka, ale poza tym chyba wszystko było w porządku.

– Nic mi nie jest.

– Przyniosę ci jakieś ciuchy – zaofiarował się Niko. – Możemy się przebrać i umyć.

– Siadaj – nakazała mu pani Wooly.

Opadł powoli na kanapę, kaszląc czarnym smarem na rękaw.

Obejrzała go starannie i wytarła mu twarz i szyję tak jak pozostałym.

– Powiem w szkole, co zrobiłeś – powiedziała do niego cicho. – Zachowałeś się jak prawdziwy bohater, synu.

Niko spurpurowiał i chciał wstać, ale pani Wooly wcisnęła mu w rękę gatorade, kilka tabletek ibuprofenu i butelkę syropu na kaszel.

– Siedź – powiedziała.

Pokiwał głową i znów wykaszłał trochę mazi.

Jake z uporem wciskał przycisk minitaba.

– Wie pani co? Zupełnie nie łapię sygnału – mruknął. – Zupełnie jakby padła bateria, ale wiem na pewno, że jest naładowany.

Jeden po drugim wszyscy wyciągnęli swoje minitaby i próbowali je włączyć.

– Pewnie Sieć padła – stwierdziła pani Wooly. – Ale próbujcie, zaraz się pojawi.

Alex wyciągnął swojego minitaba. Też nie działał i Alex się rozpłakał. To się może wydawać śmiesznie. Nie płakał podczas gradobicia, nie płakał, gdy mnie zobaczył poturbowanego, nie płakał, gdy się dowiedział, ile dzieciaków zginęło w moim autobusie – zaczął płakać, gdy się zorientował, że padła

Sieć.

Ale Sieć nie padała nigdy. Nigdy.

Wszyscy wychowywaliśmy się na reklamach zapewniających, że Łączność Narodowa jest niezawodna. Musieliśmy w to wierzyć, bo wszystkie nasze pliki – zdjęcia, filmy, mejle, wszystko – znajdowały się na wielkich serwerach „w niebie”.

Bez Sieci nie mieliśmy komputerów. Zostały z nich tylko pudełka. Trochę plastiku i metalu na złom wartego może piętnaście dolarów. Czyli nic.

Przecież Sieć jakoby była zabezpieczona tysiącami zapasowych kopii i w ogóle miała być odporna na wszelkie klęski żywiołowe, wojny jądrowe – na wszystko.

– Na litość boską! – zaczął się znów zołdkować Brayden. – Jeśli padła Sieć, to kto nas stąd zabierze? Nie będą nawet wiedzieli, gdzie jesteśmy!

Jake zaczął go uspokajać tym swoim niskim, wyluzowanym tonem. Mówił, że wszystko będzie dobrze.

Ale Alex zsunął się z kanapy i zaczął się drzeć:

– Sieć nie może paść! To niemożliwe. Nie macie pojęcia, i o to znaczy!

Alex był znanym na całą okolicę geniuszem komputerowym. Ludzie, których prawie nie znaliśmy, wpadali do nas nawalającymi tabletami i prosili go, żeby im je zdebugował.

Pierwszego dnia w liceum nauczycielka angielskiego wzięła mnie na stronę, bo chciała koniecznie wiedzieć, czy jestem bratem Aleksa Griedera i czy brat dałby radę rzucić okiem na jej GPS w samochodzie.

Jeśli więc ktokolwiek z nas rozumiał implikacje tego, że padła Sieć, to właśnie Alex.

Pani Wooly chwyciła go za ramiona.

– Grieder Junior –warknęła.– Śmigaj po ciuchy dla Griedera Seniora.

Miała oczywiście na myśli mnie.

– Ale pani nie rozumie – zawodził Alex.

– Śmigaj po ciuchy dla brata. I dla reszty. Weź wózek. Idź już – nakazała mu. – Sahalia, idź z nim i znajdź coś dla dziewczyn.

– Nie znam przecież ich rozmiarów – zaprotestowała Sahalia.

– Pójdę z tobą – powiedziała Astrid.

Pani Wooly otworzyła usta, żeby kazać Astrid usiąść, ale je zamknęła. Znała swoich podopiecznych. Wiedziała aż za dobrze, że Astrid nie pozwoli sobie mówić, co ma robić.

Astrid, Alex i Sahalia poszli.

Piłem wodę.

I bardzo się starałem już nie wymiotować.

Kilkoro maluchów wciąż walczyło z minitabami. Przyciskały je i przekrzywiały główki, zdumione, że urządzenia się nie włączają. Czekwały, czekały.

Zupełnie nie mogły zrozumieć, co się, do licha, dzieje.

Dziwnie było przebierać się z Braydenem i Jakiem w toalecie. Przecież nie kumplowałem się z nimi. Jake był maturzystą. Brayden chodził do drugiej klasy, tak jak ja. Ale obaj należeli do drużyny futbolowej i byli napakowani. Ja nie.

Jake zawsze mnie tylko ignorował, ale Brayden był po prostu podły.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie wejść do kabiny i tam się nie przebrać. Brayden zauważył, że się waham.

– Nie panikuj, Geraldine – powiedział. – Jeśli się wstydzisz, nie będziemy patrzeć.

Dean – *Geraldine. Kumacie?*

Zaczął mnie tak przezywać jeszcze w podstawówce.

Potem, gdy już byliśmy w gimnazjum, zaczął się przyczepiać do moich włosów. Ze niby potrzebują „stylizacji”. Pluł sobie na dłonie i wsmarowywał mi ślinę we włosy, jakby to był żel. Pod koniec roku już pluł mi prosto na głowę i wcierał ręką.

Stylowo.

Z tego, co wiedziałem, dziewczyny uważały go za przystojniaka. Miał oliwkową cerę, która zawsze wydawała się opalona, brązowe, falujące włosy i bardzo gęste brwi, trochę w typie neandertalczyka jak dla mnie, ale dziewczynom chyba się zdawało, że wygląda dzięki nim groźnie i intrygująco. W każdym razie zawsze gdy się pojawiał, zaczynały szczebiotać i krygować się w ten charakterystyczny sposób, przez który nabierałem przekonania, że nienawidzę całego świata.

Jednym słowem chcę powiedzieć, że nie kumplowałem się z Braydenem.

Nie wszedłem do kabiny. Zrzuciłem tylko brudną koszulki, i dzinsy i zacząłem się myć w umywalce.

– Ten grad był nienormalny, nie? – powiedział Jake.

– Zupełnie porąbany – dodał Brayden.

– Zupełnie – zgodziłem się.

– No.

Jake spytał mnie o wyjątkowo paskudny obrzęk, który miałem na ramieniu po uderzeniu lodowej kuli.

– Naprawdę boli – powiedziałem.

– Nic ci nie będzie, Dean – odparł Jake i klepnął mnie w ramię. Co też zabolalo.

Może po prostu się zapędził w swoim nagłym optymizmie. A może próbował być opiekuńczym przywódcą. Było mi wszystko jedno, czy to z jego strony tylko ścierna czy nie. Dobrze było przez chwilę czuć się normalnie.

– Hej, Jake – rzuciłem. – Sorki, że cię obrzygałem.

– Nie ma o czym mówić, chłopie – zapewnił.

Rzuciłem mu bluzę, którą znalazł mi Alex na wieszakach

Greenwaya.

– Masz – powiedziałem. – Wybrałem to specjalnie dla ciebie. Pod kolor oczu.

Jake zaśmiał się zaskoczony. Tego się nie spodziewał. Brayden też wybuchnął śmiechem.

A potem nasz śmiech tak się rozkręcił, że zupełnie wymknął się nam spod kontroli, aż krztusiliśmy się i ocieraliśmy łzy.

A mnie od tego rozboleło gardło wciąż piekące od dymu. Jake, Brayden i ja śmialiśmy się i śmiali.

Gdy już się przebraliśmy, pani Wooly zwołała spotkanie.

– Jest pewnie koło ósmej albo dziewiątej – powiedziała. – Sieć wciąż nie działa i martwię się trochę o Josie. Obawiam się, że jest w szoku i dojdzie do siebie dopiero za dzień czy dwa. Ale może to coś poważniejszego.

Spojrzeliliśmy na Josie, które patrzyła na nas z dziwną, nieobecną miną, jakby nas kojarzyła, ale nie pamiętała skąd.

– Zrobimy tak – ciągnęła pani Wooly. – Pójdę na pogotowie i sprowadzę pomoc.

Na co mała, pulchna dziewczynka imieniem Chloe zaczęła płakać.

– Chcę do domu – zawodziła. – Niech nas pani zabierze do domu! Chcę do babci!

– Nie marudź – zganiała ją pani Wooly. – Autobus złapał dwie gumy. Nie dam rady was nim zabrać. Wrócę w try miga.

Chloe nie wyglądała na zachwyconą, ale pani Wooly ciągnęła niezrażona:

– Pamiętajcie, że wasi rodzice będą musieli zapłacić za wszystko, co stąd weźmiecie, więc nie przesadzajcie. To nie Hoże Narodzenie. Postanowiłam,

że Jake Simonsen będzie miał na was oko, jak mnie nie będzie. Póki nie wrócę, on tu rządzi. A teraz Sahalia i Alex pójdą z maluchami, żeby pomóc im wybrać jakieś dobre gry i puzzle z działu z zabawkami.

Maluchy strasznie się ucieszyły, szczególnie Chloe, która zaczęła skakać i klaskać pulchnymi rączkami. Wyglądała na lekko niestabilną emocjonalnie. I działała mi na nerwy.

Sahalia westchnęła poirytowana i wstała.

– Dlaczego my mamy wszystko robić? – zaczęła narzekać.

– Bo wasi koledzy otarli się dziś o śmierć, a wy nie – warknęła pani Wooly.

Dzieciaki z podstawówki ruszyły więc do działu z zabawkami pod wodzą Sahalii i Aleksa.

– Słuchajcie – zwróciła się pani Wooly do starszych dzieci, gdy tylko zniknęły maluchy. – Pogotowie nie jest daleko. Pewnie dojdę tam w pół godziny, może godzinę. Potem pewnie zabiorę się z nimi, więc powinnam wrócić dość szybko. Pilnujcie, żeby Josie piła, i co jakiś czas pytajcie ją, który mamy rok. Jak ma na imię. Jaki... no nie wiem, cokolwiek... jakie napoje lubi. Jakie ciastka. Coś w tym stylu.

Poprawiła dłonią siwe włosy. Jej wzrok prześlizgnął się po wejściu do hipermarketu i potrzaskanych szklanych drzwiach.

– Jeśli ktoś się pojawi, nie wychodźcie z nikim, tylko z rodzicami. Obiecujcie mi. Teraz to ja jestem za was odpowiedzialna. I... do tego pewnie nie dojdzie... ale gdyby wybuchły jakieś zamieszki czy ktoś by szabrował, zagońcie wszystkie dzieciaki do pizzerii i trzymajcie się razem. Nastolatki po zewnętrznej stronie, maluchy w środku i trzymajcie się razem. Rozumiecie?

Teraz już wiedziałem, dlaczego posłała młodsze dzieciaki do działu z zabawkami. Nie chciała, żeby wiedziały o ryzyku.

– Dobrze, proszę pani, a co mamy zrobić, jeśli przyjdą pracownicy sklepu?

– spytał Jake i wskazał na zniszczony autobus stojący pośród pustych wózków przy wejściu. – Będą wściekli.

– Powiedzcie im, że to była sytuacja awaryjna i że szkoła pokryje wszelkie straty.

– Mogę przygotować jakiś obiad, jeśli będzie trzeba – odezwała się Astrid.

– Wiem, jak włączyć piekarniki w tej pizzerii, bo pracowałam tu latem.

Oczywiście wiedziałem, że pracowała w Greenwayu. Tego lata sporo czasu spędziłem na zakupach w hipermarkecie.

– Ciepły posiłek! – ucieszyła się pani Wooly. – Dobry pomysł!

Maluchy wróciły z grami planszowymi.

Pani Wooly zaczęła się szykować do wyjścia.

Poszedłem do działu papierniczego i wybrałem sobie pióro za osiem dolarów i najładniejszy, najdroższy notatnik, jaki był na półce. Usiadłem i zacząłem pisać. Musiałem opisać gradobicie, póki miałem je świeżo w pamięci.

Zawsze lubiłem pisać. Tak jakoś jest, że jak się coś opisze,

To od razu się wydaje, że wszystko jest w porządku. Siadam zestresowany, a gdy wstaję od pisania, wszystko jest z powrotem na swoim miejscu.

Lubię pisać ręcznie w prawdziwym notatniku. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale jakoś inaczej mi się myśli, niż kiedy stukam w tablet. Wiem, że pisanie ręczne czegokolwiek poza krótką notatką jest dziwaczne, skoro przecież już w przedszkolu liczą nas pisać na tabletach.

Brayden zauważył, co robię, i gapił się na mnie przez chwilę.

– Pisziesz ręcznie, Geraldine? – syknął. – Ty to jesteś szurnięty.

Wszyscy zebraliśmy się przy wyjściu, żeby pożegnać panią Wooly. Niebo było znów jasnoniebieskie. Tak jak zawsze powtarzała mama: „Niebo nad Kolorado jest nie do pobicia”.

Na ziemi leżała półmetrowa warstwa gradu. Wszędzie. Jeśli gdzieś był

spadek terenu, grad zgromadził się tam w wielkich zaspach.

Można by pomyśleć, że fajnie by było się nim pobawić – jakby to były wielgachne kulki do zabawy. Ale kawałki lodu były ostre i sterczały z nich kamienie i gałazki. Były brudne i zimne i nikt nie miał ochoty się bawić. Zostaliśmy w sklepie.

Na parkingu stało kilka samochodów. Wyglądały absurdalnie – powyginane, jakby jakiś olbrzym postukał w nie młotkiem. Autobus pani Wooly był znacznie mniej zniszczony.

– Jeśli wszystkie samochody tak wyglądają – mruknął Alex – to będziemy musieli iść do domu na piechotę.

Pomyślałem, że można by od razu pójść do domu. Wystarczy, że poczekam, aż pani Wooly się oddali, i będę mógł sobie iść. Ale kazała nam zostać, więc tak zrobiłem, a poza tym Astrid Heyman była w Greenwayu, a nie w nudnym, takim samym jak wszystkie inne domu na Wagon Trail Lane.

W naszej dzielnicy wszystkie nazwy ulic były w tym stylu: Wagon Gap Trail, Coyote Valley Court, Blizzard Valley Lane...

Szczerze mówiąc, jakoś nigdy, gdy szedłem naszą ulicą, nie zwidziało mi się nagle, że jestem na prerii i właśnie idę polną drogą. Pojęcia nie mam, co miał na myśli deweloper, gdy wymyślał te bzdurne nazwy.

Gdzieś w oddali słychać było syreny. W paru miejscach unosiły się smugi dymu. Z naszego autobusu wciąż się dymiło, więc łatwo zgadłem, skąd się biorą pozostałe.

Pamiętam, że pomyślałem sobie, że nasze miasto naprawdę dostało w kość. Zastanawiałem się, czy dostaniemy jakąś pomoc od National Crisis. Miałem przed oczami ludzi z San Diego, jak odbierali paczki z ubraniami, zabawkami i jedzeniem po trzęsieniu ziemi w '21. Może teraz my będziemy takie dostawać i nasze miasto zaleją tłumy dziennikarzy.

Pani Wooly wzięła ze sklepu tylko paczkę tanich papierosów i kalosze do

kolan.

Podszedł do niej Brayden.

– Proszę pani, mój tata pracuje dla NORADU-u. Gdyby udało się pani z nim skontaktować, na pewno wysłałby po nas vana czy coś.

Chyba tylko ja przewróciłem oczami. Chyba.

– Dobra myśl, Braydenie – powiedziała swoim ochryłym głosem pani Wooly. – Wezmę taką możliwość pod uwagę.

Obrzuciła nas wzrokiem.

– Macie się słuchać Jake'a. On tu teraz dowodzi. Astrid. Zrobi wam na obiad pyszną pizzę.

Wyszła przez resztki drzwi na parking. Zrobiła kilka kroków, a potem nagle skręciła w prawo, wpatrując się w coś, czego nie widzieliśmy. Wzdrygnęła się, jakby powstrzymywała wymioty.

Potem odwróciła się w naszą stronę i stanowczo powiedziała:

– Wracajcie do środka. No już! Nie wychodźcie na zewnątrz. Tu nie jest bezpiecznie. Do środka. Zabierzcie się do tego obiadu.

I zaczęła nas zaganiać rękami.

Miała taki autorytet, że wszyscy posłusznie się wycofaliśmy.

Ale kątem oka zarejestrowałem, że Jake się wychyla, żeby zobaczyć to co ona.

– Ty też, Simonsen – warknęła pani Wooly. – To nie cyrk. Wracaj do środka.

Jake podszedł do nas, drapiąc się po głowie. Jakby trochę zbladł.

– Co jest? – spytał Brayden. – Co tam się dzieje?

– Jakieś ciała. Chyba kilku pracowników Greenwaya – powiedział Jake cicho. – Nie wiem, dlaczego wyleźli na zewnątrz w czasie gradobicia, w każdym razie nie żyją. Zmiażdżyło ich. Wszędzie sterczą kości. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. Może poza tym bałaganem, który był w

autobusie. – Wziął głęboki wdech i zadrżał. – Jedno wam powiem – dodał, patrząc na mnie i na Braydena – póki ona nie wróci, zostajemy w środku.

Rozdział 3

Bramy

DZIEŃ 1

– KTD LUBI PIZZĘ? – KRZYKNEŁA ASTRID.

Maluchy odpowiedziały entuzjastycznym chórem „ja”, a ich ręce wyskoczyły w górę, jakby to był konkurs, kto wyżej podniesie rękę.

– Pizza! Pizza! – krzyczały radośnie.

Ich entuzjazm był zaraźliwy, a Astrid wyglądała naprawdę, pięknie, gdy tak z nimi rozmawiała, wysłuchując cierpliwie, jakie są ich ulubione rodzaje pizzy, a podmuch powietrza rozwiewał jej włosy i rumienił policzki.

To nie to, że nagle zapomniałem o całej tragedii i zniszczeniach w mieście – dalej zamartwiałem się o rodziców i przyjaciół i o to, czy nic im się nie stało podczas gradobicia – ale muszę przyznać, że cieszyło mnie, że mogę być blisko Astrid.

Moja mama wierzyła, że człowiek sam przynosi sobie szczęście. Nad kuchenką powiesiła nawet ten MANIFEST wypisany staromodnymi, bordowymi literami. Ogólnie chodziło jej o to, że jeśli się o czymś wystarczająco intensywnie myśli i marzy – jeśli się sobie to dość długo wyobraża – w końcu się to stanie.

Ale choćbym nie wiem ile razy wyobrażał sobie Astrid Heyman trzymającą mnie za rękę i szepczącą mi coś zabawnego, szalonego i

skandalicznego do ucha, ona wciąż nawet nie wiedziała o moim istnieniu. Szczerze, nawet marzenie o marzeniu o Astrid było dla takiego gościa jak ja – znajdującego się tak nisko na drabinie społecznej Cheyenne Mountain High – zupełnie idiotyczne. Na dodatek ona była w klasie maturalnej, a ja dopiero w drugiej. Nie miałem szans.

Astrid była niesamowicie piękna – lśniące blond loki, oczy błękitne jak czerwcowe niebo, lekko zmarszczone brwi, zawsze na granicy uśmiechu, mistrzyni drużyny pływackiej. Na olimpijskim poziomie.

Szkoda gadać, Astrid była na olimpijskim poziomie pod każdym względem.

A ja nie. Należałem do tych nieszczęśników, którzy zbyt długo pozostali niscy. Wszyscy inni wystrzelili nagle w górę w gimnazjum, a ja wciąż byłem wzrostu dziecka. To były lata „stylizacji” w wykonaniu Braydena. W zeszłe wakacje niespodziewanie podrosłem dobre kilkanaście centymetrów. Mama z zachwytu kupowała mi nowe ciuchy chyba co drugi tydzień. Stawy bolały mnie po nocach i czasami chrupało mi w kościach, jakbym był staruszkiem.

Wróciłem do szkoły z pewną nadzieją, że skoro teraz jestem średniego wzrostu – a może nawet powyżej średniej – to mogę wskoczyć na łono szkolnej społeczności na... hm... wyższym poziomie. Wiem, że to żalosne tak się zamartwiać popularnością w szkole, ale weźcie pod uwagę, że miałem bzika na punkcie Astrid już od bardzo, bardzo dawna. Chciałem być jak najbliżej niej i wydawało mi się, że jedyny sposób, żeby to osiągnąć, to dołączyć do kręgu jej znajomych.

Myślałem sobie, że wzrost załatwi sprawę. Tak, byłem chudy jak patyk, ale jednak poprawiły się moje walory zewnętrzne. Zielone oczy – duży plus. Włosy ciemny blond – nieźle. Wzrost – nie ma problemu. Budowa ciała – wymaga poważniejszych zmian. Okulary – denerwujące, ale od soczewek dostawałem zapalenia spojówek, co wyglądało jeszcze gorzej niż okulary, a

nie można zrobić korekcji laserowej, dopóki się rośnie, więc to na razie odpadało. Zęby i cera – znośne. Ubrania – nieco znoszone, ale i tu sytuacja wyglądała lepiej.

Myślałem więc sobie, że mam może jakieś szanse, ale jak dotąd cała komunikacja między nami sprowadzała się do tych dwóch słów, które powiedziała do mnie w autobusie: *Pomóż mi*.

A ja nie pomogłem.

Poszliśmy z powrotem do pizzerii, Astrid włączyła piekarnik i maszynę do robienia *slushie*.

Josie dalej siedziała na kanapie otulona kocem. Ruszyłem w stronę automatu z napojami, żeby wziąć jej coś do picia, ale zorientowałem się, że już ma przed sobą na stole dwie butelki gatorade'a i wodę.

Maszyna do *slushie* była zbyt wysoko dla małych dzieci, więc gdy zobaczyłem, jak podskakują uroczo, acz rozpaczliwie, żeby dosięgnąć do rączki, poszedłem i zaproponowałem, że zrobię każdemu napój.

Ucieszyły się.

Nie wiedziały, że można łączyć różne smaki, więc niezwykle się ekscytowały różnokolorowymi napojami, które im zaserwowałem.

– To najlepsze *slushie*, jakie w życiu piłem! – wykrzyknął rozczochrany pierwszoklasista imieniem Max. Włosy mu rosły jakoś tak, że sterczały na czubku głowy jak mały, jasny wachlarz. – A ja się znam na *slushie*, bo mój tata jest kierowcą ciężarówki i zawsze mnie zabiera ze sobą w trasę – ciągnął. – Piłem *slushie* chyba w każdym stanie. Raz tata zerwał mnie ze szkoły na tydzień i prawie dojechaliśmy do Meksyku, ale potem zadzwoniła mama i powiedziała, że albo tata zaraz odwiezie mnie z powrotem, albo ona zawoła gliny!

Podobał mi się ten Max. Lubię dzieciaki, które niczego nie ukrywają.

Jeden dzieciak był Latynosem. Oszacowałem go tak na pierwszą klasę, ale

może był dopiero w zerówce. Pulchny, wyglądał na pogodne dziecko.

– Jak masz na imię? – spytałem.

Tylko się uśmiechnął. Zamiast jedynek miał u góry dużą dziurę.

– *Cómo se llama?* Imię?

Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak:

– Juli syn.

– Jaki syn jakiej Juli? – wybąkałem.

– Juli syn – potwierdził, kiwając głową.

– Tak ma na imię twoja mama?

– Nie, nie – powiedział.

– Ma na imię Ju–lis–sys – wyjaśnił mi usłużnie Max. – Jest ze mną w pierwszej klasie.

– Julissys – powtórzyłem.

Meksykański dzieciak znów wymówił swoje imię.

I nagle zaskoczyłem:

– Ulysses! On ma na imię Ulysses!

Hiszpańska wymowa jest naprawdę zupełnie inna niż angielska, słowo daję.

Ulysses ucieszył się, jakby wygrał na loterii.

– Ulysses! Ulysses!

Małe zwycięstwo – już znałem jego imię.

Chloe była z trzeciej klasy i to ona zaczęła jęczeć, gdy pani Wooly powiedziała, że pójdzie po pomoc. Chloe była pulchna, upalona i bardzo energiczna. Zrobiłem jej *slushie* w niebiesko–czerwone paski, bo tak sobie zażyczyła. Okazało się jednak, i nic są dość dobre.

– Paski są za grube! – skrytykowała. – Chciałam, żeby wyglądały jak na ogonie szopa.

Ale zrobić *slushie* z cienkimi paskami jest okropnie trudno, o czym się

przekonałem po pięciu czy sześciu próbach.

Podałem Chloe najbardziej udaną wersję.

– Wcale nie wygląda jak ogon szopa – stwierdziła i smutkiem pokręciła głową jak nauczycielka, która ma do czynienia z beznadziejnym uczniem.

– Lepszego nie potrafię zrobić – powiedziałem.

– No dobrze. – Westchnęła. – Skoro to najlepsze, co umiesz.

Wiedziałem już, że z tej Chloe jest niezłe ziółko.

Bliźniaki McKinley były z naszej dzielnicy. Czasami odgarnialiśmy śnieg z ich podjazdu, bo ich mama chyba była sama. Płaciła nam za to dwadzieścia dolarów, czyli całkiem niezłe.

Oboje mieli rude włosy i piegi – tyle piegów, że prawie nie było widać skóry, czasem tylko prześwitywała odrobina białego tam, gdzie piegi były rzadsze.

Mieli zaledwie pięć lat, więc byli najmłodszy, a na pewno najniższy. Ich mama też była niska, ale te dzieciaki to istne drobiazgi. Sięgały mi trochę nad kolano. Żadne z nich nie mówiło wiele, ale Caroline chyba więcej niż Henry. Oboje byli przesłodcy, że tak użyję ulubionego słówka dziewczyn i samotnych ciotek.

Nie mogę powiedzieć, że najlepsze zostawiłem sobie na koniec, bo Batiste, jedyny drugoklasista, był nieznośny. Miał nieco azjatycką urodę i lśniąca, czarne włosy obcięte tuż przy skórze, tak że wyglądały jak szczotka.

Najgorsze, że pochodził z niezwykle religijnej rodziny i miał się za autorytet w sprawach grzechu. Słyszałem już, jak gani Braydena („Wzywianie Pana Boga na daremno to grzech!”), czepia się Chloe, że popchnęła Ulyssesa („Przepychanie się to grzech!”), i informuje wszystkie maluchy, że niepomodlenie się przed posiłkiem to grzech („Bóg nakazał nam, grzesznikom, dziękować za jedzenie!”).

Nieustannie wszystkich obserwował i tylko czekał, aż ktoś coś spieprzy.

Mówię wam, przeuroczy maluch. Domyślam się, że lekkie zadufanie nie było wśród jemu podobnych uważane za grzech.

Z autobusu podstawówki byli jeszcze mój brat Alex i Sahalia.

Sahalia wyglądała bardzo dojrzałe jak na gimnazjalistkę.

Miała też świetne wyczucie mody. Nawet ja – czyli ktoś, kto aż do drugiej klasy gimnazjum chodził do szkoły wyłącznie w bluzach – potrafię rozpoznać kogoś, kto ma styl. Tego dnia, gdy wszystko szlag trafił, miała na sobie obcisłe dzinsy spięte z jednej strony agrafkami i skórzaną kamizelkę nałożoną na bluzkę bez rękawów. Do tego skórzaną kurtkę – taką o wieli za dużą, z podszewką w czerwonej kratkę. Była ode mnie trzy lata młodsza, ale znacznie bardziej *cool*.

Dużo ludzi jest bardziej *cool* niż ja. Nie brałem więc tego do siebie.

Wydaje mi się, że zdążyła już pobuszować w dziale kosmetyków. Słowo daję, że kiedy przyjechaliśmy do hipermarketu nie miała makijażu. Teraz jednak oczy miała podkreślone czarną kredką, a jej usta były bardzo czerwone.

Kłęczała na kanapie tuż za tą, na której siedzieli Brayden i Jake. Patrzyła jak gdyby nigdy nic, jak jedzą, i starała się wyglądać, jakby należała do paczki. Był to rodzaj bocznego podejścia do towarzystwa. Staraj się być jak najbliżej, a może cię zaproszą.

Ale nie zadziało.

Brayden podniósł wzrok i powiedział:

– Próbujemy rozmawiać. Przesunęłabyś się?

Sahalia ześlizgnęła się zgrabnie z kanapy i poszła kręcić się przy Astrid. Zrobiła to zupełnie na luzie. Jakby od początku miała zamiar podejść do baru. Byłem pod wrażeniem jej swobodnej postawy.

Niko jadł sam.

Pewnie powinienem zaprosić go do stolika, przy którym jadłem z

Aleksem, ale zanim uporałem się z napojami dla wszystkich i pięcioma poprawkami dla Chloe, pizza była już gotowa. Byłem tak głodny, że zapomniałem o manierach.

Pochłonałem z bratem pierwsze kawałki naszej pizzy. Kwadratowe, ciężkie ciasto z Pizza Shack nigdy jeszcze nie miało tak wybornego smaku. Oblizalem czerwony sos z palców, Alex wstał, żeby pójść po dokładkę.

Nim wrócił, zająłem się Josie.

Ciągle siedziała na swojej kanapie plecami do ściany. Pani Wooly otarła jej twarz i ręce, ale wciąż miała zaschniętą krew na całym ciele, a koc przykleił się w kilku miejscach. Nadal była ubrana w swoje stare ciuchy. Zrobiło mi się głupio. My sobie siedzimy i zajadamy pyszną pizzę, a ona najwyraźniej wciąż jest w autobusie.

Wziąłem pizzę i usiadłem przy jej stoliku.

– Josie – powiedziałem cicho. – Mam dla ciebie trochę pizzy. No, Josie. Jak zjesz, to się lepiej poczujesz.

Popatrzyła na mnie i pokręciła głową. Jeden z jej żyrafich koczków rozplątał się i włosy zwisały jak złamana gałązka.

– Weź choć gryzą – nalegałem. – Jednego, a zostawię cię w spokoju.

Odwróciła twarz do ściany.

– Zostawię to na wypadek, gdybyś zgłodniała – dodałem.

Astrid wyciągnęła z piekarnika wielką tacę z pizzą pepperoni. Wciąż byłem trochę głodny, więc podszedłem do baru.

– Lubisz pepperoni? – spytała.

Serce mi waliło.

– No – powiedziałem. Klasa.

– Proszę bardzo – odparła, kładąc mi kawałek na papierowym talerzyku.

– Dzięki – powiedziałem. Naprawdę klasa.

Potem odwróciłem się i odszedłem.

I tak wyglądała moja druga rozmowa z Astrid. Tym razem przynajmniej reagowałem.

Szedłem z powrotem na kanapę, gdy usłyszeliśmy łomot.

Grzechoczący huk.

– Co to? – wyjąkał Max.

Trzy ciężkie metalowe bramy zsuwały się, zasłaniając wyjście ze sklepu. Jedna, druga, trzecia zjeżdżały obok siebie.

Dwa boczne zakryły okna. Środkowa była nieco większa i zakryła całą dziurę, która jeszcze dziś rano była rozsuwanymi drzwiami.

Brama miała otwory, więc nadal mogliśmy oddychać i widzieć co się dzieje na zewnątrz, ale i tak było to przerażające.

Właśnie odcinano nas od świata.

Maluchy wpadły w panikę.

– Co się dzieje?

– Jesteśmy w pułapce!

– Chcę do domu!

I tym podobne.

Niko tylko stał i patrzył, jak bramy opadają.

– Trzeba coś tam podłożyć. Żeby móc je potem podważyć! – krzyknął Jake.

Chwycił wózek i pchnął pod główne drzwi.

Ale wypchnęła wózek i dalej opadała.

Gdy bramy zupełnie się zsunęły, rozległ się głośny, złowieszczy szcęk.

– Jesteśmy odcięci od świata – powiedziałem.

– Świat jest odcięty od nas – stwierdził cicho Niko.

– Dobra – zawołał Jake, klaszcząc w dłonie. – To kto mnie nauczy grać w węże i drabiny, dzieciaki?

Alex podszedł do mnie i pociągnął za koszulę.

– Dean – szepnął – może byśmy zajrzeli do działu RTV, co?

Wszystkie bigtaby w dziale RTV oczywiście były do niczego. Działały, tylko jeśli łapały Sieć, tak jak nasze minitaby. Ale Aleksowi udało się znaleźć jeden staromodny płaski telewizor. Wisiał z boku, nisko, tuż nad podłogą.

Nigdy jakoś nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś miałby kupować zwykły telewizor, skoro bigtaby były tylko odrobinę droższe, a można było na nich i oglądać telewizję, i wysyłać wiadomości, szukać informacji, używać Skype'a, grać w różne gry i robić milion innych fajnych rzeczy. Każdy duży sklep miał jednak w swojej ofercie kilka telewizorów i dopiero teraz to doceniłem. Działały także bez Łączności Narodowej. Wyłapywały sygnał telewizyjny. I choć obraz był cały w paski i pełen zakłóceń, wpatrywaliśmy się niego zachłannie.

Alex włączył CNN.

Pojawiły się pozostałe dzieciaki. Pewnie przyciągnął je dźwięk działającego sprzętu.

Byłem pewien, że relacja z gradobicia będzie kluczową informacją. Ale nie.

Nasz mały grad to było nic.

Na ekranie dwoje prezenterów mówiło bardzo spokojnie, ale widać było, że kobieta jest wstrząśnięta. Chyba przed chwilą płakała. Makijaż miała rozmazany wokół oczu i nie mogłem pojąć, dlaczego nikt jej tego nie poprawił. Przecież to CNN, na litość boską.

Mężczyzna w niebieskim garniturze zapowiedział, że zrelacjonuje w skrócie wydarzenia na wypadek, gdyby ktoś dopiero teraz zaczął oglądać wiadomości. Jak dla nas idealnie.

Powiedział, że na wyspie La Palma na Kanarach wybuchł wulkan.

Na ekranie za prezenterami pojawiły się drżące, wyraźnie trzymane ręką zdjęcia spowitej dymem ognistej góry.

Kobieta z beznadziejnym makijażem dodała, że z powodu erupcji całe zachodnie zbocze wyspy wyleciało w powietrze.

Do oceanu trafiło pięćset miliardów ton skał i lawy.

Nie mieli nagrań z tego wydarzenia.

Niebieski Garnitur powiedział, że wybuch wywołał „megatsunami”.

Falę wysoką na osiemset metrów.

Przemieszczającą się z prędkością dziewięciuset sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Beznadziejny Makijaż powiedziała, że megatsunami rosło, zbliżając się do wybrzeża Stanów. Potem przestała mówić.

Głos uwiązał jej w gardle i relację przejął Niebieski Garnitur.

Megatsunami uderzyło we Wschodnie Wybrzeże o 4.43 rano czasu górskiego.

Boston, Nowy Jork, Charleston, Miami.

Zalało wszystkie miasta.

Nie sposób na razie oszacować liczby ofiar.

Siedziałem zupełnie otepiały.

Był to najgorszy kataklizm w historii.

Największy wybuch wulkanu w historii.

Największe tsunami w historii.

Pokazali trochę materiałów.

Wszystko rozgrywało się tak szybko, że musieli pokazywać to w zwolnionym tempie, żeby w ogóle dało się zobaczyć, co się dzieje.

Ujęcie Empire State Building z ulicy i nadciągającej wysokiej chmury, coraz bliżej, klatka po klatce – tylko że to nie była chmura. To była ściana wody. A potem pustka na ekranie.

Plaża i patrzymy na wodę, tylko że już jej nie ma. Została pusta łódka na dnie oceanu jakiś kilometr dalej i w tle głos modlący się do Jezusa, a potem kamera się trzęsie, trzęsie i fala tak wysoka, że kamerka w minitapie jej nie obejmuje. Potem ciemność.

Chloe powiedziała, że chce oglądać telewizję dla dzieci. Zignorowaliśmy ją.

Beznadziejny Makijaż poinformowała, że Łączność Narodowa szwankuje, ponieważ trzy z pięciu ośrodków satelitarnych znajdowały się na Wschodnim Wybrzeżu.

Niebieski Garnitur powiedział, że prezydent ogłosił stan wyjątkowy oraz że miejsce jego pobytu jest utajnione.

Patrzyliśmy w ciszy. Prawie.

– Przełącz na Tabi–Teens – jęczała Chloe. – To jest nudne!

Spojrzałem na nią. Naprawdę nic nie kumała. Bezmyślnie skubała naklejkę z półki z minitabami.

Żadne z maluchów chyba nie rozumiało, co jest grane. Wałęsały się wokół znudzone.

Nie mogłem oderwać wzroku od ekranu. Nie miałem teraz głowy do dzieci.

Zalała mnie szarość. Otepienie. Jakbym skamieniał.

Beznadziejny Makijaż wyjaśniła, że megatsunami spowodowało silne zaburzenia meteorologiczne w „pozostałej części kraju”. Głos jej się załamał na „pozostałej części kraju”. Wspomniała coś o jakichś superkomórkach burzowych. Ze coś takiego przetoczyło się nad Górami Skalistymi (czyli nad nami).

Spojrzałem na Josie. Wpatrywała się w ekran. Caroline wpakowała się jej na kolana, a Josie odruchowo zaczęła ją głaskać po głowie.

CNN pokazała więcej nagrań ze Wschodniego Wybrzeża.

Pokazali dom wepchnięty na zbocze góry. Jezioro pełne samochodów. Półnagich ludzi snujących się po ulicach, które powinny się wydawać znajome, ale wyglądały bardziej jak scenografia z filmów wojennych.

Ludzie w łodziach, we łzach, ludzie spływający rzekami jak bale drewna, ludzie unoszący się na wodzie razem z samochodami, drzewami, kubłami na śmieci, rowerami i Bóg wie czym jeszcze. Ludzie–śmieci.

Przymknąłem oczy.

Ktoś zaczął płakać.

– Włączcie Tabi–Teens! – darła się Chloe. – Albo Train–dawgs albo coś!

Wziąłem brata za rękę. Była zimna jak lód.

Oglądaliśmy telewizję przez wiele godzin.

W końcu ktoś wyłączył telewizor.

I wyciągnął dla wszystkich śpiwory.

Było dużo jęczenia ze strony małych dzieci i niewiele pocieszania z naszej.

Naprawdę działały nam na nerwy. Szczególnie Chloe i Batiste.

Ten bez końca nawijał o „Sądzie Ostatecznym”.

Upierał się, że wszystko jest tak, jak przewidział wielbny Grand. Nastął dzień Sądu Ostatecznego i takie tam. Miałem ochotę strzelić go w ten tłusty pysk.

Nie mogłem zebrać myśli. Chciałem wszystko przemyśleć, ale dzieci płakały albo wierciły nam dziurę w brzuchu o jakieś bzdety, albo uwieszały się jak pijawki, a ja marzyłem już tylko o tym, żeby się wreszcie zamknęły.

W końcu Astrid się pochyliła i chwyciła Batiste’a za ramiona.

Bardzo wyraźnie i nieco zjadliwie syknęła:

– Dzieci. Idźcie po cukierki. Możecie sobie wziąć, ile chcecie. Idźcie natychmiast.

Poszły.

Wróciły z torbami ze słodyczami.

I nic więcej nie mogliśmy dla nich zrobić. Tylko to. Cukierki.

Wzięliśmy torby, rozerwaliśmy i rozsypaliśmy na środku podłogi. Wszyscy rzucili się na tę górę najróżniejszych słodczy.

Jedliśmy, jakby to były lekarstwa. Jakby to były magiczne cukierki, które mogą nam przywrócić normalne życie. Żarliśmy i żarliśmy, aż było nam wszystko jedno. Potem zapakowaliśmy się do śpiworów i poszliśmy spać.

Małe dzieci pochłipywały. Od czasu do czasu któreś z nas się darło:

– Zamknijcie się wreszcie!

I tak przetrwaliśmy pierwszą noc.

Rozdział 4

Osiem przecinek dwa

DZIEŃ 2

OBUDZILIŚMY SIĘ Z KRZYKIEM DKDŁD ÓSMEJ.

Znacie to uczucie, kiedy śni się wam, że biegniecie przez las, goniąc za lisem czy innym zwierzęciem, i nagle zaczynają was chwytąć gałęzie drzew i potrząsają wami, aż się wybudzacie zupełnie i w końcu do was dociera, że to mama wami potrząsa, że nie usłyszeliście budzika i spóźnicie się do szkoły?

No więc to nie było to.

To było raczej jak: śpisz w śpiworze na podłodze w olbrzymim hipermarkecie i nagle podłoga zaczyna drżeć, unosi się, a tobą rzuca jak popcornem w gorącym garnku, wszystko spada z półek i wszyscy wokół się drą i panikują, i ty też.

Tak, raczej coś w tym stylu.

A najśmieszniejsze jest to, że to było tylko trzęsienie wstępne. Okazuje się, że przed 8,2 zawsze pojawiają się takie wstępne podrygi. Trzęsienie ziemi wysyła ostrzeżenie.

– Do pizzerii! – wrzasnął Niko. – Pod stoły!

Jedną ręką chwyciłem Aleksa, drugą Ulyssesa z pierwszej klasy i popędziłem. Wszystko spadało z półek. Z wyjątkiem tego, co już spadło wcześniej. Z działu spożywczego dochodził brzęk roztrzaskujących się o

podłogę butelek.

Reszta dzieciaków biegła za nami. Kątem oka zarejestrowałem, że każdy z nastolatków chwycił jednego czy dwa maluchy. Astrid prowadziła Josie. Potykając się i upadając, bieглиśmy ile sił w nogach, żeby się schować pod stolami w pizzerii. Były przymocowane do podłogi na stałe. To dlatego Niko kazał nam pod nie wleźć.

– Tu będziemy bezpieczniejsi – powiedziałem do Aleksa i Ulyssesa, którzy byli już cali zasmarkani.

– Trzymajcie się mocno nóg – krzyknął Niko.

– Bzdura – warknął Brayden. – Już po trzęsieniu. Po co mamy się ukrywać, jeśli...

I głos mu zadrżał.

Bo zadrżała też ziemia pod nami.

I natychmiast chwycił się stołowej nogi.

Trzęsienie zasadnicze było chyba mniej przerażające niż wstępne. Byliśmy na nie gotowi. Byliśmy rozbudzeni.

Trzęśliśmy się i trzęśliśmy i słychać było, jak wszystko wokół spada na podłogę i się roztrzaskuje.

Cud, że budynek się nie zawalił. Ale wkrótce się przekonaliśmy, że hipermarket był zbudowany jak sejf. Mógł wytrzymać wszystko. Był mocny jak skała. Chyba wszystkie rzeczy pospadały z półek i kilka regałów się poprzewracało, ale sam budynek naprawdę nie wyglądał źle.

– Wszystko okej? – zawołał Jake.

– Yyy... Raczej nie – odparła Astrid. – Świat przepadł. Utknęliśmy w Greenwayu, a trzęsienie ziemi roztrzaskało sklep w drobny mak!

Była wściekła. Wyglądała bosko.

– Przecież wiem, Astrid! – warknął Jake. – Wygląda na to, że wszystko szlag trafił, ale mam tu niby wami zarządzać, więc pomyślałem, że spytam!

Bliźniaki z zerówki wybuchnęły płaczem. I one, i Ulysses byli cali brudni, z zasmarkanymi udręczonymi buźkami. W ogóle wszystkie maluchy prezentowały się dość kiepsko.

– Jake robi, co może, więc się odwal, Astrid! – syknął wściekle Brayden.

– Spadaj, Brayden! Ze też nie miałam z kim tu utknąć, tylko z tobą, cholera – piekliła się Astrid.

Josie zakryła uszy rękami. Maluchy płakały, Chloe zaczęła się drzeć.

– Dobra, niech wszyscy się uspokoją – zażądał Jake. – Astrid, co ci odbiło? Opanuj się!

– Jake – odezwał się mały Henry. – Caroline i ja chcielibyśmy iść do domu.

Henry i Caroline chcieli do domu. Jakby to była pidżama party, które nie bardzo wypaliło, więc proszą, żeby zadzwonić po rodziców, bo chcą już się zmyć.

– Taaak! Chcę do babci! – zawyła Chloe.

– Musimy przecież poczekać na panią Wooly – powiedział spokojnie Jake.

Ale maluchy wpadły w kompletną histerię. Płacz, smarki, roztrzęsione głosy, cały repertuar. Ulysses był tuż przy mnie i kiwał główką na potwierdzenie, zgadzając się z żądaniami pozostałych dzieciaków. Łzy wielkie jak żelki lały mi się z oczu. Było ich tyle, że właściwie umyły mi twarz, tym bardziej że stale ocierał ją rękawem bluzy.

– Wszystko będzie dobrze – szepnąłem.

Tylko pokręcił główką i zawył jeszcze głośniejsze.

Wylazłem spod stołu. Musiałem wreszcie dorwać ten cholerny słownik angielsko-hiszpański.

– Jeszcze nie wychodź – ostrzegł Niko. – Będą trzęsienia następce.

Miał rację. Podłoga znów się zaczęła trząść, więc padłem na ziemię i wczółgałem się pod najbliższy stolik. Tak się złożyło, że siedziała już pod

nim Astrid.

Tak blisko niej jeszcze nigdy nie byłem. Chwyciłem się środkowej nogi stołu. Jej dłonie były tuż pod moimi.

Głowę trzymała pochyloną. Miałem przed oczami tylko drżące pasmo jej jasnych włosów i fioletowy sweter. W końcu trzęsienie ustało.

Podniosła wzrok i nastąpiła między nami jasność. Ona widziała mnie, a ja widziałem ją. Wyglądała na przerażoną i przypominała małą dziewczynkę. W oczach miała łzy.

Nie wiem, co wyczytała z mojej twarzy. Pewnie, że jestem cały jej. I kocham ją całym sobą.

W każdym razie chyba jej się nie spodobało to, co zobaczyła, bo otarła łzy wierzchem dłoni i odwróciła się ode mnie. Szczęki miała zaciśnięte, a minę taką, jakby chciała mnie walnąć. Taka była prawda.

Wylazłem spod jej stołu.

– Chrzanię to – powiedziała Sahalia. – Wracam do domu.

– Nigdzie nie idziesz – osadził ją Jake. – Pani Wooly kazała nam tu zostać i trzymać się razem, i tak właśnie zrobimy.

– Kpisz sobie? – zdenerwowała się Sahalia. – Pani Wooly nie wróci. Jesteśmy zdani na siebie. I mówię ci, że wolę sama próbować szczęścia na zewnątrz, niż zostać tu z takimi frajerami jak wy.

– Jak się wydostaniesz? – spytał Alex. – Przecież brama jest zamknięta.

Sahalia wskazała coś na ścianie za pizzerią, tuż przy dziale spożywczym.

Hm.

Widniały tam drzwi z czerwonym, podświetlonym napisem „wyjście ewakuacyjne”.

Jakim cudem dotąd go nie zauważyliśmy?

– Zawsze musi być wyjście ewakuacyjne – mruknęła Sahalia.

Potem podeszła do drzwi i je pchnęła.

– Daj, ja otworzę – zaoferował się Brayden.
– Bray! – warknął Jake, ale Brayden już był przy drzwiach
Pchnął je z całych sił.
– Nic z tego – powiedział. – Zamknięte.
– Jak już mówiłem – syknął Jake, patrząc na niego ze złością – zostajemy
tu i czekamy na panią Wooly.
– Znajdę inne wyjście – oświadczyła Sahalia i poszła sobie.
– Przepraszam, ale Sahalia mieszka tuż obok mnie – odezwała się Chloe. –
Skoro ona idzie do domu, to ja też.
– I ja – dodał Max. – Złapię stopa.
Jake stracił cierpliwość.
– Słyszeliście, co powiedziała pani Wooly! Siedzimy tu, aż nas przyjdą. To
proste.
– To dlaczego Sahalia może iść? – jęczała Chloe.
– Sahalia nigdzie nie idzie – warknął Jake. – Drzwi są zamknięte!
– Ale ja chcę do babci!
Jake pochylił się w jej stronę.
– Przestań nudzić z tym domem. Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie wróci
pani Wooly.
– Ale ja chcę...
Dźgnął ją palcem w pierś.
– Cicho!
– Moja babcia...
Znow jęczała.
– Cisza!
Zamilkła. Roztarła miejsce, w które wbijał palec, i posłała Jake'owi
obrażone spojrzenie.
Mieliśmy kupę szczęścia, że Greenway był tak solidnie zbudowany, ale

bałagan się zrobił niezmierny. Prawie wszystko pospadało z półek. Dobrze chociaż, że większość regałów była poprzykręcana na stałe, więc się nie przewracały. Co za ulga. Ale bałagan był okropny i większość szklanych pojemników się zbiła.

Przeszliśmy przez to pobojuwisko do naszego „domu” ze śpiworami w dziale RTV.

– Ale będzie sprzątanina – mruknął Alex.

– I dobrze – stwierdziłem. – Przynajmniej będzie co robić, zanim po nas przyjdą.

Alex wzruszył ramionami.

Bigtaby, które wisiały na ścianach w dziale RTV, leżały teraz na podłodze.

W sumie wszystko tam było teraz na podłodze.

Nawet ściana wystawowa zwisała, oderwana częściowo od betonu.

Bigtaby leżały ekranami do dołu, nakładając się na siebie jak dachówki.

Wszędzie walały się kawałki plastiku i szkła.

Wszyscy stali bezradnie i wpatrywali się w pobojuwisko, gdy podeszliśmy z Alekssem bliżej.

– Mieliśmy jeden tandetny telewizor – narzekał Brayden – a teraz nawet on przepadł. Nie ma już jak się dowiedzieć, co jest grane!

– Naprawdę uważam, że czas się zastanowić nad ewakuacją – odezwała się Astrid.

– Ciii! – uciszył ją Alex.

– Naprawdę tak uważam – powiedziała, chyba zaskoczona jego bezczelnością.

– Słyszę telewizor – szepnął Alex.

Zamknęliśmy się natychmiast. Jeśli dobrze się wsłuchało, można było wyłapać cichy szum. Naprawdę bardzo cichy szum.

Brayden i Jake zaczęli się przekopywać przez stertę bigtabów.

– Ostrożnie – powiedział Alex. – Żeby was nie kopnęło.

Jake znalazł telewizor.

Przeszedł po stercie bigtabów, ostrożnie niosąc urządzenie.

Ekran był pęknięty. Dziwne, lśniące kolorowe plamy drżały między nitkami pęknięć.

Alex przejął telewizor i położył na podłodze.

Wcisnął coś u dołu. Tak się zmieniało kanały. Zupełnie już o tym zapomniałem, bo w domu przestawiliśmy się na bigtaba, jak miałem jakieś siedem lat.

Alex coś pokombinował i udało mu się podkręcić głośność.

Usłyszeliśmy głos.

– Brawo! – zawołał Jake.

Maluchy wiwatowały.

– Cisza – syknął Niko.

– Ciii – uciszyła je Astrid.

Słychać było męski głos. Jakiś wywiad.

– ...zupełnie niespodziewane, jako że ten rejon nie jest położony na linii uskoku. To naprawdę niepojęte. Szczególnie trzęsienie o takiej sile. Jestem przekonany, że zostało wywołane wczorajszym megatsunami.

Alex usiadł przed telewizorem. Wszyscy przysiedliśmy gdzie popadnie, z wyjątkiem Chloe, która oznajmiła, że idzie poszukać czegoś do jedzenia.

Głos w telewizorze się zmienił.

Przepraszam, panie profesorze. Mamy ważne wieści. Doniesiono nam o wycieku. Wycieku chemicznym. Chodzi o zbiorniki z bronią chemiczną. Dotarły do nas informacje o przeciekach w kilku zbiornikach broni chemicznej na terenach magazynów NORAD-u.

– Cisza! Cisza! – zaczął się nagle wydzierać jakiś głos, chyba w studiu. – Jest komunikat NORAD-u: „Uwaga! Mieszkańcy Kolorado i stanów

sąsiadujących. Dziś, to jest w środę 18 września 2024 roku, o 8.36 rano, w magazynach broni chemicznej na terenie należącym do Dowództwa Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej doszło do poważnego wycieku. Mieszkańcy w promieniu pięciuset mil od terenu NORAD-u mają niezwłocznie udać się do najbliższych budynków i zalepić okna”.

Niko wstał. Był zarumieniony. Lekko roztrzęsiony. Jakby spanikowany.

– Musimy uszczelnić główne wejście – ryknął. – I to już!

Popędziliśmy przez sklep, slalomem wymijając pudła i potrzaskane rzeczy.

Niko rzucał rozkazy jak automat.

– Jake, leć po plastikowe zasłony. Brayden, Dean, wy po taśmę.

– Jakie plastikowe zasłony? – spytał Jake. Głos drżał mu z strachu.

– Od prysznicza na przykład – zasugerował Alex. – Albo folie, których używają malarze.

– Alex, pomóż Jake’owi. Coś wymyślisz. Astrid, zabierz stąd dzieciaki.

– Czemu znów mam się zajmować bachorami?! – zaprotestowała. – Jestem równie silna jak wy!

– Po prostu rób, co mówię! – ryknął Niko.

I tak zrobiła.

Brayden i ja znaleźliśmy taśmę, ale nie wzięliśmy niczego, żeby ją przenieść, wózka, kosza ani nic. W obu rękach mogliśmy unieść najwyżej dziesięć rolek.

– Mam pomysł – powiedziałem i zdjąłem bluzę.

– Co ty wyprawiasz, Geraldine? – spytał Brayden. Był wyraźnie wkurzony. – W dupie mam twoje pomysły. Spadam stąd.

I poszedł ze swoimi dziesięcioma rolkami.

Zawiązałem rękawy bluzy i naładowałem w nią tyle taśmy, ile zdołałem. Być może cała ta akcja zajęła mi tyle, ile by zabrało skoczenie po torbę czy

wiadro, ale przynajmniej udało mi się zatargać ze trzydzieści rolek.

Kiedy dotarłem do wyjścia, Niko i Jake próbowali wypchnąć autobus, żeby móc je jakoś zalepić. Ale ani drgnął.

– Mniejsza z tym – powiedział Niko. – Oblepimy jakoś drzwi razem z autobusem.

Brayden rozrywał opakowania plastikowych zasłon.

– Ja to zrobię – mruknął Niko. – Ty leć po więcej taśmy. Potrzebujemy o wiele więcej...

Zrzuciłem rolki.

– Świetnie – pochwalił mnie Niko. – Pootwieraj je.

Zacząłem walczyć z plastikowymi opakowaniami, gdy Brayden dźgnął mnie w żebra.

– Fajne mięśnie, chłopie – zakpił. – Dużo pakujesz?

Zarechotał. Jake przerwał rozpakowywanie zasłon i rzucił się na Braydena. Zaczął nim potrząsać. Mocno.

– Przez ten twój cholerny NORAD wszyscy zginiemy, a ty się czepiasz bookera o jakieś cholerne mięśnie? Odbiło ci czy jak?!

Puścił go, a Brayden zatoczył się do tyłu.

Szamotałem się z głupimi węzłami na rękawach bluzy.

Teraz przynajmniej wiedziałem, za kogo ma mnie Jake.

Za bookera. Okej. Cokolwiek to znaczy.

Trzeba się było skupić na zaklejaniu wejścia.

– Tym będzie lepiej – usłyszałem głos brata.

Biegł po linoleum tak szybko, że zakończył długim ślizgiem. W rękach trzymał dwa pistolety na zszywki i pudełko zszywek do tapicerki.

Jake i Niko wzięli po pistolecie. Ja, Brayden i Alex przytrzymywaliśmy zasłony.

Dwie warstwy zasłon prysznicowych. Warstwa wełnianych koców

(pomysł Aleksa). Trzy warstwy folii malarskiej. Wszystko podklejone na brzegach kilkoma warstwami taśmy.

Przyszła Astrid, a z nią maluchy. Otoczyły autobus i zaczęły oglądać naszą prowizoryczną ścianę.

– Nieźle – pochwaliła nas Astrid.

– Powinno wystarczyć – stwierdził Jake.

Chwycił Astrid i przytrzymał jej głowę pod pachą.

– Hej, maluchy – zawołał. – Czas na łaskotki.

Dzieciaki natychmiast się na nią rzuciły.

– Zwariowałaś?! Puszczaj! – broniła się Astrid, ale ze śmiechem.

Wyrwała się Jake'owi i próbowała wywinąć dzieciom.

– Złażcie ze mnie, potwory! – krzyczała wesoło.

Przy tej szarpaninie podwinęła się jej koszulka i zobaczyłem fragment pleców tuż nad pośladkami. Opalonych, umięśnionych, boskich pleców.

Była bardziej umięśniona niż ja. Zdecydowanie.

– Weźmy więcej koców – zarządził Niko. – I zrobimy jeszcze jedną warstwę. Potem sprawdzę, czy nie da się wykombinować jakiejś sklejki, żeby się lepiej trzymało.

Otarłem pot z czoła. Powietrze przyjemnie je chłodziło. I wtedy dotarło do mnie coś, od czego ścisnął mi się żołądek.

– Klimatyzacja – wyszeptałem. A potem wydarłem się na cały głos: Klima!

Była włączona. Wielki system klimatyzacyjny zasysał powietrze z zewnątrz. To dlatego czuło się ten miły chłodek po ciężkiej pracy.

– Kurwa mać – zaklął Niko.

Rozdział 5

Atrament

DZIEŃ 2

– GDZIE JEST STEROWNIA? – SPYTAŁ NIKO ASTRID. – PRACOWAŁAŚ tu przecież.

– Jest jakaś kanciapa na zapleczu – wybąkała. – W magazynie. Może tam? Maluchy przylgnęły do niej i przez to została w tyle, gdy popędziliśmy z Nikiem na tył sklepu.

Wpadliśmy przez wielkie podwójne drzwi do magazynu.

Było tu zupełnie ciemno. Większość hali zavalona była pudłami i regałami. Powietrze było ciężkie od mieszanki zapachów: soków, amoniaku, spalenizny, karmy dla psów.

W tylnej ścianie znajdowały się dwa wielkie wjazdy dla wozów dostawczych, każdy zasłonięty wielką metalową bramą.

Dotąd w ogóle nie pomyślałem o wjazdach dla dostawców, ale oczywiście musiały tu być. Były teraz przesłonięte takimi samymi metalowymi bramami jak wejścia z przodu.

Z boku wielkiej, ciemnej ściany znajdowały się drzwi z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Były przesłonięte, ale po trzęsieniu ziemi zostało z nich tylko rozbite szkło na podłodze.

– Bingo – mruknął Brayden, stwierdzając rzecz dość oczywistą.

Drzwi sterowni były zamknięte, ale przez potrząskaną szybę Niko bez trudu wszedł do środka.

W kanciapie zobaczyliśmy mnóstwo monitorów kamer, które pokazywały dosłownie każdy zakątek sklepu, choć większość dział RTV.

– Ale czad – wymamrotał Brayden i wskazał jeden z monitorów. – Patrzcie, można zajrzeć do damskich przymierzalni!

– Skup się, Brayden – rzucił Jake. – Musimy znaleźć wyłącznik klimatyzacji.

Alex pokazał coś palcem. W ścianę wbudowane były cztery panele sterowania. Jeden odpowiadał za system baterii słonecznych na dachu. Przy nich paliło się zielone światełko, które potwierdzało coś, co i tak wiedzieliśmy – mieliśmy prąd.

Drugi odpowiadał za bramy. Migąło przy nim czerwone światełko z napisem: „Bramy – zdalne sterowanie”. Jeszcze inny musiał regulować ciśnienie wody. Wyglądało na to, że ten działa normalnie.

I było też to, czego szukaliśmy – panel sterujący klimatyzacją.

Wpatrywaliśmy się w niego przez chwilę.

Pełno cyfr, gama kolorów. Wartości procentowe i mnóstwo symboli nie do rozszyfrowania. Jeden wyglądał jak błyskawica. Inny jak uśmiechnięta buźka, ale do góry nogami.

Jeszcze inny jak goła pupa. Poważnie. Zupełnie się nie dało w tym połapać.

– O kurczę – jęknął Alex.

Brayden zaczął wciskać po kolei wszystko.

– Nie...! – chciał protestować Alex, ale Brayden nie dał mu dojść do słowa.

– Jeden z tych przycisków musi to przecież wyłączyć!

– Nie możesz wciskać na chybił trafił – zaproponował Ni-ko. – Co, jeśli w ten sposób...

Jakby na potwierdzenie jego wątpliwości, klimatyzacja zahuczała głośniejsze, zalewając nas zimnym powietrzem.

– ...tylko pogorszysz sprawę.

Brayden podniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Musimy znaleźć centrale i ręcznie je wyłączyć – stwierdził Niko. – Tak będzie najszybciej.

– Pewnie są na dachu – powiedział Alex.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w niego tępo.

– Ja pójdę – przerwał w końcu milczenie Niko.

– Idę z tobą – dodał Alex.

Nie mogłem pozwolić, żeby brat poszedł beze mnie.

– Ja też – mruknąłem.

– Zaraz wracam – rzucił Jake. – Zaczekajcie! – I pobiegł po coś w głąb sklepu.

– Jak się dostaniemy na dach? – spytał Alex.

– Tamtędy. – Niko wskazał coś w górze.

Po ścianie pięły się metalowe schody, które prowadziły do wyjścia na dach.

Było otwarte i świeciło tam żółtawe niebo.

– Co jest? – wybąkałem.

– Sahalia – mruknął Niko. – Widocznie znalazła ją przed nami.

Byłem już w połowie schodów, gdy dopadł mnie Jake.

– Macie – zawołał, podając mi trzy maski przeciwgazowe. Znalazł je w dziale remontowym.

– Dzięki – powiedziałem i przerzuciłem je sobie przez ramię. – Może też powinniście takie mieć – dodałem. – Tak na wszelki wypadek.

Jake uniósł brew, zdumiony, że go pouczam, chociaż przecież starałem się być delikatny.

– Już o tym pomyślałem, chłopie – odparł.

Wyszedłem przez klapę na dach.

Jak mam opisać to, co zobaczyłem?

Dach pokryty był kulkami gradu i mocno powgniatany.

Ale, co ważniejsze, była tam Sahalia. Siedziała na krawędzi i wpatrywała się w niebo. Przy niej leżało pudło. Domowa drabina ewakuacyjna. Nierozpakowana.

Sahalia wpatrywała się przed siebie.

Niko i Alex stali tuż za nią i patrzyli w tym samym kierunku.

Zamarłem, a maski wyślizgnęły mi się z palców, gdy zobaczyłem to, co oni.

W oddali, tuż nad górami unosił się gruby słup smolistej czerni niczym powiewająca na wietrze wstążka. Kolumna wzbijała się w górę, aż na poziomie chmur zaczynała rosnąć, stopniowo przemieniając się w lej.

Wyglądało to tak, jakby niebo zalewał strumień atramentu.

Zimna woda z topniejącego gradu przeciekała mi do trampków i moczyła nogawki spodni. Było mi wszystko jedno.

Czarna chmura rosła i rosła. Kula ciemności wyłaniająca się zza horyzontu.

– Co to jest? – wyszeptał Alex.

– Spytaj Braydena – syknął Niko.

– W NORAD–zie wyprodukowali coś naprawdę potwornego – wymamrotała Sahalia.

Chmura atramentu na niebie była teraz wielka jak szczyty gór za nią. Wyglądała jak odwrócona do góry nogami góra przyczepiona do ziemi długim, czarnym piórem.

– Centrale – rzucił Niko. – Szybko.

Dzielny Myśliwy przemówił.

Popędziliśmy wykonać rozkaz.

Łatwo było je znaleźć. Znajdowały się na samym środku dachu. Cztery wielgachne pudła wielkości ciężarówek. Po bokach miały szpary wpuszczające świeże powietrze. Od central odchodziły metalowe rury i łączyły się w jedną wielką rurę, która wchodziła w dach Greenwaya.

– Cholera – zaklął Niko.

Rury nie wyglądały solidnie. Grad porządnie je obił. Były powyginane i podziurawione. Przez duże dziury wpadało nieprzefiltrowane powietrze.

– Nawet jeśli odetniemy centrale, zatrute powietrze będzie wpadało przez te poniszczone rury – stwierdził Alex. W jego głosie słychać było narastającą panikę.

– Zakleimy całą wentylację – zdecydował Niko. Odwrócił się do Sahalii.

– Leć po młot dwuręczny. Jeśli będzie dla ciebie za ciężki, niech Jake pomoże ci go przynieść.

– Dam radę przynieść głupi młot – odpyskowała Sahalia.

– No?! To leć! – wydarł się Niko.

Popędziła do wjazdu.

Niko podszedł do największej rury i stanął blisko miejsca, gdzie wchodziła w dach. Wdrapał się na nią i zaczął po niej skakać. BUM. Huczało metaliczne echo. BUM. I metal Ugiął się odrobinę.

– Pomóżcie mi – rozkazał mnie i Aleksowi.

– Weszliśmy więc na rurę i zaczęliśmy razem po niej skakać. Byłoby to pewnie nawet zabawne, gdybyśmy nie widzieli tej czarnej chmury zalewającej niebo niczym płama oleju.

Skakaliśmy i skakaliśmy, aż w końcu udało nam się lekko zgiąć rurę.

Wróciła Sahalia, targając młot. Zeszliśmy z rury.

Niko wziął go od niej i ŁUP. Zaczął walić w metal. Młot byt o wiele skuteczniejszy niż nasze skakanie. Mięśnie pleców Nika były napięte,

naprawdę budził szacunek. Facet był silny i twardy.

Światło stało się bardzo zielone. Wszystko wyglądało kosmicznie albo jak pod wodą.

ŁUP. ŁUP. ŁUP. Młot wyginał rurę od klimatyzacji.

Chemiczna chmura podrywała powietrze przed sobą jak letnia burza. Tylko że to powietrze było gorzkie i zaczęły mnie piec oczy.

– Idźcie już – krzyknął Niko. – Zaraz do was zejdem.

– Nie! – zawołałem. – Potrzebujesz naszej pomocy...

Nagle przypomniałem sobie, że przy włączniku zostawiłem maski.

Pobiegłem po nie.

Alex i Sahalia chyba myśleli, że uciekam. Pobiegli za mną. Chwyciłem maski, a Alex i Sahalia minęli mnie i zniknęli w środku. Schodzili po schodach, kaszląc i przeklinając.

– Zaraz idę – krzyknąłem do nich.

Obróciłem się, żeby wrócić do Nika...

I zrobiło mi się niedobrze.

Niedobrze w gardle, w brzuchu, w głowie. Jakby krew mi wrzała. Byłem wściekły. Chciałem kogoś zabić. Naprawdę. Chciałem kogoś zabić i tym kimś był Niko.

Patrzyłem, jak wali w rurę młotem, i chciałem go udusić. Zakończyć tę jego całą szlachetną, bohaterską, pozbawioną poczucia humoru egzystencję.

Rzuciłem się na niego z maską.

Zawyłem.

A potem nagle runąłem twarzą w grad. Ktoś mnie pchnął. Przytrzymał mnie za nogę. Byłem wściekły. Mój brat. Miał na twarzy maskę i ciągnął mnie w stronę wjazdu.

Zamachnąłem się na niego. Zabiję go. Tak mnie popchnąć. Łeb mu urwę.

Chwyciłem garść gradu i rzuciłem w niego.

Zaciągnął mnie do wjazdu i wciągnął do środka. Zacząłem okładać go maską, którą wciąż trzymałem. Nie puszczał mojej nogi i ściągał mnie w dół po schodach.

Rzuciłem się na niego. Chciałem, żeby stracił równowagę. Próbowałem zerwać mu maskę. Chwyciłem go za włosy i pociągnąłem. Ugryzłem go w rękę do krwi.

Krew mnie zalała. Zupełnie tak, jak ludzie to opisują. Dosłownie widziałem czerwoną krew i nie potrafiłem myśleć, tylko walić pięściami. Uderzać, rozdzierać, niszczyć.

Dotarliśmy na dół i Alex próbował mi się wyrwać. Runąłem na niego.

Jake skoczył na mnie.

Uderzyłem o zimny cement, skłąłem go i rzuciłem się na niego z paznokciami.

– Chryste! – warknął Jake. – Co się stało tam na górze?

Zawyłem w odpowiedzi. Zabrakło mi słów.

– Co jest twojemu bratu? – spytał Jake Aleksa.

Alex płakał. Przeze mnie.

– Jest jak zwierzę! – powiedział Jake, przyciskając mnie kolaniem do ziemi. Moje ręce jakimś cudem znalazły się na plecach. Poza futbolem Jake trenował też zapasy. I ważył dolne dwadzieścia kilo więcej niż ja. Nie miałem szans.

Nie usłyszeliśmy, że zbliża się Niko, aż stanął tuż za nami.

– Zalepiłem rurę – oznajmił. – Zrobione. Ale będziemy musieli jeszcze zakleić wjazd plastikowymi zasłonami. I drzwi dostawcze też. Polecę po pistolety ze zszywkami, a wy...

Musiałem ryknąć czy też warknąć.

Wskazał mnie ruchem głowy.

– Co się stało Deanowi?

Przysięgam na Boga, że chciałem mu się rzucić do gardła.

Rozdział 6

Wróg u bram

DZIEŃ 2

JAKE Z TRUDEM UTRZYMYWAŁ MNIE NA PODŁODZE. SERCE SZALAŁO MI z wściekłości. Chciałem wstać!

Usłyszałem dziwne skomlenie. Pełne paniki.

Dochodziło z ust Braydena.

– Czym on jest? – jęczał Brayden. Jego górna warga uniosła się w obrzydzeniu. – Czym on jest? Z czego on jest?

– O czym ty mówisz? – spytał Jake, wciąż starając się mnie unieruchamiać.

Ważył chyba z dziewięćdziesiąt kilo. Leżałem rozplaszczony na zimnej cementowej posadzce.

– Patrzcie! – zawodził Brayden. – Nad nim unosi się dym. On jest prosto z piekła!

– Co ty wygadujesz? – krzyknął Alex. W jego głosie słychać było przerażenie. Chyba płakał, ale nie widziałem go, leżąc na podłodze.

Brayden rwał sobie włosy i rozglądał się wokół.

– Jest wszędzie! – wył. – Piekielny dym!

Odsuwał się od nas, aż w końcu przykucnął pod stertą wielkich pudeł.

– Brayden, tu nie ma żadnego dymu – powiedział Niko. – Wszystko jest w

porządku.

– Diabeł jest wszędzie! – zawodził Brayden.

– Chłopie, odwala ci – powiedział Jake.

Niko podszedł do Braydena.

– Nie dotykaj mnie! – zawył Brayden.

– Spójrz – powiedział Niko do Jake’a. – Ma strasznie rozszerzone źrenice.

– Odczepcie się ode mnie – warczał Brayden.

– To pewnie to powietrze – stwierdził Niko, a potem podszedł do mnie. – Zrobiło się całkiem zielone. Pewnie nawdychaliśmy się jakichś chemikaliów. Czegóż, co wywołuje reakcje psychotyczne.

Niko też dziwacznie wyglądał, choć nie byłem raczej w dogodnej pozycji, żeby to oceniać.

Miał bąble wokół oczu i przypominał szopa. Gdy mnie dotknął, poczułem, że ręce też ma pokryte małymi, krwistymi bąblami. Jakby miał czerwone koronkowe rękawiczki.

Zaczął kaszleć. Mokrym kaszlem.

Zakrył usta ręką i na jego dłoni pojawiła się czerwona flegma. Wtedy dopiero zauważyłem, co się dzieje z jego rękami, i spojrzałem na nie z tak komicznym zdumieniem, że zacząłem się śmiać.

Nie wyluzowanym, ironicznym śmiechem, ale szaleńczym chichotem.

Opowiadam tylko, jak było, OK?

Brayden leżał na podłodze zwinięty w kłębek i zanosił się płaczem.

Okej.

Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w bicie serca. Waliło głośno. Jak serce goryla.

I potrafiłem powiedzieć tylko: „Wrrrrrrr..”

Próbowałem powiedzieć „Alex”. Ale mi się nie udało.

– Musimy się umyć – powiedział Niko. Już zdjął koszulę i przyglądał się

swojemu ciału. Na skórze miał siatkę bąbli. Układała się zgodnie z siecią żył. Wyglądał trochę jak ilustracja w podręczniku biologii – w rozdziale o układzie krwionośnym.

Znów spróbowałem:

– Wrrr... – Chciałem powiedzieć, że strasznie mi przykro.

– Potrzebujemy wody i mydła – powiedział Niko. – I może powinienem wziąć zyrtec.

– Przyniosę ci – zaoferował się Alex.

– Sahalio, ty też powinnaś się przebrać – polecił Niko.

Wyglądała na przerażoną. Makijaż spływał jej po policzkach. Popędziła w stronę sklepu, omijając Braydena szerokim łukiem.

– Hej, przyniosłabyś nam jakieś ciuchy? – krzyknął za nią Niko.

Obejrzała się na nas.

– Jasne – mruknęła. – Wszystko mi jedno.

Próbowałem powiedzieć: „Puśćcie mnie, nic mi nie jest”, ale wyszło z tego tylko: „Wrrrr”. Próbowałem wyczołgać się spod Jake’a.

– Odpuść sobie, Dean! – ryknął mi prosto w twarz.

Minął nas Alex. Obejrzał się na mnie, ale zaraz odwrócił wzrok. Miał na twarzy głębokie zadrapania i świeżego strupa tuż przy nosie. Oczy zaczerwienione.

– Hej, młody, zrób coś dla mnie – poprosił go Jake. – Skocz po linę, żebym mógł związać tego Hulka.

To nie w porządku, że związują cię liną, którą twój rodzony brat przytargał z działu sportowego.

Gdy już mnie związali, Jake zabrał Braydena do sklepu. Podejrzewali z Niko, że może powietrze w magazynie jest zanieczyszczone.

Niko zdjął ubrania i wyrzucił je do śmieci. Kazał Aleksowi zrobić to samo. Wzięli mydło przeciwbakteryjne i źródlaną wodę, które przyniósł Alex, i

umyli się. Tak jak stali, na środku cementowej posadzki.

– W porządku? – spytał Aleksa Niko.

– Chyba tak – odparł Alex.

To było dość przerażające.

– No.

To było okropne. Okropnie było słyszeć, jak Niko pociesza Aleksa. To przecież mój brat. Ja powinienem go pocieszać. Tylko że to ja go zaatakowałem, więc sami rozumiecie.

– Macie! – Usłyszeliśmy głos Sahalii i przez drzwi wpadły ciuchy.

Wybrała dla nas różowe dresiki. Były nawet puszyste różowe kapcie do kompletu.

Zacząłem dochodzić do siebie.

– Chłopaki – wycharczałem ochryłym głosem. – Chłopaki...

Niko przestał się ubierać i poszedł się wykaszleć do kosza na śmieci.

– Wszystko w porządku? – spytał go Alex.

Mnie spytaj, chciałem zawołać.

Niko pokiwał głową, ocierając ślinę z brody.

– Bąble znikają. Dobrze, że się umyliśmy. Gdybym został tam chwilę dłużej, mogłoby być ze mną krucho.

Alex pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Chłopaki! – zawołałem z podłogi.

– Okej, Dean! – warknął Alex. – Zaczekaj chwilę!

Niko przyglądał się swojej klatce piersiowej. Wysypka nie była już tak zaogniona. Właściwie znikiała.

Gdy już obaj się ubrali, podeszli mi się przyjrzeć.

Zobaczyłem, że Aleksowi wystają z kieszeni koszuli okulary. Pewnie mi je

wyrwał, kiedy się biliśmy. To miłe z jego strony. Szczególnie że próbowałem go niemal oskalpować.

– Lepiej się czujesz? – spytał Niko.

– No – wychrypiałem. – Cały jestem obolały. Ale już jestem sobą.

– Kto jest prezydentem? Jaki mamy dzień? Jakie są ulubione lody mamy?

– pytał Alex.

– Cory Booker. Środa. Ma nietolerancję laktozy.

Puścili mnie.

Wyszliśmy z magazynu i poszliśmy do reszty dzieciaków. Musieliśmy naprawdę śmiesznie wyglądać w tych różowych dresach.

Astrid zaczęła wypytywać, czy wszystko w porządku, ale w końcu wybuchnęła śmiechem.

– Hej, dzieciaki, patrzcie, oto damska drużyna lekkoatletyczna! – zapowiedziała nas z wielką pompą i wszyscy zaczęli rechotać.

Jake i Brayden też się śmiali. I Alex.

Ale ze mną wciąż było coś nie tak.

Pragnąłem Astrid. Wyglądała tak ładnie, że pragnąłem jej, i to w straszny, mroczny sposób.

Przepraszam za tę żądzę krwi. Po prostu doskwiera mi jakiś syf, który wyprodukowali w NORAD–zie.

Przełknąłem ślinę. Próbowałem uspokoić oddech.

– Upiekliśmy wam pizzę – powiedział Max.

– Ale całą zjedliśmy, więc Astrid robi wam nową – dodała Chloe.

Gdy Jake, Niko i Brayden opowiadali Astrid, co się wydarzyło, przyjrzałem się mojemu bratu, któremu naprawdę nieźle dałem w kość. Wózek z rzeczami z apteki wciąż stał w pizzerii, więc zacząłem w nim szperać, ale nie mogłem znaleźć tego, czego potrzebowałem.

– Alex, chodź, proszę, ze mną – powiedziałem. – Zajmę się tobą.

Wiedziałem, co załatwi sprawę – bactine. Mama zawsze twierdziła, że ten płyn jest najlepszy. Używała go na wszelkie skaleczenia czy zadrapania. Miała go nawet zawsze w torebce, w małej buteleczce.

Machnąłem na Aleksa, żeby poszedł za mną, i ruszyliśmy w stronę działu farmaceutycznego.

Czułem się podle.

Podrapałem go po twarzy. Ale ze mnie braciszek. Na brodzie rozlewał mu się olbrzymi siniak. Nie ma to jak braterska czułość. Oczy miał czerwone od płaczu. Przeze mnie.

Przekopywałem się przez leżące na podłodze leki, aż w końcu znalazłem to, czego szukałem. Wziąłem też torbę wacików.

– To nie ja – powiedziałem, ocierając pierwsze z jego rozlicznych zadrapań. – To coś w powietrzu sprawiło, że zwariowałem. Wiesz przecież, że nigdy bym cię tak nie pobił.

Alex pokiwał głową. Wbił wzrok w podłogę.

– Błagam cię, powiedz, że mi wybaczasz. Czuję się podle. Naprawdę okropnie.

Jego jasne oczy były pełne łez.

– Tylko że... – wybąkał mój braciszek cienkim głosikiem. – Tylko że przedtem wcale się nie bałem...

A teraz się bał.

Przeze mnie.

– Nie rozumiem, co się dzieje – wyszeptał. – Dlaczego tak się zachowywałeś. Dlaczego Nikowi wyskoczyły bąble, a Brayden zaczął widzieć niestworzone rzeczy.

– Rozgryziemy to jakoś – pocieszyłem go. – I już nigdy... nigdy się nie wystawię na działanie chemikaliów w powietrzu. Obiecuję.

– Ale, Dean, skoro nie można wyjść na zewnątrz, to jak znajdziemy mamę

i tatę? Jak się dostaniemy do domu?

Mogłem skłamać. Tylko że Alex nie był głupi.

– Nie wiem – powiedziałem.

Przemyłem mu zadrapania i wróciliśmy do pozostałych. Wybaczył mi, ale wciąż był przy mnie trochę sztywny. Pewnie nadal miał się na baczności. Albo może po prostu był obolały po pobiciu przeze mnie.

Gdy zbliżaliśmy się do Pizza Shack, usłyszeliśmy:

– Właśnie że byłem w Emerald's!

Był to głos Maksa.

Istniała prawdziwa przepaść między tym, z czym usiłowały sobie radzić starsze dzieciaki, a tym, co zaprzętało myśli maluchów. Teraz na przykład, gdy ja opatrywałem brata po tym, jak o mało go nie rozszarpałem pod wpływem broni che-micznej, Max, Batiste, Ulysses i Chloe kłócili się o Emerald's, klub ze striptizem, który znajdował się przy wjeździe na autostradę tuż za naszym miastem.

– On kłamie. Nie mogłeś być w Emerald's. Nie wpuszczają tam dzieci – upierała się Chloe.

– Wpuszczają, jeśli twój wujek jest ochroniarzem! – odparował Max.

– A co oni tam w ogóle robią? – zainteresował się Batiste. – Nasz kościół próbuje nakłonić tych grzeszników do skruchy. Ale nie wiem do końca, jak właściwie oni tam grzeszą.

– Pewnie przeklinają – wykazała się domyślnością Chloe.

– I to jak! – przyznał jej rację Max.

– To grzech – westchnął Batiste.

– I piją alkohol? – drążyła Chloe.

– Właśnie – potwierdził Max. – W takich małych szklaneczkach, co mają różne smaki, arbuza i gorącego jabłka, i namiętnej mięty. Ale wszystkie są paskudne. Słodkie, ale paskudne. Raz wypilem trzy naraz i zwymiotowałem

na bar, a mama powiedziała, że jeśli wujek jeszcze raz mnie tam zabierze, to ona zawoła gliny.

– Picie alkoholu to grzech – obwieścił Batiste.

– Coś ty – wymamrotała Chloe.

– I tak nie chcę tam więcej iść – ciągnął Max. – Nudy. Tylko parę mam tańczy sobie w cienkich majtkach. Też mi zabawa.

Nie udało mi się powstrzymać śmiechu.

– Co? – spytała Chloe. – Z czego się śmiejesz?

– Yyy... Alex opowiedział mi właśnie dowcip – skłamałem.

– Opowiedz nam! – zażądała. – Uwielbiamy dowcipy.

Zdezorientowany Alex wzruszył ramionami.

– Już zapomniałem – mruknął.

– No, opowiedz! – jęczały dzieciaki.

– Dobra, dobra – zgodziłem się. – Nasza nauczycielka mówi do siebie, wasza też?

– Że co? – spytał Max.

– Nie, nasza myśli, że jej słuchamy! – dokończyłem.

Cisza. Nawet nie ziewnęli.

– To najgorszy dowcip, jaki w życiu słyszałam – oświadczyła Chloe.

– Nawet go nie rozumiem – dodał Max.

Zostawiliśmy maluchy, żeby mogły dalej zgłębiać zawile kwestie rozrywki dorosłych, i poszliśmy w stronę starszych dzieciaków. Po drodze minęliśmy Josie, która siedziała tępo na kanapie. Nadal za wiele nie mówiła. Właściwie to nic.

– Jak się czujesz, Josie? – spytałem.

Alex wskazał naszą grupę. Chciał się dowiedzieć, co myślą o chemikaliach. Ja też...

– Nie rozumiem – mówiła właśnie Astrid. – Niko dostał od tego bąbli,

Dean zmienił się w potwora, a Brayden miał halucynacje. Ale Sahalii, Aleksowi i Jake'owi zupełnie nic się nic stało, tak?

– To nie ma sensu, ale tak było – odpowiedział Jake, drapiąc się po głowie.

– Może to zależy od wieku czy coś... – spekulował Brayden.

– Wygląda na to, że działanie tych chemikaliów bardzo szybko mija – wtrącił się Alex. – Co może oznaczać, że atakują ośrodkowy układ nerwowy.

– To potworne, że ktoś w ogóle stworzył taką truciznę – powiedziała Astrid. – Tych typków z NORAD-u powinno się wystrzelać.

– Hej! Nie mów tak o moim ojcu – oburzył się Brayden.

– Ale po co robią takie straszne rzeczy? – drążyła Astrid. – Chemikalia, które zmieniają ludzi w potwory? Od których wyskakują bąble i można umrzeć? To podłe.

– Stworzyli je, żeby nas chronić.

– Chronić? Niby przed czym? Przed kim? – nie ustępowała Astrid.

– Przed naszymi wrogami! – krzyknął Brayden.

– To nieludzkie – powiedziałem. – Samo opracowanie takiej trucizny jest niezgodne z konwencją genewską. To nielegalne.

– Nie, jeśli robi to rząd – oświadczył Brayden jak jakiś skończony kretyn.

– To się w głowie nie mieści – mruknąłem.

– Hej, Brayden – zwróciła się do niego Astrid. – Co tak właściwie robi twój tata w tym NORAD-zie, co?

Też się nad tym zastanawiałem. Nawet sobie myślałem w duchu, że może tylko tam sprząta.

– To tajne, ty idiotko – syknął Brayden.

I wtedy usłyszeliśmy kołatanie.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

– Hop, hop? Jest tam kto? – rozległ się głos z oddali.

Skoczyliśmy na równe nogi.

Ktoś stał przy bramie!

Za plastikowymi zasłonami i kocami ktoś walił w bramę.

– Przyszli! – zakrzyknęły maluchy. – Przyszli po nas!

– Jest tam ktoś? – dobiegło znowu z zewnątrz. – Hop, hop!

Popędziliśmy do bramy. Zaczęliśmy wykrzykiwać jedno przez drugie:

– Hop, hop! Dzień dobry! Tu jesteśmy! Kim pan jest? Hej!

– Otwórzcie bramę! – krzyknął głos. – Słyszę, że jesteście w środku.

– Tak, tak! Utknęliśmy tutaj. Chcemy stąd wyjść! Chcemy do domu! – krzyczały wszystkie maluchy naraz.

Chloe odwróciła się do Nika i nakazała mu:

– Zdejmij te rzeczy, przecież po nas przyszedł!

– Ani się waż tego ruszać! – warknął na nią Niko. Jeszcze nigdy nie słyszałem takiego napięcia w jego głosie.

– No, co jest? Otwierajcie! Jestem głodny! – usłyszeliśmy z zewnątrz.

Maluchy nadal skakały z przejęcia, ale widziałem, że reszta już zamarła.

Wsluchiwaliśmy się bardzo uważnie. Było coś w tym tonie...

– Nie możemy otworzyć bramy – wykrzyknął Jake. – Zacięła się.

– Jasne, że możecie! Musicie tylko się postarać. No, już!

Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

– Naprawdę tu utknęliśmy – próbował wyjaśniać Jake.

– Kto tam jest? – krzyknął głos.

– Uczniowie z Lewis Palmer i Palmer Lake! – odpowiedział Jake. – Schowaliśmy się tu przed gradem i...

– Otwierajcie bramę, bachory!

– Nie mamy jak jej otworzyć, człowieku! – zdenerwował się Jake. – Ma jakieś zabezpieczenie i nie da się jej ruszyć. Ale chcemy, żebyś przekazał naszym rodzicom informację, że...

– Informację? Rodzicom? – Po drugiej stronie bramy rozległ się śmiech. – Jasne. Świetny pomysł. Przekażę im wiadomość od was. Otwórzcie bramę, to ustalimy co i jak!

W tym głosie było coś bardzo, bardzo dziwnego. Spojrzałem na Aleksa. Też już wiedział.

– Mówiłem przecież, że nie możemy! – krzyknął znowu Jake.

– Otwierajcie, smarkacze! No już, głodny jestem! Otwórzcie wreszcie!

– Nie możemy...

– OTWIERAĆ PIE... BRAMĘ! OTWIERAĆ, NATYCHMIAST!
OTWIERAĆ, OTWIERAĆ!

I znów zaczął łomotać w metal. Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

Widziałem już, że maluchy wpadają w panikę. Ich rozświetlone nadzieją twarzyczki zbladły z przerażenia.

Caroline i Henry, którzy stali za mną, przyglnęli w panice do moich nóg. Oderwałem ich, przykucnąłem i przytuliłem.

Gdy facet na zewnątrz potrząsnął mocniej bramą, nasza ściana z plastiku i koców wybrzuszyła się.

– Nasza ściana – syknąłem do Nika. – Wpuści zatrute powietrze?

– Nie wiem. Raczej nie powinna – odpowiedział.

– Idź pan sobie! – krzyknął Jake nieuprzejmie.

– Wpuście mnie! – darł się człowiek na zewnątrz. – Jak SIĘ, K...
NADMĘ I JAK K... DMUCHNĘ, TO Z TYM WASZYM PIE...
GREENWAYEM BĘDZIE KRUCHO!

Teraz już trząsał bramą na całego.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk. BRZDĘK, BRZDĘK, BRZDĘK. BRZDĘK,
BRZDĘK, BRZDĘK. Szu, szu, szu – szumiały płachty.

Astrid stanęła przed maluchami.

– Chodźcie, dzieciaki – zawołała radośnie. – Kto lubi kukielkowe

przedstawienia? Zrobię dla was wspaniałe przedstawienie!

Ani drgnęli.

Było jasne, że ten bezruch nie ma nic wspólnego z ich opinią na temat przedstawień kukielkowych. Po prostu wrośli w ziemię z przerażenia.

– Otwierać drzwi, wy małe skurwysyny!

– Idź pan sobie! – odkrzyknął Jake. – Idź pan i zostaw nas w spokoju!

BRZDĘK, BRZDĘK, BRZDĘK, BRZDĘK, BRZDĘK, BRZDĘK.

– Dzieciaki! – wydarła się Astrid. – Cukierki dla wszystkich! No już, chodźcie. I każdy dostaje po zabawce! Zrobimy sobie przyjęcie. Dalej!

Naprawdę się starała.

– Otwierać bramę albo was pozabijam. Pouryvam wam TE DURNE ŁBY I ZROBIĘ SOBIE ZUPĘ Z WASZYCH CHOLERNYCH MÓŻDŻKÓW I...

Zacząłem śpiewać.

Tak, śpiewać.

– *I'm a Yankee Doodle Dandy. Yankee Doodle do or die...* – Naprawdę nie pamiętałem słów.

Puściłem Henry'ego i Caroline i zacząłem maszerować jak na paradzie.

– *An old old coś tam, coś tam la la la, born on the Fourth of July.* – Większość wyleciała mi z głowy, ale byłem prawie pewien, że ktoś się urodził czwartego lipca.

Alex przyłączył się do mojego rozpaczliwego śpiewu. Potem Astrid. Maszerowaliśmy we trójkę jak idioci.

– *You're my Yankee Doodle sweetheart, Yankee Doodle, do or die...*

Nieco zmyślając słowa, poprowadziłem naszą trójkę przed samą bramą, żeby zasłonić maluchom widok i wyrwać je jakoś z otępienia wywołanego strachem przed potworem na zewnątrz.

Który zaczął wrzeszczeć:

– ŚPIEWACIE SOBIE YANKEE DOODLE? YANKEE DOODLE

DANDY? WSZYSTKICH WAS K... POZABIJAM!

Niko dołączył do naszego chóru, a temu facetowi naprawdę słoń na ucho nadepnął, mówię wam.

Ale to sprawiło, że maluchy się ocknęły. Przykuliśmy ich uwagę.

– *Yankee Doodle went to town a riding on a pony. I am a Yankee Doodle guy.*

Wszyscy zaczęli maszerować. Poprowadziłem paradę, najsmutniejszą paradę w dziejach, jak najdalej od wejścia do sklepu i potwora na zewnątrz. Schowaliśmy się za głupim regałem z ciasteczkami i długo obżeraliśmy się krakersami w karmelu.

Rozdział 7

Grupa krwi

DZIEŃ 2

PO JAKIMŚ CZASIE MALUCHY ZASNĘŁY. BYŁO PEWNIENIE OKOŁO TRZECIEJ po południu. Trudno powiedzieć, bo w środku oświetlenie było cały czas takie samo. Nie wiem, która była godzina, ale Astrid powiedziała im, że czas na drzemkę, i już po chwili dzieciaki spały w swoich śpiworach jak zabite.

Bliźniaki leżały razem, a Max i Ulysses przysunęli śpiwory bliżej siebie. Zostali więc już tylko Chloe i Batiste, Batiste próbował się przytulić do Chloe, ale jej się to nie spodobało.

– Zostaw mnie, Batiste – warknęła. – Śmierdzisz.

Odepchnęła go.

– To grzech tak się przepychać – wymamrotał Batiste.

– Taaa? Próbować przytulić kogoś, kto nie chce być przytulony, to też grzech!

– Wcale nie! – oburzył się Batiste.

– Tak!

– Nie!

– Tak!

– Nie.

– Tak!

– Nie kłóćcie się, dzieciaki – interweniowałem, próbując zachować spokój.

– Przytulanie to nie grzech! – wrzasnął Batiste.

– A właśnie że tak, jeśli dziewczyna nie chce być przytulona! – odparowała Chloe.

– Hej! – ryknęła Astrid. – Zamknijcie się!

Wtedy Chloe rąbnęła Batiste'a w brzuch i muszę przyznać, że jakoś bardzo mu nie współczułem, bo miałem już serdecznie dość tego dzieciaka.

Potem Batiste powiedział, że to grzech tak kogoś rąbnąć w brzuch.

Płakał chwilę, ale stopniowo jego szloch przeszedł w płytki oddech śpiącego dziecka.

Ulżyło mi, gdy zobaczyłem, że wszyscy śpią. Spojrzeliśmy po sobie z Astrid i uśmiechnęliśmy się. Był to taki dziwny moment, jakbyśmy nagle byli parą w średnim wieku, czyli tak, jak mi się marzyło, tylko za jakieś dwadzieścia lat i z co najmniej piątką nadprogramowych dzieciaków.

– Dobrze sobie radzisz z dziećmi – powiedziała.

– Ja nie bardzo – mruknąłem – ale ty tak.

Niezła konwersacja, co? No, naprawdę zaczynałem się z nią dogadywać.

– Opiekunka roku na półkoloniach w Indian Brook. Trzy lata z rzędu – powiedziała, zakładając niesforny, jasny loczek za ucho.

– To rzeczywiście coś – stwierdziłem. Znów z niezwykłym wprost wyczuciem.

Wzruszyła ramionami i poszła do naszego zepsutego telewizora, przy którym zgromadzili się starsi, żeby posłuchać wiadomości.

Gdy się dosiedliśmy do reszty, wszyscy odruchowo podnieśli wzrok, poza Josie. Siedziała przy nas, ale wpatrywała się gdzieś przed siebie. Była z nami, ale nie do końca.

– Mówią o chemikaliach – szepnął mi Alex.

Prezenter bez twarzy miał bardzo niski, uspokajający głos.

Ale to, co mówił, było przerażające.

– Mieszkańcy południowo–zachodniej części Stanów Zjednoczonych – zwrócił się do nas. – Prosimy o uwagę! W magazynach broni chemicznej znajdujących się na terenie NORAD–u w Colorado Springs w Kolorado doszło do wycieku szkodliwych substancji. Reakcja na nie uzależniona jest od grupy krwi. Osoby o grupie krwi A zareagują silną wysypką na odsłoniętej skórze. W przypadku dłuższego wystawienia na działanie substancji dojdzie u nich do krwotoku wewnętrznego prowadzącego do śmierci.

Spojrzałem na Niko. Miał grupę A. Wygląda na to, że to grupa krwi i osobowości zarazem.

– Osoby o grupie krwi AB będą cierpiały na urojenia i halucynacje.

Brayden schował twarz w dłoniach.

– Nie jest do końca jasne, jakich skutków możemy się spodziewać u osób o grupie krwi B. Niewykluczone, że będą miały problemy z płodnością. Istnieje jednak nadzieja, że nie poniosą żadnych konsekwencji w wypadku wystawienia na działanie tych substancji.

Alex i Sahalia też byli na dachu, ale nie zdradzali żadnych objawów. Mieli więc grupę krwi B. Jake też, bo przecież przebywał w magazynie, ale zupełnie nic mu nie było.

Mojemu bratu nic nie będzie. To mnie pocieszyło.

– Osoby o grupie krwi 0, czyli statystycznie najczęstszej, staną się niepoczytalne i agresywne. Zaleca się unikanie ich za wszelką cenę. Jeśli to możliwe, należy je odizolować w dostępnych komórkach lub piwnicach.

Czułem na sobie wzrok wszystkich.

Zrobiło mi się gorąco, paliła mnie twarz.

Miałem grupę krwi 0. Ja i ten facet, który dobijał się do bramy.

Świetnie.

– Na szczęście działanie chemikaliów jest krótkotrwałe. W przypadku kontaktu z trucizną należy niezwłocznie udać się w bezpieczne miejsce i przemyć skórę oraz błony śluzowe czystą wodą. Objawy powinny ustąpić w ciągu dziesięciu–dwudziestu minut. Dłuższe wystawienie na działanie trucizny prowadzi do nieodwracalnych zmian u osób o wszystkich grupach krwi z wyjątkiem B.

Po czym głos znów zalecił nam zostać w domu i czekać na pomoc.

– Jakbyśmy mieli inne wyjście – mruknął Brayden.

A teraz dobre wieści. Ha.

Prezenter poinformował, że chemikalia prawdopodobnie rozproszą się w ciągu trzech do sześciu miesięcy.

– Sześć miesięcy?! – wykrzyknęła Astrid.

Potem zapewnił nas, że rząd pracuje w pocie czoła nad zneutralizowaniem toksycznej chmury, która unosi się w promieniu tysiąca dwustu kilometrów od Colorado Springs. Ponieważ jest to chmura magnetyczna, będzie się utrzymywać bez względu na deszcz czy wiatr.

Następnie prezenter dodał:

– Obywatele Stanów Zjednoczonych, przeżywamy największy kryzys, jaki kiedykolwiek dotknął nasz kraj. Lecz jeśli znajdziemy w sobie odwagę i cierpliwość, jeśli wytrwamy mimo wszystkich przeciwności, przeżyjemy len kataklizm. Dobranoc i niech Bóg ma was w swojej opiece.

I znów zaczął się ten sam reportaż od początku.

Ktoś (pewnie Niko) przyciągnął do działu RTV puffy, więc przynajmniej mieliśmy na czym siedzieć. Były tu tylko starsze dzieciaki: ja, Jake, Brayden, Astrid, Niko, Alex i Sahalia.

Niko, co do którego nie miałem już wątpliwości, że nie potrafi usiedzieć spokojnie, sprzątał bałagan po trzęsieniu ziemi, ale tylko w naszej części.

Siedzieliśmy tak wszyscy razem i rozmawialiśmy o tym, co usłyszeliśmy. I o wszystkim, co się wydarzyło.

Zastanawiałem się, jaką grupę krwi mają rodzice.

Modliłem się, żeby B.

Problemy z płodnością. Tak, oby mieli grupę B.

– Hej, Niko – mruknął Jake. – Co myślisz o powietrzu w sklepie? Uważasz, że jest czyste?

– Przecież nie wiemy, jaką grupę krwi mają maluchy. Nieciekawie byłoby się obudzić w środku nocy z bandą krwiożerczych przedszkolaków – dodał Brayden.

– Na pewno nie możemy pobierać powietrza z zewnątrz – stwierdził Ni ko.

– No ale czy się nie udusimy, jeśli będziemy odcięci od dopływu świeżego powietrza? – odezwała się Sahalia.

– Nie, objętość powietrza w tej przestrzeni jest wystarczająca – orzekł Alex.

– Może dałoby się włączyć jakieś filtry – zastanawiał się Jake. – Na wypadek, gdyby jednak dostało się tu powietrze z zewnątrz...

– Ciekawe czy są tu jakieś rośliny? – zastanawiałem się. – Albo chociaż nasiona. Gdybyśmy mieli rośliny, filtrowałyby powietrze i Produkowały tlen.

– Bardziej się martwię o zasilanie – odparł Niko. – Nie wiem, czy chmura nic uszkodziła jakoś systemu pobierania energii słonecznej na dachu.

– Świetnie _ jęknął Brayden. – Jeszcze tego brakuje, żebyśmy tu siedzieli po ciemku!

– Myślałem już o tym – powiedział Alex, wstając. – Chmura na pewno wpływa na przesyłanie energii. Tuż przed tym, jak Dean mnie zaatakował, światło zrobiło się dziwnie zielone, no nie?

To było chore. Moja próba zabicia Aleksa stanowiła teraz ogólnie uznawany punkt odniesienia.

– Jeśli światło naprawdę stało się zielone – ciągnął Alex – albo żółtawe, to chmura zaprojektowana jest tak, żeby blokować niebieskie i czerwone spektra, które z kolei są potrzebne do życia roślinom. Panele słoneczne przyjmują jednak każde spektrum. Jeśli dostaną tylko żółte, i tak będą działać.

Chodził teraz w kółko. Robił tak zawsze, gdy był naprawdę przejęty.

– Chryste, ale z ciebie geek... – prychnęła Sahalia.

Wyglądała na dużo starszą od swojego brata. Aż trudno było uwierzyć, że oboje mają trzynaście lat.

– Zastanawiałem się nad jedzeniem – przerwałem jej. – Jest dużo świeżych produktów, które powinniśmy zjeść, zanim się zepsują.

– Przede wszystkim powinniśmy posprzątać – dodał Niko. – Musimy poukładać wszystko z powrotem na półkach i powyrzucać rozbite szkło, żeby wiedzieć, co mamy, i przygotować...

– Naprawdę nikt nie myśli o wydostaniu się stąd? – weszła mu w słowo Astrid. – Niby co? Będziemy tu teraz mieszkać? Jedna wielka rodzina? Do końca życia?!

Zamilkliśmy.

Astrid leżała na pufie i stopą wystukiwała rytm na przewróconym regale.

– Nie do końca życia. Tylko dopóki sytuacja na zewnątrz nie wróci do jako takiej normy – odpowiedział Jake.

– A co z naszymi rodzicami? – spytała Astrid.

Zapadła cisza. Wpatrywałem się w swoje dłonie. Skórę miałem suchą i zauważyłem zadrapania, o których dotąd nawet nie wiedziałem. Ręce były szorstkie.

– Nie żyją? Po prostu zakładamy, że nie żyją, tak? – Głos Astrid był ostry. Jakby dotarła na skraj wytrzymałości. – Będziemy sobie tu siedzieć i zajadać cukierki, a oni może właśnie na zewnątrz umierają. Moją mamę może

właśnie atakuje taki typ jak ten, co się do nas dobijał. Albo może mój tata wpadł w paranoję i ukrywa się pod zlewem. Albo zamknął mamę w piwnicy, bo może ona ma grupę krwi 0 i rzuciła się na niego ze swoim ulubionym kuchennym nożem. A może to ona jego zamknęła w piwnicy. Nie, chwila. Przecież my nie mamy piwnicy. Czyli pewnie już nie żyją. Pewnie się pozabijali. A moi bracia... – Zniosła się szlochem. – Erie ma tylko dwa i pół roku. O niego już nawet nie mam się co martwić. Na pewno dawno nie żyje...

Jake wstał i podszedł do niej. Położył jej rękę na ramieniu.

– Będzie dobrze, Astrid – powiedział.

Wtuliła się niego.

– Nic was to nie obchodzi? – łkała. – Czy to was nie doprowadza do szału? Nie zamartwiacie się o to, co się tam dzieje?

Trzymał ją w tych swoich ramionach futbolisty, a ona płakała.

Zerwałem się na równe nogi i ruszyłem w kierunku działu remontowego, zanim się zorientowałem, co w ogóle robię.

Alex podreptał za mną.

Wpadłem między półki z żywnością dla zwierząt i kopnąłem pudło z karmą dla psów.

– Dean? – odezwał się Alex. – Nie wiesz przypadkiem, jaką grupę krwi mają mama i tata?

Pokręciłem głową.

– Przykro mi, że mam B, a ty 0 – dodał.

– Nie bądź śmieszny – mruknąłem. – Cieszę się, że masz B. To najmniej przerażająca opcja.

– Bezpłodność na pewno jest z tego wszystkiego najlepsza – zgodził się ze mną. – I tak mało prawdopodobne, żebym został kiedyś ojcem. Mało prawdopodobne, żebym chciał nim zostać, nawet gdybym mógł. Po tym wszystkim.

Spojrzałem na niego. Czasami jego sposób myślenia naprawdę mnie zadziwiał. Potrafił sobie ze wszystkim poradzić, jeśli tylko dawało się to naukowo wyjaśnić.

– W każdym razie chciałem ci powiedzieć, że przykro mi, i masz tę najgorszą grupę.

I poszedł sobie usatysfakcjonowany tą rozmową.

Muszę wam powiedzieć, że Alex był zupełnie jak nasz tata. Wyglądał jak on, myślał jak on, nawet spodnie wkładał jak on.

Tata był inżynierem i geodetą. Pracował dla firmy Richardson Hearth Homes. Uwielbiał swoją pracę, ale nie znosił domków, które pomagał budować. Wszystkie te klitki z wymiennymi elementami – takimi jak blaty, urządzenia i kolor tynku – były jego zdaniem dla ludzi o zacentrowanych horyzontach. Sam wymyślił to określenie. Znaczyło mniej więcej to, co zawężone horyzonty, ale odnosiło się do centrów handlowych.

Ludzie o zacentrowanych horyzontach pracują całe życie dla jednej sieci, żeby zarobić pieniądze, które następnie wydają na bądziejwe produkty i niedobre jedzenie w innej.

To określenie poniekąd wiele mówiło o moim tacie. Pogardzał naszymi sąsiadami, ale budował domy, w których mieszkali. Dziwaczny paradoks. I my oczywiście też zawsze mieszkaliśmy w wybudowanych przez niego domach.

Zdaje się, że nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby tam nie mieszkać – firma dawała rodzicom niezwykle korzystne zniżki.

Tata uwielbiał za to techniczne aspekty swojej pracy. Mierzenie, maszyny i komputery – wszystkie te rzeczy, w których był dobry.

Alex też był taki. Zawsze myślał liczbami, trendami, wzorami.

Kiedy był mały, bał się wszystkiego, psów, ciężarówek, ciemności, Halloween, dosłownie wszystkiego.

Tata nauczył go analizować. Oswajać strachy poprzez analizę.

Dlatego zbieranie z Alekssem słodczy w Halloween było jak wysłuchiwanie bardzo długiego sprawozdania technicznego:

– To nie jest prawdziwa wiedźma. To plastikowa figurka z diodami elektroluminescencyjnymi zamiast oczu i nagrany wrzaskiem. To nie są prawdziwe nagrobki. To atrapy z tworzywa sztucznego z przerażającymi napisami wymyślonymi przez jakiegoś komika. To nie są prawdziwe demony, tylko licealiści przebrani w kostiumy z Walgreens lub może zamówione przez internet...

I cały czas ścisnął przy tym moją rękę, jakby to było jedyne, co go trzymało przy zdrowych zmysłach.

Lubiłem być jego opiekunem – tym, który dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Dlatego czułem się jeszcze podlej po tym, gdy go zaatakowałem.

Przedtem zawsze stanowiliśmy zgraną drużynę: on był superbystry, ja – superstabilny. Właściwie trochę jak nasi rodzice.

Tata był genialny, ale zawsze pełen niepokoju, a mama spokojna i optymistyczna.

Uwielbiała książki. Było to zamiłowanie, które naprawili, rozumiałem. Nasz dom był pełen starych książek. Kupowała je całymi kartonami, bo ludzie coraz częściej czytali na tabach.

Mama kupowała książki maniakalnie, jakby się bała, że przestaną je drukować.

Ulubionych tytułów miała po kilka egzemplarzy. Miała chyba z osiem wydań *Własnego pokoju* (jak dla mnie trochę niezrozumiałego) i pięć *Autostopem przez Galaktykę* (świetna książka).

Zawsze mi opowiadała o swoich pomysłach na powieści, ale nigdy żadnej nie zaczęła pisać.

Kiedyś spytałem ją, dlaczego nie pisze tych książek, o których mi opowiada.

– Wiesz, kochanie, próbuję – powiedziała. – Ale gdy już ci o nich powiem, to jest tak, jakby uleciało powietrze z balonika, i już nie muszę pisać.

Więc zamiast być pisarką, zajmowała się nami.

I podczas wakacji trochę pracowała.

Znaleźliśmy z Alekssem coś do jedzenia i wróciliśmy do działu RTV.

Mała Caroline się obudziła i Astrid poszła ją uspokoić. Podniosła ją i przytuliła.

– Śnił mi się koszmar – łkała Caroline. – Chcę do mamy.

– Wiem, wiem – szeptała Astrid, tuląc ją mocno.

– Dzięki za pobudkę, bekso – syknęła Chloe. – Muszę siusiu. Kto mnie zaprowadzi do toalety?

– Nie wolno mówić na kogoś „beksa”, Chloe – zwrócił jej uwagę Batiste. – To jest wiesz co.

– Wcale nie! – oburzyła się Chloe.

– Wcale tak! – upierał się Batiste.

– Wiesz, Batiste, jesteś dość skory do krytyki – zauważyła Astrid. – Obawiam się, że krytykanctwo to grzech.

– Wcale nie! – obraził się Batiste. – Wiem wszystko o grzechach i krytykanctwo nie jest grzechem.

– Może i nie, ale lepiej nie ryzykować, co? – powiedziała Astrid.

To mu dało do myślenia.

Stłumiłem śmiech na widok jego zdezorientowanej miny.

– Dobra, dzieciaki – rzuciła Astrid. – Zaprowadzę was do toalety. Wszyscy idą siusiu, a potem myją ręce. Później znajdziemy jakąś mrożonkę na kolację.

– Idziemy do damskiej toalety? – spytał mały Henry. – Nie chcę do damskiej. Chcę do męskiej.

– Mama raz mnie zabrała do damskiej toalety – dorzucił zaraz Max. – Była tam pani i płakała, miała kostki lodu i pocierała nimi oko, i powiedziała: „Jeśli Harry uderzy mnie jeszcze raz, to już nie wiem, co zrobię”, a wtedy z kabiny wyszła druga pani i powiedziała: „Jeśli Harry uderzy cię jeszcze choć jeden raz, wsadzisz mu to do jego durnej gęby!”. I wyciągnęła prawdziwy, najprawdziwszy pistolet i położyła na umywalce. Z metalu, mówię wam. I wtedy mama odwróciła się do mnie i powiedziała: „Powiedz tacie, żeby cię wziął ze sobą do męskiej”.

Zaczynałem dochodzić do wniosku, że Max wie bardzo interesujące życie. Wyciągnąłem notes, żeby zapisać jego opowieść.

Astrid tymczasem zorganizowała dzieciaki. Powiedziała Henry’emu, że będą się trzymać razem i pójdą do damskiej toalety, co było bardzo rozsądne, choć wywołało jęki niezadowolenia ze strony chłopców.

Rozdział 8

Woda

DZIEŃ 2

NIE WADZIŁEM NIKOMU I SPISYWAŁEM SOBIE RÓŻNE RZECZY, KIEDY podszedł Brayden i zaczął kopać pufę, na której siedziałem.

– Chryste, Dean, z tobą jest coś kompletnie nie tak, co? Skąd ty się urwałeś? Ze średniowiecza?

– Brayden... – mruknął ostrzegawczo Jake ze swojej pufy, a w jego tonie słychać było „wyluzuj”.

– Wiedziałem, że Geraldine jest dziwny, ale naprawdę nie miałem pojęcia, że jest z nim aż tak źle.

– Zapisuję sobie różne rzeczy – powiedziałem. – Po prostu lubię pisać.

– Założę się, że jest tam coś o mnie – ryknął i wyrwał mi dziennik.

– Przestań! – zdenerwowałem się i zerwałem na równe nogi.

Trzymał notatnik za plecami, w wyciągniętej ręce.

Kiedy próbowałem go dosięgnąć, przerzucił go sobie do drugiej ręki.

Scena zupełnie jak z naszej pierwszej klasy.

– Założę się, że jest tu coś o nas wszystkich – kpił Brayden. – Szczególnie o Astrid.

Zabiłbym go, gdyby Astrid to słyszała. Ale była w toalecie dzieciakami.

Zdawałoby się, że gdy człowiek utknie w Greenwayu podczas

prawdziwego końca świata, to wyjdzie z niego to co najlepsze, ale – niespodzianka! – Brayden nadal był tylko dupkiem i chamem.

Wyrwał kartkę z notatnika i zmrużył oczy trzymając resztę wysoko nad głową, poza moim zasięgiem.

– Jezu, chłopie, ale ponuractwo – mruknął czytając.

– Ale z ciebie kretyn, Brayden! – wrzasnąłem. – Jak możesz się tak zachowywać?

– Brayden, przestań – nakazał Jake.

– Nie chcesz się dowiedzieć, co on napisał o tobie Simonsen?

– POWIEDZIAŁEM: PRZESTAŃ! – ryknął Jake.

Brayden podskoczył. Wszyscy podskoczyliśmy.

Jake już stał tuż przy Braydenie z pięściami, gotowy do bójki. Jego pogodny uśmiech zniknął bez śladu. Był wściekły.

– Mam to gdzieś – mruknął Brayden i cisnął notatnik daleko między regały.

– Musisz się nauczyć wyluzowywać, chłopie – warknął na niego Jake.

– Dobra, dobra, przepraszam – powiedział Brayden do Jake’a, unosząc ręce na znak, że się poddaje. Wzruszył ramionami. – Serio. Przepraszam.

Czy po cichu wyzwiałem go od dupków, gdy popędziłem po swój dziennik?

Oczywiście, że tak.

Wtedy usłyszeliśmy ten cienki, brzęczący dźwięk. Jak syrena albo alarm przeciwpożarowy. Tylko że dochodził z wewnątrz. I narastał.

Ulysses.

Wrzeszczał i pędził w naszą stronę.

Podbiegliśmy do niego i teraz już słyszeliśmy odgłosy bijatyki w łazience. Piski, krzyki i jakieś nieludzkie wrzaski.

Niko pchnął drzwi.

Maluchy zupełnie zwariowały.

Bliźniaki McKinley kulili się pod umywalkami.

Chloe siedziała na Maksie i wbijała mu zęby w głowę. Na podłodze było pełno krwi.

Wszyscy wrzeszczeli, płakali i rzucali się na siebie nawzajem.

Poza Astrid.

Trzymała Batiste'a za gardło. Przyciskała go do ściany. Twarz miała czerwoną. Żyły na jej szyi nabrzmiały. Wyglądała jak rozjuszony byk.

A Batiste właśnie umierał. Przez uduszenie. I obydzie nigdy nie zobaczyli niczego tak okropnego. Jego twarz była sina, oczy wielkie, a nogi zwisały bezwładnie.

Niko i Jake rzucili się na nią natychmiast i odciągnęli od chłopca. Walczyła, miotała się, gryzła i kopała, a ja chciałem patrzeć, chciałem się przyłączyć i już czułem, jak we mnie buzuje krew, gdy nagle czyjeś dłonie wyciągnęły mnie z łazienki.

Sahalia. Kto by pomyślał.

– Ty się w to nie mieszaj, złośniku – syknęła.

I urwałbym jej łeb, ale tym razem trucizna tylko lekko mnie dotknęła, więc zmusiłem się do odejścia. Wszedłem między regały i udało mi się uspokoić oddech.

Z łazienki wyszedł Niko. Trzymał wrzeszczącą i wierzgającą Chloe.

– To woda – powiedział. – Dostały się przez nią chemikalia.

Już miał kilka bąbli.

– Nic mi nie jest – wycodziłem przez zęby. – Mogę pomóc.

Wziąłem Chloe za ręce. Próbowwała mnie podrapać. Wyrывała się, darła i usiłowała mnie pogryźć. Ale byłem o wiele silniejszy – silniejszy niż zwykle. Krążyły już we mnie chemikalia, które ją zatrują. Jej wściekłość napotkała moją złość.

Zresztą Chloe w ogóle była cholernie denerwującym dzieciakiem, tak że z przyjemnością ją obezwładniłem. Ze wstydem muszę przyznać, że trzymałem jej małe, tłuste łapki z wielkim, podłym uśmiechem na twarzy.

Niko miał coraz więcej bąbli.

– Idź po zyrtec – powiedziałem do niego.

Pobiegł między regały, potykając się w pośpiechu.

– Zaraz wracam – zawołał.

Sahalia wyszła z bliźniakami, które najwyraźniej miały halucynacje i napad paniki. Nie dało się nawet zrozumieć, co wrzeszczą. Trzymały się siebie kurczowo i darły wniebogłosy.

Za nimi dreptał Max, łkając i przyciskając dłonie do krwawiącej głowy.

– Woda jest zatruta – mruknęła Sahalia.

Jake wypadł z łazienki z Batiste'em w rękach. Głowa chłopca zwisała luźno na jego ramieniu.

– Potrzebuję miejsca – krzyknął Jake. – Nie oddycha.

Podbiegł do nas Brayden. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że nie wbiegł z nami do łazienki. Został gdzieś z tyłu, między regałami.

Tchórz.

– Umiem robić sztuczne oddychanie – powiedział i pochylił się nad chłopcem. Ale potem podniósł wzrok, nagle osowiały i przerażony. Może to chemikalia zaczynały działać. Pewnie powinienem brać na to poprawkę.

– Ja też – zawołał Niko. Zajął miejsce Braydena, który z ulgą się odsunął.

Niko przyłożył usta do sinych warg Batiste'a i dmuchnął, jakby dzieciak był gasnącym ogniskiem na biwaku. Bogu dzięki, nie czekaliśmy długo. Bo Niko by chyba nie dał rady.

Zaraz zaczął kaszleć mokrym kaszlem.

Kilka długich wdechów, kilka delikatnych, ale stanowczych ucisków chudej klatki piersiowej chłopca i Batiste otworzył oczy. Zrobił drżący

wdech. I jeszcze jeden.

Widziałem, jak Brayden patrzy na Nika. Na jego twarzy malowała się zazdrość, pomieszana z żalem. Może też ze strachem. Ale głównie zazdrość.

Tymczasem Jake wyciągnął Astrid z łazienki.

Bluzkę miała rozdartą i krwawiło jej ucho.

– Potrzebuję liny albo czegoś! – krzyczał Jake.

Astrid wyrywała mu się i krzyczała. Trzasnęła go łokciem w głowę i uwolniła się.

Odskoczyła i popędziła przed siebie. Poślizgnęła się, ale odzyskała równowagę i pomknęła w ciemność między regalami.

Jeszcze raz obejrzała się w naszą stronę i zobaczyłem w jej oczach strach.

Mieliśmy więc pięcioro płaczących maluchów, przy czym kaziły był do pewnego stopnia zatruty chemikaliami.

W każdym razie wiedzieliśmy już, kto ma jaką grupę krwi.

Jakby nie dość było obrażeń po ataku Chloe, Max miał też coraz więcej bąbli (grupa A). Bliźniaki McKinley chowały się przed nami – wyraźnie miały paranoję (grupa AB). Ulysses nawijał po hiszpańsku, tak szybko, że było jasne, że też ma grupę AB.

Batiste miał grupę B, czyli tę, która nie dawała właściwie żadnych objawów po kontakcie z toksynami – tak jak Alex, Jake i Sahalia (bezpłodność – hurra!).

– Musimy umyć maluchy – powiedział Brayden.

– Nie gadaj? – prawie na niego wrzasnąłem (grupa 0).

– Wal się – syknął.

Chciałem go zabić. Naprawdę. Rozszarpać na kawałki.

Niko spojrzał na mnie badawczo.

– Idź, Dean – powiedział. – Te chemikalia są silne. Już jesteś pod ich wpływem.

– Taaa, znajdź Astrid – zakpił Brayden. – Wymarzona para.

Podobno go pogryzłem.

Niczego nie pamiętam.

Ocknąłem się jakiś czas później, związany. Leżałem na pufie, twarzą do dołu.

Próbowałem usiąść, ale nie dałem rady.

Udało mi się tylko przetoczyć na bok.

Zobaczyłem Chloe. Świeżo umytą, owiniętą w ręcznik i zjadającą batoniki Butterfingers jeden za drugim, jakby to były papierosy, a ona była w ciągu. A ja byłem chyba jej operą mydlaną.

Na marginesie: maluchy zostały umyte butelkowaną wodą wlaną do wielkiego basenu. Potem starsi zapakowali tam też zanieczyszczone ubrania i przykryli plastikowymi zasłonami. Paskudna, zatruta, wywołująca bąble i halucynacje woda zakryta starannie w dziecięcym basenie. W sumie genialne.

Mój brat to wymyślił.

Basen wepchnęli między regały z wózkami dla dzieci. Ta część hipermarketu będzie potem nosiła wśród nas miano Śmietniska.

– Chloe – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko potrafiłem. – Idź, proszę, do Aleksa i powiedz mu, że już nic mi nie jest i chciałbym, żeby mnie rozwiązano.

Wzruszyła ramionami.

– Chloe, idź po Aleksa.

– Niby dlaczego miałabym to zrobić? – spytała tym swoim zarozumiałym tonem.

– Bo cię o to proszę – odparłem.

Zignorowała mnie i skupiła się na odrywaniu małych kawałków czekolady z batonika.

– Chloe!

– A co mi dasz?

– Żarty sobie stroisz?!

Ziewnęła.

– Idź po Aleksa.

– Nie muszę robić, co mi każeś. Nie jesteś moim szefem.

– Przecież cię proszę. Proszę!

– Wcale nie prosisz, tylko rozkazujesz. Nikt nie lubi, jak ktoś się rządzi, wiesz?

Gdyby moje nadgarstki nie były otarte do krwi przez nylonową linkę, pewnie nawet uznałbym tę rozmowę za zabawną.

– Chloe, o piękna Chloe! Pani wszystkiego, co dobre i piękne na tym świecie, czy raczyłabyś w swej wspaniałomyślności przekazać dobre wieści memu młodszemu bratu?

Zachichotała.

– Powiedz: „proszę” – drażniła się.

– O, najpiękniejsza z najpiękniejszych niewiast...

– No dobra... – zgodziła się wreszcie i polazła do pozostałych dzieciaków.

Dopiero wtedy zauważyłem, że tuż obok pufy, na której siedziała, leży w śpiworze Batiste. Po prostu leżał i wpatrywał się w sufit.

– Hej, Batiste – zawołałem. – Wszystko w porządku? Nie odpowiedział.

Przybiegł Alex i rozsupłał mocne węzły.

– Ugryzłeś Braydena w głowę – powiedział z błyskiem w oku. I szeptem dodał: – To było niesamowite!

– Gdzie są wszyscy? – spytałem, rozcierając nadgarstki.

– Kończymy kąpać bliźniaki – odpowiedział.

Odwrócił się, żeby wrócić do swoich zajęć. Nie poszedłem za nim.

– Zobaczymy się potem? – spytał.

– Nigdzie się nie wybieram – mruknąłem.

Usłyszałem ciche chrapanie ze śpiwora trochę dalej między regałami. Pewnie naszprycowali Maksa lekami przeciwhista– minowymi, bo jakoś dziwnie mocno spał. Bąble na jego skórze nieco zbladły, więc lek chyba działał.

Podszedłem do Batiste’a. Był nagi, zawinięty tylko w ręcznik i zapakowany w śpiwór. Przygaszony i zimny.

– Wszystko w porządku, mały? – spytałem.

Ręce miał jak lód.

– Zaraz się tobą zajmę – powiedziałem.

Poszedłem do działu z ubraniami chłopięcymi i wybrałem mu ciepłą odzież. Znalazłem nawet parę durnych szenilowych skarpet. Uznałem, że zasłużył na coś wręcz absurdalnie ciepłego i miękkiego.

– Hej, Batiste. – Pokazałem mu ciuchy. – Zobacz, co dla ciebie mam.

Ani drgnął. Więc go ubrałem, no, nie wiem, no, jak niemowlaka. A gdy był już ciepło ubrany, łącznie z tymi durnymi skarpetkami, jeszcze roztarłem mu plecy.

Tak. Zapewniam was, że czułem się przy tym równie zażenowany jak teraz, kiedy o tym piszę.

Ale czułem pod palcami, że jego chude ciało rozluźnia się troszkę, więc masowałem dalej.

Uznałem, że to dobry znak, kiedy kilka minut później wycharczał:

– Gardło mnie boli.

Poszedłem po ibuprofen dla dzieci i lody na patyku. W drodze powrotnej natknąłem się na Braydena. Niósł owiniętego w ręcznik Henry’ego.

Pokazał mnie palcem i powiedział:

– Dupek.

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego właściwie zrobiło mi się wtedy tak wesoło.

Nikt jakoś nie myślał o kolacji, a dzieciaki zgłodniały, więc powyciągałem trochę produktów z zamrażarek: panierowane kawałki kurczaka w kształcie dinozaurów, mrożoną fasolkę szparagową i dwie torby ziemniaków do pieczenia.

Potem musiałem wykombinować, jak to właściwie upiec. W pizzerii były tylko przemysłowe piece i mikrofalówki. Nie było żadnej kuchenki ze zwykłym palnikiem, więc nie miałem pojęcia, co zrobić z fasolką. Wysypałem ją na jedną z tac do pizzy i wsadziłem do pieca. Wyszły zwęglone słomki. Nie potrafię tego lepiej opisać. Wsuszone na wiór, czarne słomki.

Ale pieczone ziemniaki były idealne.

Kurczaki natomiast zimne w środku. Maluchom chyba to nie przeszkadzało. Ale Jake wsadził kilka z powrotem do pieca, żeby były dla starszych, i te dinozaury z kurczaka dołączyły do mojej fasolki w swoim węglowym niebie.

Głównie więc jedliśmy na kolację ziemniaki.

Gdy już wszyscy zjedli, zaniósłem posiłek Josie i siedziałem przy niej, gdy jadła.

Nabrałem zwyczaju rozmawiania z nią, a raczej mówienia do niej.

Nasze rozmowy przebiegały mniej więcej w ten sposób:

Ja: Jak tam, Josie?

Josie:

Ja: U mnie wszystko w porządku, dzięki, że pytasz. To znaczy jestem trochę przybity tym końcem świata i w ogóle, ale jakoś daję radę. A ty?

Josie:

Ja: No właśnie, tak też sobie myślałem. Nie jest ci łatwo, co? Wiesz, mamy mnóstwo czystych ciuchów. Nie możemy używać wody, ale mamy nawilżane chusteczki, więc możemy się nimi myć. Całkiem nieźle się sprawdzają.

Przynieść ci parę? Przydałoby się trochę obmyć. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że to powiedziałem. No i ten bandaż na głowie. Trzeba go koniecznie zmienić.

Josie:

Ja: Jasne, przyniosę ci nowy. Nie ma sprawy. I chusteczki też. Powiem szczerze, że trochę się o ciebie martwimy. Wiesz, nie powiedziałaś ani słowa od zdarzeń w autobusie...

Josie:

Ja: No, dobra, w każdym razie jestem tu, jakby co. Gdybyś czegoś potrzebowała, to wystarczy jedno słowo. Właściwie jakiegokolwiek słowo byłoby dobre...

Mniej więcej tak.

Deseru nie dało się spieprzyć. Lody na patyku.

– Niko, jutro pójde się przyjrzeć, jak stoimy z elektrycznością i całą resztą – powiedział Alex z fioletowymi od lodów ustami. – Dean i ja uważamy też, że powinniśmy jak najszybciej posprzątać dział spożywczy. Powinniśmy jeść świeże produkty...

– Hola, hola! – przerwał mu Brayden. – Jake ma wszystko pod kontrolą. Już to zaplanował.

– No – potwierdził Jake. – Jutro podzielimy na drużyny i zaczniemy doprowadzać to miejsce do ładu.

Niko kiwnął głową w stronę Aleksa.

– Dobry pomysł – rzucił.

– Możemy pomóc sprzątać – zaoferował mały Henry. – Caroline i ja jesteśmy dobrymi pomocnikami.–

– Ja też świetnie sprzątam – dodał Max. – Najlepiej myję podłogę. W życiu byście nie uwierzyli, po czym już sprzątałem!

Strach było pomyśleć.

– Jasne – zgodził się Jake. – Jutro sprzątam.

Gdy już zapakowaliśmy się na noc do śpiworów, wypłynął problem toalet.

– Ulysses musi siusiu – oświadczył Max.

– A ty niby skąd to wiesz? – spytał Jake.

– To mój przyjaciel. Rozumiem go – odparł Max.

– Powiedz mu, żeby się wysikał gdzieś w kącie – wymamrotał Jake. – Ja tak zrobiłem.

Nie mnie to oceniać. Już też tak zrobiłem.

– To niehigieniczne – orzekł Alex.

– Ale on się boi. Nie pójdzie sam. Ja też nie.

– A ja muszę iść na dłużej – dodała Chloe.

– Świetnie – jęknął Jake.

Była to jedna z tych chwil, w których najlepiej poradziłaby sobie Astrid, ale zdezerterowała, więc musieliśmy sami coś wymyślić.

Henry i Caroline zaczęli szeptać między sobą z wielkim przejęciem, po czym Henry uniósł rękę.

Jake nawet tego nie zauważył, więc powiedziałem:

– Tak, Henry?

– Czasami, kiedy idziemy z Caroline na przyjęcie pidżamowe, to wkładamy papierowe majteczki. A skoro to jest trochę takie pidżamowe przyjęcie, mamy takie majteczki.

I wyciągnął otwartą paczkę jednorazowych gaci rozmiar 6.

– Chcesz powiedzieć, że mamy srać w pieluchy? – spytał Brayden.

Henry skulił się trochę.

– To nie taki zły pomysł – powiedział Niko. – Możemy rozkładać pieluchy na podłodze, robić, co mamy do zrobienia, a potem je zwijać i wkładać do worka na śmieci. Może to dobre rozwiązanie.

Tak zrobiliśmy.

A maluchy w ogóle od razu założyły pieluchy. Bały się same wstawać w nocy. Mowy nie było o pójściu z nimi do łazienki po tym, co się tam stało ostatnim razem.

Więc po prostu zaczęły nosić pieluchy.

Mały regres?

(Następnego dnia Niko zbudował dla nas latryny w dziale z wózkami dla dzieci. Były dość dziwne, zrobione z deski włosowej nałożonej na plastikowe wiadra – takie używane na budowach. W środku była plastikowa torba. Co jakiś czas trzeba było torbę zawiązać i wyrzucić do plastikowego pojemnika. Piszę o tym na wypadek, gdybyście chcieli wiedzieć, jak rozwiązaliśmy ten problem).

Około dziesiątej światła w sklepie przyciemniły się automatycznie. Miało się wręcz wrażenie, że zapadła noc. W śpiworze na podłodze było okropnie twardo i obiecałem sobie, że rano przyciągnę tu jakieś leżaki albo coś.

Wierciłem się i wierciłem, aż zasnąłem.

Obudził mnie cienki głosik.

Któreś z dzieci mówiło przez sen. Nie wiem które.

Był to monolog złożony z jednego słowa.

Jednego słowa powtarzanego z najróżniejszą intonacją, która nadawała mu różne znaczenia.

To słowo brzmiało: mamusiu.

Prosząco, grożąco. Wołająco, żądająco. Błagająco, żebrząco.

Zdawało mi się przez chwilę, że może tylko mi się to śni, aż usłyszałem, jak Brayden mówi:

– Zamknij się. Zamknij się!

I wołanie ustało.

Rozdział 9

Trąbka kibica

DZIEŃ 3

NASTĘPNEGO RANKA PIERWSZE WSTAŁY MALUCHY. PRÓBOWAŁY OBUDZIĆ Jake'a, ale tak twardo spał, że w końcu obudziły mnie. Nika nie było. Pewnie już dawno wstał i znalazł sobie jakieś pożyteczne zajęcie.

Alex jeszcze spał. Nie chciałem go budzić.

Wyszło na to, że muszę zrobić śniadanie.

Bardzo, ale to bardzo nie chciałem awansować na kucharza. Wszystko jednak na to wskazywało. Roztrzepywałem jajka widelcem, gdy podszedł do mnie Batiste.

– Dlaczego nie używasz miksera? – spytał.

– Nie mamy miksera – odpowiedziałem. – Dlatego tak trudno jest tu gotować. Mamy tylko dwa przemysłowe piece i tę wielgachną mikrofalówkę.

– Ale czemu sobie nie przyniesiesz miksera? – zapytał, przechylając głowę jak jakiś pudelek.

Chyba równie głupio wyglądałem, jak się czułem, bo dodał:

– Z półki.

Roześmiałem się. Siedzieliśmy w tym sklepie od trzech dni, a jakoś do głowy mi nie przyszło, że mamy tu pod nosem wszystkie możliwe urządzenia

elektryczne. Ledwie dwa regały dalej.

– No jasne – wykrzyknąłem. – Pomożesz mi?

– Pewnie! – ucieszył się.

– Chodźmy.

Razem wyposażyliśmy kuchnię w mikser, jak również i elektryczny grill, wielki opiekacz, toster na sześć kromek, piekarnik elektryczny, czajnik elektryczny, urządzenie do gotowania ryżu, robota kuchennego i najrozmaitsze patelnie, misy, trzepaczki, tarki do sera i łyżki. W sumie to po egzemplarzu każdego artykułu, jaki znaleźliśmy w dziale kuchennym.

Gdy „byliśmy na zakupach”, Batiste opowiedział mi o swoich rodzicach, o Kościele, o wielebnym Grandzie i o swoim psie Blackiem.

Uznałem, że dochodzi do siebie po tym zajściu z Astrid.

Kiedy wróciliśmy z naszymi zdobyczami, dzieciaki pomogły nam wszystko rozpakować i przez chwilę wyglądały na szczęśliwe, gdy przygotowywałem jajka na bekonie (na prawdziwej patelni!), ale już po chwili zaczęły się między sobą kłócić i doprowadzać mnie do szału.

A miałem przecież cały ten bałagan w kuchni, z którym musiałem się uporać.

– Idźcie do Jake’a – powiedziałem. – Spytajcie go, jaki jest plan.

Poszły, przewracając po drodze pudła, rozrabiając, marudząc i paplając.

Zapakowałem talerz z jajkami i bekonem w folię, wyrwałem kartkę z notatnika i zostawiłem ją obok talerza. Napisałem na niej tak:

Astrid, to dla Ciebie. Jajka wyszły okropnie, ale zjedz, jeśli chcesz. Wiem, że pewnie kiepsko się czujesz. Naprawdę to rozumiem, więc znajdź mnie, jeśli zechcesz pogadać.

Dean

W końcu przyszedł Alex. Zaproponowałem mu jajka, ale zamiast tego zjadł gotowego tosta Pop-Tart.

– Dean, jak myślisz, co się tam dzieje na zewnątrz? Tak naprawdę.

Byłem zmęczony. Bolały mnie oczy. I głowa. Wcale nie chciało mi się o tym gadać, choć z drugiej strony ulżyło mi, że Alex w ogóle się do mnie odzywa.

Zdjąłem okulary i potarłem oczy.

– Myślę, że ludzie z grupą krwi 0 zabijają i grasują po mieście. Mnóstwo osób pewnie się ukrywa. Część jest cała w bąblach i umiera od krwotoku.

Alex pokiwał głową.

Wyciągnął plik kartek w linie.

– Zrobiłem kilka obliczeń – powiedział.

Spojrzałem na kartkę.

Na górze było napisane POPULACJA MONUMENTU PRZED KRYZYSEM – OKOŁO 7000

Potem mnóstwo cyfr i różnych obliczeń.

A na dole: SZACUNKOWA POPULACJA NA DZIEŃ DZISIEJSZY: 2200.

Wpatrywałem się w ten papier. W koszmar kryjący się za cyframi.

Wiedziałem, jak funkcjonuje mój brat. Liczby i wzory to dla niego terapia. Nieznane i niepoliczalne przerażało go najbardziej.

– Chcesz, żebym ci to wyjaśnił? – spytał z ożywieniem.

– Nie – powiedziałem. – Chcę, żebyś to ukrył. Nikomu tego nie pokazuj.

– To tylko matematyka – bronił się.

Chyba go uraziłem.

– To nie matematyka – odparłem. – To ludzie.

Wyczyściliśmy kuchnię. Bez bieżącej wody nie było to łatwe, Zdaliśmy się na chusteczki czyszczące Clorox. Bardzo dużo chusteczek.

Potem poszliśmy do działu RTV i zobaczyliśmy, że wszyscy się objijają.

Jake i Brayden grali w air hockeya. Wyciągnęli chyba najbardziej

wypasiony stół, jaki był w całym sklepie. Widać było, że grali już w ping-ponga, a tarcza do rzutek stała obok przygotowana do zabawy.

– Co jest grane, Jake? – spytałem.

– BUM! WYGRAŁEM! – wykrzyknął.

Sahalia zaklaskała. Stała obok i przyglądała się ich grze,

– Następnym razem dam ci popalić, Simonsen! – odgrażał się Brayden.

Sahalia się przebrała i miała na sobie naprawdę króciutką spódniczkę. Nie wiem zresztą, może to była apaszka przewiązana na biodrach. Do tego podarte kabaretki i wysokie kozaczki na absurdalnych obcasach. I jakiś top na cienkiej jak papier bluzeczce. Wyglądała jak dwudziestoparoletnia modelka.

Nie ulegało wątpliwości, że uznała, iż może sobie brać ze sklepu, co jej się żywnie podoba.

Tak jak i inni.

Max i Ulysses pili z dwulitrowych butelek colę i pałaszowali wielką, elegancką bombonierkę. Żartowali i śmiali się, choć nadal nie do końca rozumiałem, jak się w ogóle porozumiewają.

Batiste wziął sobie wielki zestaw mazaków i kolorował właśnie kolorowanekę pod tytułem *Opowieści biblijne*.

Chloe była w niebie Barbie. Miała po jednej lub dwie z każdego rodzaju, jaki znalazła w sklepie. Wzięła też sobie domek dla Barbie, samochód sportowy dla Barbie i basen dla Barbie, i jeepa dla Barbie, i... już sam nie wiem – elektrownię wiatrową dla Barbie, sklep obuwniczy dla Barbie czy NORAD dla Barbie. Wśród Barbie walało się kilka lalek Bratz dla odmiany, ale głównie była to orgia Barbie.

Wszyscy postanowili wykorzystać jakoś to, że utknęliśmy w Greenwayu. Wykorzystać na maksa.

– Gdzie są bliźniaki? – spytałem.

Jake i Brayden chyba nawet mnie nie usłyszeli.

– Widzieliście bliźniaki? – podniosłem głos.

– Nie – odparł Jake.

Tak po prostu: nie.

– Tu jesteśmy – usłyszałem cienki głosik Henry ego.

Regał dalej on i Caroline zbudowali sobie domek z pudeł z zabawkami. Akurat na nich dwoje. Zajrzałem do środka. Leżeli zwinęciu na kocu, ssali kciuki i rozmawiali.

– Lubię jej buzię, jak się uśmiecha – mówiła właśnie Caroline.

– No, a ja lubię jej brązowe spodnie. Te miękkie – dodał Henry.

– I włosy.

– Są brązowe – powiedział Henry.

Caroline pokiwała głową rozmarzona.

Rozmawiali o matce.

– Więc nie ma żadnego planu? – spytałem Jake’a.

– Zaraz będzie – odpowiedział. – Zaczynamy od odrobiny zaplanowanego relaksu. BAM! TRAFIŁAM W DZIESIĄTKĘ!

Poszedłem sobie, a za mną podreptał Alex.

Kopnąłem pudełko pieluch.

– To chore – warknąłem. – Mamy mnóstwo roboty. Każdy dział wygląda jak po cholernym trzęsieniu ziemi. Mamy to wszystko sami posprzątać czy jak?

Alex położył mi rękę na ramieniu.

– Będzie dobrze – powiedział.

– Nie będzie.

Nagle zachciało mi się płakać. Czułem, że robię się czerwony na twarzy, i coś chwyta mnie za gardło.

– Już nigdy nie będzie dobrze – ryknąłem.

I poszedłem dalej wzdłuż regału, kopiąc wszystko, co napotkałem na swojej drodze.

Obejrzałem się.

Alex po prostu stał, zrezygnowany. Zgarbiony pod ciężarem tego wszystkiego.

Musiałem wziąć się w garść. I zająć się bratem.

Otarłem oczy wierzchem dłoni.

Wróciłem do niego.

– Mam pomysł – powiedziałem.

– Jaki?

– Maraton Monopolu.

– Dobra – rzucił po prostu.

Co lato jeździliśmy całą rodziną na tydzień do domku w Cape May w New Jersey (nie myśleć o tym, że Cape May już nie istnieje). Mama tam dorastała, więc mogliśmy objadać się jak bąki we wszystkich okolicznych restauracjach (nie myśleć o tym, że Jaime's Waffle Stop już nie istnieje), bo mama знаła wszystkich w okolicy (nie myśleć o Jaimem). A że brat i ja nie jesteśmy typami plażowiczów, więc głównie graliśmy w Monopol (Monopol! O tym można myśleć).

Spędziliśmy dobrą godzinę na aranżowaniu naszej małej przestrzeni do gry. Odsunęliśmy walające się wszędzie pudła, żeby oczyścić sobie teren. Potem przynieśliśmy stolik z działu meblowego. Wzięliśmy też minilodówkę pełną puszek z napojami. Wybraliśmy sobie trochę czipsów i innych smakołyków do pogryzania. Nawet przrzuciliśmy kilka plażowych ręczników przez barierki sklepowe, żeby stworzyć prawdziwie wakacyjny nastrój.

Wczesnym popołudniem znalazł nas Niko. Nic nie powiedział, tylko patrzył, co robimy. Przestaliśmy grać i popatrzyliśmy na niego. Jego oczy

były kompletnie pozbawione wyrazu, co mnie w ogóle nie zdziwiło. Po chwili odwrócił się i poszedł sobie.

I trudno uwierzyć, że da się cały dzień grać w Monopol, ale oczywiście da się.

Alex i ja mieliśmy zupełnie odmienne strategie. Ja kupowałem wszystko. Mój brat kupował tylko koleje, elektrownie, wodociągi i jasnoniebieskie nieruchomości (Vermont, Connecticut i Oriental Avenues).

Moim zdaniem jego strategia nastęczała sporo problemów. Po pierwsze, strasznie denerwująco się z nim grało. Po drugie, miałem wrażenie, że nudzi się przy tym śmiertelnie. Po trzecie, zdawałoby się, że jego strategia kupowania tylko jasnoniebieskich nieruchomości jest krótkowzroczna i nieopłacalna, a jednak zawsze jakoś wychodził na swoje. Serio. We wszystkich pięćdziesięciu paru meczach, które rozgrywaliśmy każdego lata, udało mi się kupić coś jasnoniebieskiego może ze trzy razy. Ale największy problem z tą jego głupią strategią był taki, że często wygrywał.

Na przykład teraz wygrał pierwszą rozgrywkę.

Odegrałem się za drugim razem, bo wszedł mi na hotel w Nowym Jorku.

Trzecia rozgrywka – kiedy wszystko miało się rozstrzygnąć – zakończona została przedwcześnie z powodu zapachu pizzy.

Pachniało bardzo smakowicie, więc zerwałem się na równe nogi.

Przemknęło mi przez myśl, że może Astrid lepiej się poczuła i zrobiła nam lunch.

– Kiedy wrócimy, zniszczę cię – powiedział Alex.

– Jasne, panie Wodociągalski.

Ale to był Niko. Rozpracował piec w pizzerii. Upiekł nam kilka porcji pizzy i rozłożył na blacie.

Zapach przyciągnął nie tylko Aleksa i mnie. Były tu już wszystkie maluchy, a poza tym Jake, Brayden i Sahalia.

Ta trójka rozłożyła się na największych kanapach. Coś było nie tak w sposobie, w jaki byli na nich rozwaleni, i w tym, jak patrzyły na nich maluchy.

Byli pijani.

Mieli przed sobą trzy wielkie kubki *slushie* i na moich oczach Jake wyciągnął piersiówkę z jakimś alkoholem i dolał sobie trochę do napoju.

Sahalia zachichotała, pochyliła się nad Braydenem i wsadziła słomkę do kubka Jake'a.

– Hej, laska, won mi z tą słomką! – krzyknął na nią Jake z uśmiechem.

– Tylko mały łyżeczek – zaświergotała.

– Nie, nie – upierał się Jake. – To była ostatnia kropla!

Uznali, że to niezwykle zabawne.

Max i Ulysses też się śmiali w ten charakterystyczny, głupkowaty sposób, w jaki śmieją się dzieci, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego dorośli się śmieją, ale też chcą należeć do drużyny.

Niko posłał nam znaczące spojrzenie.

– Kolacja gotowa – powiedział. – Kto chce, niech się częstuje.

– Słyszeliście! – rzucił Jake z szerokim uśmiechem. – Raz– dwa! Zajadać!

– Dzielny Myśliwy przemówił – zakpił Brayden.

– Nie ty jesteś tu szefem, wiesz – powiedziała Sahalia do Nika, przewracając oczami.

– Cicho, Sasha – zganił ją Jake.

Przez wisko. Świetnie. Maturzysta dał seksownej trzynastolatce uroczą ksywkę.

– Chodźcie, jedzmy, póki pizza jest ciepła – próbowałem zmienić temat.

Wszyscy ustawili się w kolejce po jedzenie.

– Ja nie jem kielbasy – zaczął marudzić Max. – Mama mówi, że kielbasa jest zrobiona z pupy świni.

– Mama to, mama tamto – zaczęła go przedrzeźniać Sahalia. – Wy, maluchy, nic tylko nawijacie o swoich mamach! Mam już po dziurki w nosie waszych mam. Nie ma ich tu i szybko nie będzie!

Była to podłość z jej strony, ale nawet się nie zorientowała.

Bliźniaki od razu się rozpląkały, a zaraz po nich Ulysses tymi swoimi wielkimi jak żelki łzami.

Niko stanął przed blatem i próbując zapanować nad sytuacją, zwrócił się do całej grupy:

– Tak sobie myślałem, że gdyby Jake się zgodził, mógłbym wprowadzić w życie plan, który by trochę uporządkował sytuację.

– „Gdyby Jake się zgodził”? Gówno prawda – przerwał mu Brayden. Mówił bardzo głośno. – Chcesz przejąć dowodzenie.

– Nie chcę niczego przejmować. Ale wydaje mi się, że potrzebujemy jasnego planu...

– Wiesz co, Niko? – zaczął Jake. – Wiem, że masz dobre intencje i w ogóle, ale my, no, dopiero co przeżyliśmy okropny kataklizm, wiesz? Świat na zewnątrz szlag trafił i nie wiemy, co będzie. Więc uważam, że naprawdę należy nam się chwila relaksu. Chwila na, wiesz, odpoczynek, chilloucik, nacieszenie się tym, co tu mamy. Odpocznijmy sobie trochę, wiesz, to przecież nikomu nie zaszkodzi, no nie?

– Wszystko pójdzie w rozsypkę – powiedział Niko spokojnie.

Jake uniósł ręce i zrobił niepewny krok w tył, za to Brayden wyskoczył naprzód.

– Odwal się, Niko! – naskoczył na niego. – Nie będzie nam tu jakiś pieprzony odludek mówił, co mamy robić!

Pchnął Nika, a ten zrobił krok w tył.

– Nie chcę się bić – powiedział.

– Nie, ty tylko chcesz nam rozkazywać. Jakbyś niby wiedział, co robić!

I znów pchnął Nika. Teraz Niko już się opierał o blat. Próbował się usunąć na bok, ale poślizgnął się na papierowym talerzyku, który ktoś zostawił na podłodze, i upadł.

Wstał, ale Brayden znów go przewrócił.

– Przestańcie! – wrzasnął Alex.

Maluchy zupełnie spanikowały, piszczały i wrzeszczały jak stado małąp.

– Wyluzuj, Brayden – powiedział Jake.

Brayden stał nad Nikiem.

– Co? Nie bijesz się? Jesteś jakimś cholernym mistrzem zen czy co? Ty, Dzielny Myśliwy? Co z tobą nie tak?

– Po prostu chcę być gotowy – powiedział Niko. – Żeby...

– O Boże! – ryknął Brayden. – O ja cię kręcę, że też wcześniej na to nie wpadłem! – Spojrzał na niego triumfalnie. Złośliwie i triumfalnie. – Jesteś skautem! Skaucikiem, tak?

Niko wzruszył ramionami. Odgarnął włosy z oczu.

– Tak. Jestem skautem – powiedział.

Brayden zaniósł się śmiechem.

Jake też zachichotał i maluchy również zaczęły się śmiać, pewnie głównie po to, żeby rozładować napięcie.

– „Bądź gotów” to twoje motto. Cholerny skaut. Mamy słuchać rozkazów cholernego skauta.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedział Niko.

Maluchy śmiały się dalej, nic nie rozumiejąc, a Niko zaczerwienił się po uszy.

– Cieszę się, że Niko przeszedł skautowskie szkolenie odezwałem się głośno. – Gdyby tak nie było, zginąłbym w autobusie. To on mnie wyciągnął. To dobrze, że jest skautem.

– Nikogo nie obchodzi twoja opinia, Geraldine – prychnął Brayden.

– Ja też się cieszę, że Niko jest skautem – poparł mnie Alex. –
Przynajmniej wie, jak robić różne rzeczy.

– Dobra, wy się zamknijcie. – Brayden splunął na mnie i Aleksa.

– Brayden, wyluzuj – rzucił znowu Jake.

– Chyba że... A, już rozumiem. – Brayden machnął na nas. – Ty i twój braciszek pewnie mielibyście ochotę na mały gejowski wypadzik z Nikiem, co? Chcielibyście w lesie dmuchać sobie nawzajem w ogniska...

Brayden zaczął kręcić tyłkiem w obelżywy sposób.

Patrzył na mnie, więc nawet nie zauważył Nika, który wbił mu się głową w bok.

Jake skoczył na nich, żeby ich rozdzielić, ale Niko wycofał się tak raptownie, że popchnął Jake'a, który uderzył głową w metalową szafkę – jestem pewien, że to był wypadek, ale Jake'owi to wystarczyło.

Ruszył z rykiem na Nika. I zaczął go okładać.

Brayden już to robił z całych sił.

Maluchy zupełnie powariowały. Batiste uciekł. Max piszczał. Bliźniaki zawodziły i trzymały się siebie kurczowo. Chloe wrzeszczała i wbijała sobie paznokcie w głowę. To było istne piekło.

Niko próbował się bronić, ale było dwóch na jednego, więc nie miał szans. W oszołomieniu rzuciłem się, żeby odciągnąć od niego Jake'a i Braydena.

Brayden odwrócił się i uśmiechnął, jakby się ucieszył, że mnie widzi, a potem rąbnął mnie w głowę.

Zamierzałem tylko uwolnić Nika, ale zamiast tego też zacząłem okładać Braydena pięściami. Trzymał pod pachą moją głowę, ale to nie znaczyło, że nie mogę go walić pięściami w bok, i wtedy...

BUUUUUUUUUUUUUUUUU!

Trąba.

Bardzo głośna.

BUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUU!

Wszyscy znieruchomieli.

Podnieśliśmy wzrok.

Josie trzymała w ręku trąbkę. Taką, jak mają kibice na meczach. I stała na ladzie.

Nadał miała na sobie brudne, poplamione ubranie. Krew zaschła jej za uszami, tam gdzie pani Wooly nie zdołała jej domyć. Stary bandaż trzymał się na czole tylko na strupie.

Wyglądała, jakby właśnie zmartwychwstała.

I panowała nad sytuacją.

– Dość tej bijatyki – powiedziała.

Jej głos był cichy, ale słychać go było pewnie i kilometr dalej.

– Jutro uczcimy zmarłych.

Przyjęliśmy to do wiadomości.

– A potem przeprowadzimy wybory, żeby wybrać przywódcę, póki nie wróci pani Wooly.

I tyle.

Mieliśmy plan.

Rozdział 10

Mamuśka

DZIEŃ 3

PO KOLACJI, KTÓRĄ ZJEDLIŚMY BEZ SZEMRANIA I WŁAŚCIWIE BEZ GADANIA, Josie wstała i wyrzuciła swój talerz do kosza na śmieci.

Chloe, Max, Ulysses, Batiste, Henry i Caroline zrobili to samo.

Potem Josie wyszła z pizzerii.

Chloe, Max, Ulysses, Batiste, Henry i Caroline zrobili to samo.

Josie poszła do działu z ubraniami dziecięcymi.

Chloe, Max, Ulysses, Batiste, Henry i Caroline poszli za nią.

Spytała, jakie mają rozmiary, i wybrała dla nich pidżamy. Podała każdemu dziecku nową pidżamę, a one przytuliły je, jakby to był ich najcenniejszy skarb. Jakby te pidżamy były spełnieniem ich marzeń.

Potem Josie wróciła do działu RTV, a dzieci poszły za nią. Równiutko, gęsiego.

To było niesamowite.

– Słabo mi się robi – mruknęła Sahalia, niwecząc spokój, jaki pozostał po Josie.

Alex wygrał ostatnią rozgrywkę w Monopol z tymi swoimi cholernymi dworcami, wodociągami i hotelami w Connecticut, Vermoncie i Oriental.

A gdy wróciliśmy do działu RTV, oto, co zobaczyliśmy: Sześcioro małych

dzieci w śpiworach, na nowych dmuchanych materacach, z nowymi poduszkami w nowych poszewkach. W kręgu wokół Josie, która siedziała na podłodze. Miała przed sobą świeczkę, która rzucała jasny, ciepły krąg światła na czyste twarze dzieci.

Dlaczego nie wpadłem na to, żeby nadmuchać materace? Josie też się w końcu umyła. Miała na sobie białą pidżamę, różowy szlafrok i kapcie. Włosy miała znów zwinięte w typowe dla niej żyrafie koczki na czubku głowy. Jej brązowa skóra wyglądała miękko i lśniła w świetle świecy. Jedyne, co nie pasowało do tej magicznej sceny, to wielki kwadrat z gazy przyklepiony do rany na czole. Ale przynajmniej była to świeża gaza.

Josie opowiadała dzieciom przedziwną, wspaniałą i zupełnie absurdalną baśń:

– Kiedy przyjedzie pani Wooly, będzie miała wielki, nowy, żółty szkolny autobus. Otworzy drzwi i zawoła: „Wsiadać, dzieciaki, czas do domu!”. Henry i Caroline wsiądą pierwsi, bo są najmłodsi.

– Jestem starszy o czternaście minut – sprostował Henry.

– W takim razie Caroline wsiądzie pierwsza, a potem Henry. Max, za nim Ulysses, Batiste i Chloe, bo jest najstarsza z was. A potem pani Wooly wyjedzie na ulicę. Niebo będzie błękitne, a słońce będzie pięknie świecić. Pani Wooly pojedzie prosto do waszych domów. Tak. A rodzice już będą na was czekać. Och! Aż strach pomyśleć, jak się o was niepokoiłi. Ale to nieważne. Bo już jesteście bezpieczni. Jesteście w domu. Pani Wooly weźmie każde z was za rękę i odprowadzi aż do drzwi, a potem wejdziecie do środka.

– A ty będziesz w autobusie? – chciała wiedzieć Chloe.

– Oczywiście! – zapewniła ją Josie. – Przecież muszę dopilnować, żebyście dotarli cali i zdrowi do domu.

– A może wejdiesz do środka? – spytała Caroline.

– Tak. Jeśli wasi rodzice mnie zaproszą, to może nawet zostanę na kolację.

To by było bardzo miłe, prawda? Ciekawe, co będzie do jedzenia.

– Moja babcia robi niezmierną lasagnę! – pochwaliła się Chloe. – Wszyscy to mówią.

– Jeśli pojedziemy do mojej mamy, to zamówi dla nas coś z Popeyesa – wyjaśnił Max. – Jeśli pojedziemy do taty, to zamówi coś z McDonalda. Woli hamburgery z Wendy's, ale już tam nie jeździ, bo raz, jak pojechał do Wendy's w środku nocy kupić sobie hamburgera, to nie uwierzycie, co się stało. Była tam ta pani i tata do niej powiedział: „Za ładna jesteś, żeby pracować na nocnej zmianie”. A ona mu na to: „No jasne, przystojniaczku. I on wyciągnął rękę, a ona się go złapała i wyciągnęła ją prosto przez okienko do swojej ciężarówki.

I teraz to jest moja ciocia Jean. Zostaje u niego na noc. I ma złoty ząb.

– matko – wyrwało się Josie.

Nastąpiła chwila ciszy.

Domyślam się, że Josie próbowała odzyskać wątek.

– Jest z prawdziwego złota? – zainteresowała się Chloe.

– No – pochwalił się Max. – Ale nie da się go wyjąć. Nie szkodzi, bo i tak wolę hamburgery z Popeyesa.

– Bez względu na to, czy to będzie Popeyes czy McDonald, będzie wspaniała uczta – powiedziała Josie, poprawiając niesforne włosy Maksa. – Będziemy bardzo szczęśliwi, gdy pani Wooly zabierze nas do domu. A teraz czas spać, słodkich snów.

Poprawiła Henry'emu śpiwór, który zsunął mu się z ramienia, a potem pocałowała Caroline w czoło.

Miała naturalny dar.

Astrid była odjazdową opiekunką na obozie, ale Josie była jak mama. Szesnastoletnia mama w średnim wieku.

Jej opowieść nawet mnie prawie uśpiła.

Alex już chrapał.

Poszliśmy w ślady Josie i też przynieśliśmy sobie dmuchane materace.

Różnica była niesamowita. Wygoda nieziemska. Gdy wtuliłem się w materac, uświadomiłem sobie, jak obolałe mam kości. Od adrenaliny i szoku działałem dotąd na podwyższonych obrotach.

Dopiero teraz znów zacząłem czuć własne ciało. I nie było z nim dobrze. Przede wszystkim głowa mi pękała po uderzeniu przez Braydena.

Josie podeszła i przyklęknęła przy moim pośłaniu.

– Mógłbyś napisać coś na jutro? – poprosiła.

– Na ceremonię?

Pokiwała głową.

– No, nie wiem.

– Dobrze piszesz.

– Skąd wiesz? – spytałem.

Przewróciła oczami.

– Chodzi o to, że... nie piszę dla ludzi – wybąkałem. – Tak tylko sobie bazgrzę. Dla siebie.

Josie westchnęła. Bezgraniczna cierpliwość i czułość, jakie miała dla dzieci, zniknęły bez śladu. Zdenerwowana potarła oczy.

– Potrzebujemy ceremonii, tak? Dzieciaki jej potrzebują. I muszą mieć poczucie, że to coś od wszystkich. Nie tylko ode mnie. Rozumiesz, co mam na myśli? To nie może być tylko moja fanaberia, do której wszystkich zmuszam. Jeśli ma zadziałać, jeśli ma nam naprawdę pomóc, musi pochodzić od nas wszystkich.

– Dobra, dobra. – Poddąłem się. – Masz rację, Josie. Napiszę coś.

Prawdę powiedziawszy, miałem już kilka pomysłów.

– I dzięki, że to organizujesz – dodałem. – Zdecydowanie powinniśmy coś zrobić. Dla nich.

Wstała i odeszła parę kroków, ale jeszcze się obróciła.

– Nie – powiedziała. – To ja powinnam ci podziękować. Więc... dzięki.

Pewnie za towarzystwo.

– Hej, Dean, mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

Josie spuściła wzrok, jakby przyglądała się uważnie swoim kapciom.

– Jaki mamy dziś dzień? – Zaśmiała się zażenowana. – Wiesz... trochę straciłam poczucie czasu. Wszystko jakoś mi się zlało. Mam wrażenie, że jesteśmy tu od wieków, ale to pewnie nieprawda.

– Dziś jest czwartek – powiedziałem. – A jesteśmy tu od wtorku.

– Trzy dni? – wyszeptała zdumiona. Roześmiała się. – Trzy dni?! To czyste szaleństwo.

– Jakie szaleństwo? – spytał Niko, który pojawił się bezgłośnie, jak to on. Lewe oko miał zupełnie zamknięte z powodu opuchlizny, ale poza tym był czysty. Tylko w nozdrzach widać było cienki strupek.

– Jezu, a tobie nic nie jest? – spytała Josie.

– Nic, nic – zapewnił. Stoicki Niko. Dzielny Myśliwy. – Ale dzięki za troskę. – I uprzejmy.

– Wyobrażasz sobie, że dziś czwartek?! – powiedziała do niego Josie. – Jesteśmy tu zaledwie od trzech dni. Nie macie wrażenia, jakbyśmy tu siedzieli pół życia?

– Ja mam – przyznał Niko.

Ja też. Pomyślałem o wszystkim, co się nam przydarzyło – o wypadku autobusu, o tym, jak się dowiedzieliśmy o megatsunami, o trzęsieniu ziemi, o chemikaliach, o moim ataku na Aleksa, o tym facecie przy bramie, o tym, jak Astrid zaatakowała Batiste'a...

Trzy dni.

– Cieszę się, że lepiej się czujesz, Josie – powiedział Niko.

– No – zawtórowałem mu. Przewróciłem się na plecy, byłem śpiący.

Niko stał i wpatrywał się w zamyśloną Josie.

Coś się z nim działo. Jego zwykle chłodne, inteligentne spojrzenie było dziwnie łagodne. Zdawał się nawet bardziej otwarty.

Jakby naprawdę się cieszył, że Josie lepiej się czuje – nie dlatego, że była cennym członkiem drużyny, ale dlatego że naprawdę mu na niej zależało.

– Trzy dni! – powtórzyła cicho Josie, kręcąc głową.

Rozdział 11

Ceremonia

DZIEŃ 4

TYDZIEŃ PRZED CEREMONIĄ Z RÓWNAŃ CHĘCIĄ PRZECZYTAŁBYM SWÓJ wiersz przed kolegami z klasy, co stanął pod oknem Astrid I odśpiewał serenadę z zespołem *mariachi*.

Ale tydzień może dużo zmienić i właśnie miałem przeczytać wiersz.

Pojawił mi się w głowie w środku nocy. Rzuciłem się szukać notatnika. Pisałem jak wariat, żeby zdążyć przelać słowa na papier. Szmer długopisu na papierze był jedynym dźwiękiem w ciemności cichego sklepu, poza odległym szumem lodówek.

Zasnąłem w błogim przekonaniu, że napisałem oto najpiękniejszy wiersz na świecie. W półśnie byłem po prostu pewien, że mój wiersz uleczy cały świat.

A potem obudziłem się rano i usłyszałem, jak Batiste powtarza wszystko po Chloe jak papuga.

Kiedy otworzyłem notatnik, żeby nacieszyć się owocami nocnej pracy, okazało się oczywiście, że są tam same bazgroły.

Z trudem odczytałem zaledwie kilka słów. Długopis za gryzmolił całą stronę i nawet popodkreślałem kilka rzeczy bardzo elegancko, ale jakoś nic teraz nie widziałem nad ty mi podkreśleniami. Tylko linie zakończone

wykrzyknikami,

Musiałem więc zacząć od nowa.

Hej, zgadnijcie, kto przygotował śniadanie? Alex i ja. Można by pomyśleć, że wszystkim już wychodziły bokiem moje na wpół spalone, na wpół surowe przysmaki, ale nie – wcinali z zapalem zimne i zarazem przypalone mrożone gofry i zwęglone ziemniaczki. Przy śniadaniu Josie powiedziała nam, że ceremonia odbędzie się za godzinę w części łazienkowo–sypialnianej. Poprosiła, żebyśmy się tam nie zbliżali, póki nie skończy wszystkiego przygotowywać.

– Musimy się ładnie ubrać? – spytała Caroline.

Max jęknął i przewrócił oczami.

– No co? Przecież to ceremonia, nie? Jak w kościele – broniła się Caroline.

– Dobry pomysł, Caroline. Niech wszyscy ładnie się ubiorą – powiedziała Josie.

– Mogę iść w tym? – spytał Brayden. Miał na sobie dzinsy i bluzę.

Josie spojrzała znacząco na Jake'a. Czekwała.

Jake odchrząknął.

– Uważam, że wszyscy powinniśmy porządnie się ubrać – powiedział do Braydena. – No, wiesz, na znak szacunku.

Umyłem się porządnie nawilżanymi chusteczkami i włożyłem świeże ciuchy. Wyciągnąłem dziennik ze śpiwora, w którym go schowałem. Znów czytałem krytycznie mój wiersz, główkując nad jakimś słowem, przecinkiem czy czymś innym, gdy usłyszałem dzwonki wiatrowe.

– Co to za dźwięk? – rozległ się cienki głosik Henry'ego.

Wyczołgał się z domku z pudeł, który sobie zrobił z siostrą. Caroline wyszła zaraz za nim.

– Hm, dzwonki wiatrowe – powiedziałem. – To chyba Josie dzwoni, żeby dać nam znać, że już pora na ceremonię.

– Nasza mama uwielbia takie dzwonki – powiedział Henry, biorąc mnie za rękę. – Ma ich chyba z pięć i wszystkie wiszą w ogrodzie za domem. Zawsze się plączą zimą, ale mama po prostu je rozplątuje. Uwielbia ten dźwięk.

– Wiem – odpowiedziałem. – Słysząc je nawet u nas.

Przez te dzwonki nasza mama ochrzciła ich mamę mianem hipiski, ale tego im oczywiście nie zamierzałem mówić.

– Mama mówi, że to muzyka wróżek – dodała Caroline.

– Hej, może moglibyśmy wziąć stąd dla niej takie dzwonki? – wpadł na pomysł Henry. – Zabrać ze sobą, gdy już będzie czas iść do domu?

– To by był dobry prezent – poparła go Caroline i pokiwała głową.

– Jasne – zapewniłem. – Najlepiej będzie, jak weźmiecie dwa. Po jednym od każdego z was.

Bliźniaki uśmiechnęły się do siebie.

Wybrali sobie takie ubrania, żeby do siebie pasować. Henry miał czarne spodnie, koszulę w kratkę i kamizelkę. Caroline miała sukienkę w kratkę, która pasowała do koszuli Henry’ego, rajstopy i czarne lakierki.

Wymyli swoje pęgowate buzie i uczesali się.

Pomyślałem sobie: kim są te dzieci?

I co sobie myślą o tym wszystkim?

Henry oczywiście wcale nie prosił, żeby go podnieść, ale i tak wziąłem go na rękę. Zarzucił mi rączki na szyję i dobrze się z tym poczułem. Caroline trzymała mnie mocno za rękę,

– Cieszę się, że tu jesteś, Dean – powiedziała. – Bo jesteś naszym sąsiadem i znam cię z przedtem.

– Też się cieszę – odpowiedziałem.

Josie wygospodarowała sporą przestrzeń, bo przesunęła cały regał. Na

pewno nie dało się tego zrobić bez odkręcenia go od podłogi, więc podejrzewałem, że Niko jej pomógł.

Zasłoniła lampki fluorescencyjne na suficie złotymi i pomarańczowymi apaszkami i to była naprawdę duża zmiana. Światło było teraz miękkie, łagodne i uspokajające. Na podłodze leżały dywany. Na ich skraju były ułożone poduszki, żebyśmy mieli na czym siedzieć. Przed każdą poduszką stała niezapalona świeczka. Na środku leżało wielkie lustro, a na nim trochę lampek na choinkę i kilka ozdobnych kryształowych kul.

Wyglądało to ładnie. Uroczo.

– Siadajcie, proszę – powiedziała Josie do mnie, Henry ego i Caroline.

Usiedliśmy wszyscy na poduszkach.

Chloe siedziała obok Josie, a za nimi na sklepowej barierce wisały dzwonki wiatrowe. Co jakiś czas Josie dawała Chloe znak głową i Chloe uderzała w nie delikatnie pałeczką.

Przyszli Jake i Brayden. Obaj byli nieco poobijani po starciu z Nikiem. Trochę siniaków, parę zadrapań. Jake był blady i zauważyłem, że obaj osłaniają oczy przed blaskiem choinkowych lampek.

Jeśli musisz zasłaniać oczy przed światełkami na choinkę, to z pewnością masz kaca.

Brayden rzucił okiem na dekoracje i uśmiechnął się sarkastycznie. Ale muszę przyznać, że nie prychnął ani nie powiedział nic niemiłego. Daje głowę, że dużo go kosztowało niezachowywanie się jak dupek.

Dołączył do nas Niko. Nie słyszałem, kiedy przyszedł.

Nigdy się nie słyszało, kiedy się zjawiał. To pewnie jedna ze sprawności skautowskich. Prezentował się nieco lepiej niż poprzedniego wieczoru. A może tylko w świetle lampek w miarę dobrze wyglądał.

Siadł naprzeciwko Jake a i Braydena. Widziałem, jak spojrzeli na siebie i odwrócili wzrok. Niepewni, próbowali się nawzajem ocenić, wyczuć.

Sahalia ku mojemu zdumieniu przytargała gitarę. Miała na sobie białe dżinsy i kilka warstw białych koszulek, które powiewały jedna na drugiej. Wyglądała pięknie i czysto. Żadnego makijażu. Pełen szacunek.

Mówię wam. Jak już człowiekowi się wydaje, że wie, co o kim myśleć, przychodzi taka nagle, ładna i z gitarą.

Usiadła po turecku, położyła sobie gitarę za plecami i posiała niepewne spojrzenie Jake'owi i Braydenowi, jakby chciała sprawdzić, czy będą się z niej nabijać. Jake nawet na nią nie spojrział. Brayden wykrzywił usta w nie to kpiącym, ni to – bo ja wiem – flirtującym (?) uśmiechu.

Chloe dzwoniła, aż wszyscy przyszli i zostało już tylko jedno wolne miejsce – dla Astrid.

– Gdzie jest Astrid? – spytał Max. – Przyjdzie?

I wszystkie maluchy zaraz zaczęły o nią pytać.

– Zawołajmy ją – zaproponowała Josie. – Może przyjdzie.

Maluchy zaczęły się wydzierać:

– Astrid! Astrid!

Chloe się odwróciła i waliła w dzwonki naprawdę głośno.

Astrid nie przyszła.

Miałem nadzieję, że jednak się zjawi. Nie było jej już od dobrych dwudziestu czterech godzin.

Wiedziałem, że jest bezpieczna. Nie miała przecież dokąd pójść. Ale wiedziałem też, że musi się strasznie gryźć z powodu tego, co zrobiła w łazience Batiste'owi.

Będzie musiała sobie z tym jakoś poradzić. Po prostu nie ma wyjścia.

Batiste siedział na poduszce, cichy i blady. Siniaki na jego szyi były sine i brązowe. Wyglądało to tak, jakby miał brudną szyję, no, pewnie tak też było.

Nie wołał Astrid. Jeszcze nie doszedł do siebie po tym, co się stało. Ale dojdzie. W każdym razie zakładałem, że to możliwe. W końcu Alex mi

wybaczył. No, prawie.

– Pewnie się zdrzemnęła i nie słyszy – uznała w końcu Josie. –
Zaczynajmy, może Astrid dołączy później.

Chloe się odwróciła i znów uderzyła w dzwonki.

– Już wystarczy, Chloe – powiedziała Josie.

– Przepraszam – wymamrotała Chloe.

Josie zamknęła oczy i wzięła długi, powolny wdech. Uniosła powieki i zaczęła:

– Zebraliśmy się tutaj, żeby uczcić pamięć tych, którzy zginęli. Nie wiemy, ile osób zmarło. Nie wiemy, co się dzieje na zewnątrz. Możemy jednak modlić się za tych, którzy odeszli, pamiętać o nich w naszych sercach i pomóc im trafić do nieba. W moim Kościele nie mówi się za wiele o niebie. Jestem uniwersalistką, należę do Kościoła unitariańskich uniwersalistów, a my wierzymy w wiele idei z różnych religii, nie mówimy dużo o niebie, piekle, grzechach i takich tam. Ale ja wierzę w niebo. Wierzę, że tam idą wszystkie piękne dusze. Ludzie innych wyznań wierzą w inne rzeczy. I dobrze. W cokolwiek wierzą, to im się przytrafi po śmierci. Myślę, że każdy z nas tworzy własne niebo.

Maluchy już zaczynały się wiercić.

Josie skinęła na Sahalię.

Sahalia wyciągnęła gitarę i brzdęknęła kilka razy.

– To jedna z moich ulubionych piosenek – powiedziała. – Utwór *Insect of Zero*. Nie wiem, czy ją znacie. Teraz ją zaśpiewam.

Nie znałem tej piosenki. Ani nawet nazwy zespołu.

Sahalia zaczęła śpiewać, miała chropowaty, interesujący głos. Jakby coś cię swędziało w uchu i ten głos mógł cię podrapać.

Oto, co zaśpiewała:

Ptaki, na niebie, fruwaszcie z dala ode mnie.

Kociaki na kanapie, zostawcie mnie w spokoju.

Chce mi się gryźć, chce mi się bić, chce mi się podpalać opony,

Muszę usiąść w ciszy.

Więc bądźcie tak dobre

i trzymajcie się z dala.

Dajcie mi być.

Rybki w potoku, nie łapcie się na mój haczyk.

Pieski na ulicy, idźcie swoją drogą.

Chce mi się gryźć, chce mi się bić, chce mi się podpalać opony,

Muszę usiąść w ciszy.

Więc bądźcie tak dobre

i trzymajcie się z dala.

Dajcie mi pobyc.

Dobry Boże, daj mi po prostu być.

Słowa wydawały się w sumie dość aspołeczne. Ale melodia była bardzo piękna i smutna. Jak pieśń żałobna.

Sam nie wiem. Była jakby idealna.

Kiedy skończyła się piosenka, Josie skinęła na mnie.

– Teraz Dean coś przeczyta.

Alex spojrzał na mnie zaskoczony. Wzruszyłem ramionami i otworzyłem notatnik.

Powiem wam, że nie tylko nie czułem się onieśmielony obecnością Braydena i Jake'a, nie tylko nie denerwowałem się, że mam wyjawic swoje uczucia, ale nawet chciałem to zrobic.

I miałem nadzieję, że Astrid jest gdzieś blisko. Byłem prawie pewien, że tak. Chciałem, żeby mnie usłyszała i wiedziała, co myślę. Miałem nadzieję, że mój głupi wiersz pomoże jej lepiej się poczuć.

Brzmiał tak:

*Przyszła noc i zapadła ciężko.
Nie jakby Bóg nakrył ziemię kocem,
Ale jakby ktoś zdmuchnął świeczkę.
Nagle i zupełnie.
Ciemność. Tak po prostu.
Teraz czekamy.
Czekamy w ciemności,
aż ktoś włączy światło.
Możemy się kulić,
Możemy się bać,
Możemy się zagubić
razem lub samotnie.
Ale prawda jest taka:
Jestem światłem. Ty jesteś światłem.
Płoniemy razem.
Jesteśmy cieniami słońca
na tle nocy.
Błysk, bądźmy błyskiem.
Błyszcz, świeć.
Błyszcz, żeby nasze rodziny
mogły nas znaleźć.
Błysk.*

Wiem. Wiersz. Mięczakowato. Co mam powiedzieć?

Josie wstała. Niczego nie ustalaliśmy, ale, kurczę, zapaliła zapałkę. Potem uniosła ją wysoko. Wzięła swoją świeczki, i zapaliła. Zupełnie jakbyśmy to wszystko zaplanowali – że mój wiersz będzie o świetle, a potem zapalimy świeczki. Ale nie zaplanowaliśmy.

Odwróciła się do Ulyssesa, który siedział na lewo od niej, i wyciągnęła

świeczkę w jego stronę. Od razu wiedział, en robić. Wziął swoją świeczkę i odpalił od jej świeczki. Potem odwrócił się do Maksa i zapalił jego świeczkę. Kiedy płomień dotarł do pustego miejsca Astrid, Jake sięgnął i zapalił świeczkę.

Fajnie, że to zrobił, ale żałowałem, że sam na to nie wpadłem.

Kiedy płomień przewędrował już całe koło, Josie wyciągnęła rękę i postawiła swoją świecę na lustrze pośrodku. Dała nam znak głową, żebyśmy zrobili to samo.

Czternaście światełek stało na lustrze i błyskało razem. Kryształ i lustro odbijały światło, aż wszystko wokół się roziskrzyło.

Maluchy wpatrywały się oczarowane w grę świateł.

Josie wstała. Miała kosz z kawałkami papieru i tektury. Były na nich fotografie ludzi. Nieznanych osób, tylko zwykłych ludzi. Powycinała je z czasopism, opakowań i okładek książek.

– To zdjęcia ludzi, których nie znamy – powiedziała. Dała każdemu po jednym zdjęciu. – Chcę, żebyście wzięli jedno zdjęcie, popatrzeli na tę osobę i przesłali jej swoją miłość. Żebyście zobaczyli ją w kręgu światła i życzyli jej pokoju.

Ulysses machnął ręką na Josie. Szepnął coś po hiszpańsku i wyciągnął do niej zdjęcie, które dostał. To był chyba trzeci raz, kiedy słyszałem, że ten dzieciak w ogóle coś powiedział.

Nic wiem co, ale był bardzo poważny i rozpłakał się.

Wcisnął Josie zdjęcie w dłoń.

– Co on mówi? – spytałem Maksa.

Ale Josie go zrozumiała. Szybko poszperała w zdjęciach i dała Ulyssesowi inne: z grubym Chińczykiem jedzącym jabłko.

– To jest w porządku? – spytała.

Ulysses pokiwał głową.

Josie spojrzała na zdjęcie, które poprzednio dała Ulyssesowi. Widać było na nim uśmiechniętą latynoską babcię robiącą ciasteczka. Pewnie za bardzo przypominała Ulyssesowi jego babcię.

Ulysses otarł nos rękawem. Słodki, hiszpańskojęzyczny chłopak wśród samych anglojęzycznych. A jednak się nie załamał. Po prostu się starał. Naprawdę uwielbiałem tego dzieciaka.

Spojrzałem na kawałek kartonu, który miałem w dłoni.

Na zdjęciu był niemowlak raczkujący w samej pieluszce.

Serce mi się ścisnęło na myśl o tym dziecku. Pewnie już nic żyje. Niemowlak.

Pomyślałem sobie, że to w ogóle nie jest dobry pomysł. Cała ta ceremonia. Co my tak w ogóle próbujemy zrobić?

Zacząłem naprawdę protestować w duchu. Że to strata czasu. Że tylko zmartwimy maluchy. Zupełnie je zdezorientujemy. To był głupi pomysł i co ta Josie sobie myślała? Dlaczego uważała, że ma prawo przeprowadzić nas przez jakiś okropny rytuał, w którym mamy myśleć o nieżyjących niemowlakach i zupełnie się załamać?

Za kogo ona się miała?

Josie przycisnęła głupie zdjęcie do piersi i zaczęła śpiewać:

– Pokój z tobą, pokój wokół ciebie,

Idź w pokoju.

Pokój w tobie, pokój cię otacza,

Idź w pokoju.

Była to bardzo prosta pieśń i gdy powtórzyła ją kilka razy, dołączyły do niej inne głosy. Dzieciaki starały się, jak mogły.

Sahalia akompaniowała na gitarze.

Nie chciałem śpiewać tej głupiej piosenki.

Spojrzałem na dziecko na moim zdjęciu.

Było mi go tak strasznie żal.

– Wszyscy śpiewają – zakomenderowała Josie.

Posłałem jej wściekłe spojrzenie.

– Śpiewaj, Dean – nalegała.

Nie byłem w stanie.

– Śpiewaj.

Alex siedział po mojej lewej stronie i położył mi rękę na ramieniu.

Byłem taki szczęśliwy, że go mam. To wielkie szczęście, że miałem brata. Aż się czułem winny, że mam rodzinę, skoro tylu ludzi już jej nie ma.

To wszystko mnie przerastało.

Spojrzałem więc na zdjęcie i skupiłem się na nim tak, że widziałem już tylko to dziecko.

Otworzyłem usta i wyszeptałem do niego:

– Idź w pokoju.

Nic myślałem o wszystkich dzieciach. O wszystkich ludziach. O tych wszystkich, którzy zginęli. Śpiewałem tylko o tym niemowlaku z loczkami. Śpiewałem, żeby znalazł spokój.

Mogłem wyśpiewać tego niemowlaka do nieba. Tego jednego niemowlaka.

Mogłem go wyśpiewać, jego jednego.

W końcu Josie powiedziała:

– Amen.

Zorientowałem się, że mam twarz mokrą od łez. Zmoczyły mi koszulę z guzikami i jakimś cudem wpłynęły nawet do uszu.

– Wystarczy – powiedziała Josie. – Ceremonia dobiegła końca.

– Zaczekaj – odezwał się Batiste. – Mogę też się pomodlić?

– Oczywiście – zgodziła się Josie.

Batiste wstał i wyrecytował:

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie, świeć się imię Twoje;

Przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winodajcom. I nie wódź nas na pokruszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

– Amen – odpowiedzieliśmy.

Miałem dziwną pewność, że imię Boga nie ma się świecić, a już pojęcia nie miałem, co to niby są winodajcy i czy dają oni wino czy winy, ale najważniejsze było to, że Batiste też mógł wnieść swój wkład w ceremonię. Cały promieniał.

Z dumy i radości. Dał nam coś. Mimo jego świętoszkowości coraz bardziej go lubiłem.

Alex pochylił się w moją stronę, a ja otoczyłem go ramieniem i lekko przytuliłem.

Caroline i Henry siedzieli wtuleni w siebie i spokojni. Ulysses siedział Josie na kolanach, a Max tulił się do jej boku. Głaskała go po głowie, ale jego wicherek cały czas sterczał. Był to najbardziej trwały wicherek, jaki kiedykolwiek ułożył się na czyjejś głowie. Za każdym razem, gdy Josie go przyglądała, odskakiwał na nowo.

Chloe przelazła do Nika i tuliła się do jego boku.

Nikowi chyba to nie przeszkadzało. Nie bardzo w każdym razie.

Brayden wpatrywał się w podłogę z taką uwagą, że podejrzewałem, że też się popłakał i nie chciał, żebyśmy to zauważyli. Jake rozpiął dół koszulki, ukazując swoje (oczywiście) idealnie mięśnie. Potem wydmuchał nos w róg koszulki i zaśmiał się z samego siebie.

Wziąłem głęboki wdech i wypuściłem powietrze.

– Ja cię kręcę – odezwała się Chloe. – Chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu.

Roześmialiśmy się.

Był to mój pierwszy swobodny śmiech od trzech dni.

Rozdział 12

Wybory

DZIEŃ 4

OBIAD: PIZZA.

Kucharz: ja.

Szczęśliwy z tego powodu: nie.

– Ja nie mogę – jęknęła Chloe, przesuwając tackę po blacie. – W życiu bym nie pomyślała, że można mieć dość pizzy, nie wiecie co? Naprawdę mam dość.

– Wszyscy mamy dość – odburknąłem. – Ale robię, co mogę, i jakoś nikt nie rzuca się do pomocy.

– My możemy pomóc! – zawołała Caroline. – Henry i ja jesteśmy świetnymi pomocnikami.

– Tak – zapewnił mnie Henry. – Pomagamy mamie przez cały czas. Umiemy zrobić zakupy, trochę zupy i poskładać wszystko do kupy!

Zachichotali z Caroline z tego rymu. Pewnie był to ich rodzinny żarcik.

– Ja też jestem świetną kucharką – pochwaliła się Chloe. – Jak tylko pozwolisz mi pomóc, zobaczysz, jaki umiem zrobić pyszny makaron z masłem.

– Dobra – zdecydowałem. – Zrobimy tak: każdego dnia wyznaczę jednego pomocnika i on będzie wybierał, co dziś gotujemy, a potem jakoś

wykombinujemy, jak to zrobić.

– Tak! Tak! – maluchy zaczęły skakać z radości.

A potem zawyły chórkami:

– Wybierz mnie! Mnie!

– Dobrze – powiedziałem, myśląc gorączkowo. – Dziś po mocnikiem będzie Chloe, a jutro Ulysses.

Uznałem, że najlepiej zacząć od najbardziej irytującego dzieciaka, żeby mieć go już z głowy. W końcu tego dnia i tak już ugotowałem dwa posiłki z trzech.

Zjedliśmy pizzę i czekaliśmy na Jake'a i Braydena.

Nadszedł czas wyborów.

Niko już był z nami. Przeglądał swoje notatki. Wyglądał na zdenerwowanego i przejętego.

Jake i Brayden przegapili obiad i nigdzie nie było ich widać.

Josie podeszła do lady pizzerii.

– No dobrze... hm... Jake i Brayden najwyraźniej zapomnieli, co dziś robimy – zaczęła i utknęła. – Już wiem. Zaśpiewajmy sobie póki co, kto zna *She'll be comin' round the mountain*?

Tajemnicza „ona” z piosenki zdążyła przyjechać w sześć koni, zjeść kurczaka z kluskami, a nawet pójść spać z babcią, nim w końcu pojawili się Jake z Braydenem.

Wyglądało na to, że zaplanowali sobie wielkie wejście, które zjedna im wyborców.

Najpierw usłyszeliśmy z oddali donośny głos Jake'a:

– Trzydzieści cztery, dwadzieścia siedem, hut, hut, hike!

I już pędził na nas Brayden, przeskakując przez kartony, które leżały na jego drodze.

Miał na głowie kask futbolowy, a do tego za dużą bluzę wypchaną

ręcznikami czy czymś innym, co miało imitować futbolowe ochraniacze. Z przodu miał mazakiem wypisaną wielką cyfrę 2.

Przebiegł tuż koło nas, obrócił się i BUCH – w jego dłoniach wylądowała piłka.

– Przyłożenie! – krzyknął i odbił piłkę o ziemię.

Maluchy patrzyły zafascynowane, ale zarazem przestraszone.

Potem do pizzerii wpadł Jake. Przybili piątkę i Brayden podał mu piłkę.

Jake też miał na sobie kask i bluzę, która miała udawać futbolową. Zdjął kask i cisnął na stół. Na jego bluzie z przodu widniały litery QB mające nam przypominać, że jest rozgrywającym, a z tyłu cyfra 1.

– Słuchajcie, jestem QB – obwieścił. – Czyli rozgrywającym! Rozgrywający to facet, który kieruje drużyną i sprawia, że wszyscy grają najlepiej, jak potrafią. I będę świetnym rozgrywającym w tej drużynie. W naszej drużynie. Dlatego właśnie powinniście wybrać mnie na swojego przywódcę!

Maluchy zaczęły klaskać i pisać z radości.

Niko spojrział na Josie i znów zerknął do notatek.

Pokaz Jake'a był uroczy, dumny i bardzo *cool*.

Sytuacja Nika nie wyglądała dobrze.

Josie próbowała mu wejść w słowo, ale Jake ciągnął dalej:

– Mówię wam, nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy się tu dobrze bawić! Mamy tu każdą grę, jaka istnieje. Mamy mnóstwo żarcia. Uważam, że to może być jak fantastyczny letni obóz treningowy...

Mówił jakoś za szybko. Jakby coś było z nim nie tak. Jak by był na haju.

I zacząłem się zastanawiać: Może naprawdę był?

Bo zachowywał się dziwnie.

– Muszę powiedzieć – wtrącił się Brayden – że Jake to świetny przywódca. Będziecie przeszczęśliwi, kiedy zostanie tu szefem. Daję wam na to moje

słowo.

Nie wiem czemu, ale gdy tak spojrzałem na Braydena z tą wielką dwójką wymalowaną na piersi, poczułem niepokój.

– Doceniamy twoje zaangażowanie, Brayden – powiedziała Josie, której udało się wreszcie dojść do słowa. – Ale chodzi o to, że to czas przeznaczony dla kandydatów.

– Jasne! Sorry. Przepraszam wszystkich.

– Tak, chłopie – poparł ją Jake. – Ona ma rację, siadaj, stary. To jest *mano a mano*. Ja kontra Niko.

Brayden usiadł na kanapie z boku.

– A teraz, żeby było jasne – nawijał Jake – nie chcę, żeby to był tylko futbolowy obóz treningowy, choć sądzę, że mamy zadatki na świetną drużynę. Chcę, żeby był to obóz sportowy w ogóle. Uważam nawet, że możemy robić takie rzeczy, jak sprzątanie i gotowanie, i inne, bo to też może być niezła zabawa! Możemy podzielić się na drużyny, urządzać zawody i przydzielać nagrody. I takie tam!

Uśmiechnął się szeroko i uniósł kciuki.

– Aha. Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś nam powiedzieć? – odezwała się znów Josie.

Jake namyślał się chwilę.

– Na mnie głosujcie i ze mną imprezujcie! – ryknął.

Miałem nadzieję, że improwizuje, bo gdyby to był przemyślany slogan, to byłby beznadziejny.

Jake stał z uniesionymi kciukami. Wszyscy bili mu brawo, choć bez specjalnego entuzjazmu. Dzieciaki reagowały na jego posunięcia, ale chyba nie kupowały tego w stu procentach.

Ja w każdym razie na pewno nie kupowałem.

– Dobrze – oznajmiła Josie. – Teraz wysłuchajmy Nika.

– Świetnie! – zawołał Jake.

Niko wstał i podszedł do Josie, ale Jake nie usiadł. Stał dalej na środku, podskakiwał i podrzucał piłkę.

– Jake, może usiądziesz, gdy Niko będzie mówił – zaproponowała Josie i wskazała mu miejsce.

Maluchy zachichotały.

Jake zachowywał się, jakby był nawalony.

Zastanawiałem się, czy to działa na jego korzyść czy niekorzyść u „wyborców”.

– Cześć wszystkim – zaczął Niko. – To był naprawdę świetny pomysł, żeby przyjść w przebraniu. Szkoda, że sam o tym nie pomyślałem. Choć nie wiem, czy to by się wam wydało *cool*, gdybym przyszedł w mundurku skauta...

Spojrzał na nas.

Niko próbował żartować. Uświadomiłem to sobie za późno.

Ktoś powinien był popracować z nim nad przemówieniem.

– Może skauci nie są zbyt *cool* zdaniem niektórych, ale to czego nauczyłem się jako skaut, naprawdę bardzo mi pomogło. Pomogło nam wszystkim. Znam się na pierwszej pomocy i pomogłem nam wydostać się z autobusu i w ogóle.

Brayden szepnął do Jake’a:

– Podaj! – I wyciągnął ręce, a Jake rzucił mu piłkę.

– Jeśli mnie wybierzecie, nie będziemy cały czas się bawić – ciągnął Niko.

– Uważam, że potrzebujemy porządku i planu. Jeśli mamy dać radę, wszyscy musimy pracować. Po prostu tak uważam.

Dzieciaki wpatrywały się we własne kolana. Kilkoro zaczęło się wiercić.

Niko spojrzał na Josie, a ona zamachała rękami, jakby chciała powiedzieć: „Powiedz nam coś więcej”.

Niko wziął głęboki wdech. I jakby się pozbierał. Wyprostował się. Objął nas wszystkich wzrokiem.

– Nie jestem dobry w przemówieniach. I nie jestem najbardziej popularnym dzieciakiem w szkole.

Brayden prychnął.

– Ale wiem, co trzeba robić – ciągnął Niko. – Wiem, jak nas zorganizować i wyznaczać zadania. Wiem, jak racjonować żywność, żeby starczyła na jak najdłużej. Nie panikuję w kryzysowej sytuacji. I myślę, że wszyscy już poznaliście mnie od tej strony. Wiem, jak przeżyć, i nauczę was tego. Na tym musimy się teraz skupić. Uważam, że mieliśmy więcej szczęścia niż większość ludzi w naszej części kraju.

Jego wzrok przesuwiał się po każdym z nas po kolei.

Wyprostowana sylwetka działała na nas jak magnes i wszyscy odruchowo wyprostowaliśmy się na kanapach.

– Uczymy pamięć tych, którzy zginęli, w ten sposób, że przeżyjemy. Wszyscy. To wam obiecuję. Jeśli mnie wybierze, wszyscy przeżyjemy, cali i zdrowi.

Niko pomaszerował z powrotem do stolików i usiadł. Sam.

Josie rozdała długopisy z nowej paczki i kilka ponumerowanych kawałków papieru.

Napiszcie imię chłopca, który waszym zdaniem powinien być przywódcą naszej grupy do czasu powrotu pani Wooly.

Przez chwilę wszyscy bazgrali esy–floresy, żeby rozpisać długopisy.

Potem nastąpiła cisza, gdy zastanawiali, aż w końcu zaczęli pisać.

Patrzyłem na nich. Patrzyłem na te głupiutkie maluchy.

Jak miały być na tyle rozsądne, żeby dokonać słusznego wyboru?

Jeśli zagłosują na Jake’a, będziemy mieć poważny problem.

Niko był jedynym rozsądnym kandydatem, ale nie zagrał na uczuciach

maluchów. Nie obiecał im świetnej zabawy.

Co wybiorą? Zabawę czy przetrwanie?

Napisałem na kartce Niko i podkreśliłem kilka razy.

Potem wstałem i wrzuciłem kartkę do pustego pudełka po pizzy, z którego Alex zrobił urnę.

Alex wziął pudło i siadł w kącie, gdzie starannie, dwa razy, policzył głosy.

Wstał i przeszedł na przód pizzerii.

Próbowałem podchwycić jego spojrzenie, ale miał spuszczone wzrok.

Szepnął wyniki Josie.

Odczekała chwilę i przemówiła:

– Walka była bardzo wyrównana, co zrozumiałe, bo obydwaj kandydaci są fajni. Mam nadzieję, że nikt nie będzie chował urazy, prawda?

Spojrzała na Jake'a i Nika.

– Zwycięzcą jest Niko.

Niektórzy zaczęli klaskać, ktoś zabuczał. Brayden oświadczył, że całe te wybory są g... warte (takie słownictwo!), ale Jake wstał i uścisnął Nikowi dłoń.

– Gratuluję – powiedział. – Daj znać, jeśli będę mógł w czymś pomóc, chłopie.

Cały czas niemal tańczył na palcach. Miał nadmiar energii.

– Dobra. Dzięki – odpowiedział Niko.

Nikowi opadły na oczy jego proste włosy, więc je odgarnął. Wszystko w nim było proste. Włosy, plecy, cały on. Facet był prosty, porządny i budził nasze zaufanie.

– Chodź, stary – zawołał do Braydena Jake, gdy odchodzili. – Czas się schlać.

Rozdział 13

Greenway 2.0

DZIEŃ 5

CO MI SIĘ ŚNIŁO? SMUGI ZABÓJCZEGO ATRAMENTU?
MORDERCA dobijający się do bramy?

Nie wiem. Kiedy Niko mnie szturchnął, usiadłem tak szybko, że wszystko wyleciało mi z głowy.

– Która godzina? – wymamrotałem, mrużąc oczy w słabym świetle.

– Siódma – powiedział Niko. – Siódma osiem, potrzebuję twojej pomocy w kuchni.

– Chyba żartujesz? – mruknąłem. – Zajrzę tam za dwie godzinki.

Zamknąłem oczy i przewróciłem się na drugi bok na dmuchanym materacu.

Niko po prostu nade mną stał. Z rękami na biodrach.

I czekał.

– Niech ci będzie – powiedziałem.

– Widzimy się w kuchni – odparł.

Miał dwie wielgachne tablice do wieszania plakatów i paczkę mazaków.

Kończył właśnie mapę sklepu i szczegółowy plan działania.

Całe poprzednie popołudnie obchodził sklep z Alekssem, podczas gdy ja pomagałem Josie przy dzieciach. Kolacja przebiegła bez większych zakłóceń: Jake i Brayden byli pijani i Bóg jeden wie, co i gdzie robili; Sahalia kręciła się w pobliżu, ale była obrażona na wszystkich; a Josie nadal odgrywała kochającą matkę dla naszej sporej gromadki.

Ziewając, zabrałem się do robienia kawy.

– Dlaczego musiałem wstać tak wcześnie? – spytałem Nika.

– Jesteś kucharzem – powiedział. – Chcę, żeby śniadanie było gotowe, gdy pójdziemy wszystkich obudzić, żebyśmy potem mogli im przydzielać zadania na dzisiaj.

– Już widzę, jak wszystkich to ucieszy – stwierdziłem.

– Plan – powiedział Niko. – Dzieci potrzebują planu.

– Ale nie będziesz próbował namówić Jake’a i Braydena, żeby się dostosowali, co?

Niko odgarnął brązowe włosy z czoła. Spojrzał na mnie.

– Raczej nie.

– I dobrze – odpowiedziałem szybko.

To było zabawne i wybuchliśmy śmiechem.

Chyba pierwszy raz tak się razem śmialiśmy.

Usłyszałem, że do naszego śmiechu dołącza jeszcze jeden głos, odwróciłem się i zobaczyłem Ulyssesa. Miał na sobie pidżamę z Batmanem, a spod koszulki wystawał mu okrągły brzuszek.

Można było na niego liczyć, jeśli chodzi o śmianie się z dowcipu, którego się nie kuma.

– Soy tu pomocnik! – powiedział i uderzył się w pierś. – Ulysses pomagać dzisiaj.

– Tak, tak – zgodziłem się, targając mu włosy. – To co gotujemy?

– *Huevos rancheros!*

– Dobra. Wiesz, jak to zrobić?

– *Sí, sí!* – zaświergotał.

– To chodźmy po jajka – zarządziłem.

Na odchodnym skinąłem głową Nikowi. Był zajęty swoimi wykresami.

Jeśli *huevos rancheros* to jajecznica z salsą, to Ulysses rzeczywiście wiedział, jak się przyrządza ten smakołyk.

– Dobra, drużyno – przemówił do nas Niko, gdy już się zebraliśmy i zjedliśmy śniadanie. – Dziś zrobimy dwie rzeczy. Przeprowadzimy remanent i posprzątamy sklep. I oszacujemy naszą sytuację pod względem prądu i bezpieczeństwa.

Chloe jęknęła głucho, jakby oszacowywanie sytuacji należało do obowiązków, do których rodzice zmuszają ją w każdy niedzielny poranek.

– Alex, my zajmiemy się elektrycznością i bezpieczeństwem. Reszta zacznie Operację Remanent.

Niko odsunął górną tablicę i pokazał nam mapę sklepu. Znajdowały się na niej samoprzylepne karteczki z imionami dzieci przyklejone w różnych działach.

Sahalia – RTV.

Chloe – dział farmaceutyczny.

Max i Ulysses – motoryzacyjny.

Batiste – zabawki.

Bliźniaki McKinley – remontowy.

Ja – (któż by się spodziewał?) spożywczy.

– Dlaczego Josie nie ma żadnego działu? – spytała Chloe,

– Mam misję specjalną – od powiedziała Josie.

– Och, jaką? Co to takiego? – zaraz chciały wiedzieć dzieci.

– Zobaczycie – odpowiedziała i puściła do nas oko.

Niko przeszedł do szczegółowego omówienia naszych zadań – mieliśmy ułożyć wszystko na regałach dokładnie tak, jak to było przed trzęsieniem ziemi.

Wstał i pokazał nam ciąg wózków stojący przy naszym szkolnym autobusie.

Stało ich tam sześć, a każdy zawierał: mopa, miotłę, szufelkę, środek czyszczący, papierowe ręczniki, ścierki i worki na śmieci – mnóstwo worków.

Najpierw trzeba zapakować wszystko, co się zbiło lub zniszczyło, na wózek i wywieźć do działu z wózkami dla j dzieci, teraz zwanego Śmietniskiem. Potem wrócić do swojego działu, odstawić wszystkie pozostałe produkty na półki i posprzątać.

Będziemy pracować od dziewiątej do południa. Wtedy zjemy lunch. Potem będzie czas na odpoczynek.

Josie kiwała głową. Nie ulegało wątpliwości, że skonsultował z nią ten plan.

A potem znowu trzy godziny pracy w ramach Operacji Remanent.

Potem dzieci mają czas wolny aż do kolacji.

Niemal spodziewałem się buntu. Ale nie, wszystkie dzieci ruszyły ochoczo w stronę wózków.

Okej, wszystkie z wyjątkiem Sahalii. Wzięła wózek bardzo niechętnie i odeszła, pchając go i klnąc pod nosem.

Maluchy natomiast były podekscytowane tym, że mają zadanie do wykonania.

– Posprzątam mój dział najszybciej – chwaliła się Chloe.

– Wcale nie – odparł Max. – Ulysses i ja jesteśmy najlepszą drużyną pod słońcem!

Jake i Brayden oczywiście nie wzięli udziału w pracy.

Zrobili sobie mały bunkier w dziale sportowym i skupili się na picciu piwa i graniu w laserowego paintballa. Zachowywali się tak, jakby postanowili po prostu nie uznawać władzy Nika.

Cały dzień słyszeliśmy, jak krzyczą, przeklinają i biegają po swoim dziale. Słysząc też było, że niszczą różne rzeczy.

Tylko tego nam było trzeba – więcej sprzątnięcia.

Wyglądało na to, że się dobrze bawią.

Ale my też się na swój sposób dobrze bawiliśmy – robiąc remanent.

Niko nauczył wszystkich czytać etykiety na półkach, żeby każdy zestaw Polly Pocket trafił na właściwe miejsce, i tak ustawiać produkty, żeby potem dało się je z łatwością znaleźć. Był perfekcjonistą i wymagał od nas idealnie wykonanej pracy.

– Caroline, widzę, że uporządkowałaś firanki, ale zauważyłem, że kremowe stu pięćdziesięciocentymetrowe leżą razem z białymi studwudziestocentymetrowymi – mówił na przykład.

– A właśnie się nad tym zastanawialiśmy! – świergotała w odpowiedzi Caroline ze swojego stołeczka.

A potem oczywiście wyciągali kremowe, znajdowali właściwe miejsce i tam odkładali. I tak wyglądało lepiej.

– Hej, Chloe, te buteleczki z ibuprofenem mają takie zakrętki, żeby małe dzieci nie dały rady ich odkręcić, widzisz? Dlatego stoją tutaj. Pozostałe, ze zwykłymi zakrętkami, tam.

– Niech ci będzie – jęczała Chloe, ale podchodziła do półki i przekładała leki na miejsce.

Taka monotonna praca działała na mnie bardzo uspokajająco. Mógłbym robić ten remanent bez końca.

Gdy już podaliśmy serowe *enchiladas*, które zrobiliśmy z Ulysessem na kolację, i posprzątałem w kuchni, padałem na nos, ale chciałem jeszcze pójść

poszukać Astrid. Wziąłem talerz z jedzeniem i zawinąłem w folię.

– Co robisz? – spytał Niko.

– Zostawiam dla Astrid – wyjaśniłem.

– Dobry pomysł – powiedział Niko, ziewając. – Astrid jest na mojej liście.

No, pomyślałem sobie, jest też na mojej.

Nie miałem wątpliwości, że nadal jest w sklepie – którądy by miała wyjść i po co?

Ale gdzie się ukrywała? Nawet po całym dniu sprzątnięcia w sklepie nadal panował taki bałagan, że nie sposób było trafić na jej ślad.

Postawiłem stołek na środku działu spożywczego i po prostu położyłem na nim talerz.

Bez żadnego listu. Byłem zbyt zmęczony.

Rozdział 14

Moc naleśników

DZIEŃ 6

OBUDZIŁO MNIE BIP–BIP–BIP MOJEGO PODRÓŻNEGO BUDZIKA PANASONIC. Wszyscy inni spali do ósmej, ale ja i mój mały kuchenny pomocnik (na kogokolwiek wypadło danego dnia) mieliśmy być na nogach od siódmej. Musieliśmy przecież przygotować śniadanie dla naszego zastępu.

– Batiste – szepnąłem do śpiącego chłopca. Z twarzy złagodzoną snem, wydawał się o wiele mniej skłonny do krytykanctwa. Wyglądał wręcz słodko, zwinięty na boku, z rączkami złożonymi pod policzkiem jak do modlitwy.

– Batiste. – Szturchnąłem go trampkiem. – Musimy zrobić śniadanie.

Otworzył oczy i spojrzał prosto na mnie.

– Naleśniki z serem polane świeżym sosem z owoców leśnych.

– Że co? – wybąkałem.

– Śniadanie. Już zaplanowałem całe menu.

– Dobra – mruknąłem. – Wiesz, jak to przyrządzić?

– No chyba – odparł.

Okej, przyznaję, to pewnie było głupie pytanie. A jednak nie ma to jak sarkazm ośmiolatka o poranku. Aż chce smarkaczowi skrócić kark.

Ale okazało się, że gotować potrafi. I to jak. Regały z produktami

spożywczy mi lustrował okiem prawdziwego znawcy, wybierając sprawnie paczkę bisquicku, tuzin całych jaj, dwie torebki mrożonych owoców leśnych, kostkę twarogu, ekstrakt wanilii i pudełko cukru pudru.

Nika zastaliśmy już w kuchni. To dlatego nie śmiałem nawet narzekać na wstawanie o siódmej. Niko wstawał o szóstej. Tak, szósta. *Seis*. Szósta rano.

– Dzień dobry – powitał nas rażno. – Batiste, pomagasz dziś Deanowi?

– Tak i mam plan na cały dzień. – Po czym Batiste odwrócił się w moją stronę. – Potrzebujemy blendera.

Skrytykował mnie tylko raz – za to, że nie umyłem rąk („Czystość to cnota, o której nie możemy zapominać, Dean!”), ale poza tym był wspaniałym pomocnikiem. W zasadzie to ja pomagałem jemu, gdy ucierał ser z cukrem w blenderze, miksował masę naleśnikową i wyczarowywał przepyszne naleśniki w foremce do babeczek.

Kto by pomyślał, że ośmiolatek potrafi gotować?

– Och! – zawołały dzieci, gdy Josie wprowadziła je do pizzerii.

– O Boże, co za boski zapach – jęknęła zdumiona Sahalia. Była wciąż w pidżamie, choć wszyscy inni byli ubrani i gotowi do pracy.

– Dzień dobry, Josie – powiedział Niko i podszedł do niej z kubkiem. – Kawy?

– Nie, dzięki, piję herbatę – odparła.

– Aha, okej – wybąkał Niko. I jakoś się nie ruszył.

– Chloe, Ulyssesie, bardzo proszę, żebyście pilnowali swojego miejsca w kolejce. Wiecie dobrze, gdzie macie stać. O, tak lepiej.

– To bardzo rozsądne, że wyznaczyłaś im stałe miejsca w kolejce – powiedział Niko do Josie.

Współczułem facetowi. Naprawdę nie miał talentu do nie zobowiązujących pogawędek.

Josie jakby nie zauważała jego nieudolnych wysiłków. W sumie chyba w

ogóle go nie zauważała.

– Max – podniosła głos, podchodząc do chłopca. – Każdy dostanie na początek po jednym naleśniku. Jeśli coś zostanie, będzie można poprosić o dokładkę.

– Zrobiłem tyle, że każdy będzie mógł wziąć dwie dokładki – obwieścił z dumą Batiste.

I każdy wziął po dwie dokładki. Jedyne, co nam nieco psuło przyjemność jedzenia, to że za każdym razem, gdy ktoś powiedział: „O Boże, jakie dobre!”, Batiste go upominał, żeby nie wzywał imienia Pana Boga nadaremno.

Prawie nie widziałem Aleksa poprzedniego dnia, więc próbowałem go złapać po śniadaniu.

– Hej, mógłbyś zostać tu na kilka minut? Jakbyś spojrział na piece, co? Nijak nie mogę ustawić dobrej temperatury...

Maszyna, w której trzeba pogrzebać – to powinno przykuć jego uwagę.

– Sorki, Dean, Niko potrzebuje mojej pomocy – powiedział i się zmył.

Zostałem tam w fartuchu jak matka w średnim wieku, której dzieci odkryły miejsce zwane centrum handlowym.

Po śniadaniu wziąłem talerz z trzema naleśnikami i ruszyłem szukać Astrid.

Zamiast tego natknąłem się na Jake’a i Braydena.

Poprzesuwali regały w dziale z ubraniami damskimi i zrobili sobie kręgielnię z butelkami po płynie do kąpieli i piłką do jogi.

– Chłopie! Nie trzeba było! – ucieszył się Jake na widok talerza.

Ruszył w moją stronę. Oczy miał czerwone i cuchnął piwem.

– Nie są dla ciebie, Jake – syknął Brayden. – Tylko dla Astrid.

Poczułem, że krew napływa mi do twarzy.

– O, doprawdy? – wycedził Jake.

– No. Zostawiam jej jedzenie. Chcę, żeby wiedziała, że, no... wiecie, że może wrócić.

– Jakie to słodkie – zakpił Brayden. – A myśmy myśleli, że zarcie jest dla nas.

– Boże, ale smakowicie pachnie – jęknął Jake. – Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zjemy, co? Nie wydaje mi się, żeby Astrid na tym specjalnie zależało. Widziałem ją wczoraj, jak zajadała mieszaną studencką. Nieźle sobie radzi.

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem, żeby zeżarli jej naleśniki, ale nie chciałem też wyjść na idiotę. Ani pokazać, że mi na niej zależy.

Jake wziął ode mnie talerz i rzucili się na jedzenie, jakby umierali z głodu.

– Fantastyczne! – wymamrotał Brayden z pełnymi ustami. – Najlepsze naleśniki, jakie w życiu jadłem.

– To dzieło Batiste’a – powiedziałem. – Okazuje się, że dzieciak umie gotować.

– Jezu – jęknął Jake, ocierając usta rękawem. – Co jest na obiad?

I przyszli na obiad. Stanęli w kolejce jak wszystkie inne dzieciaki. Sahalia stojąca za Jakiem próbowała nawiązać z nim rozmowę. Zignorował ją, ale był dość miły dla pozostałych dzieci, żartował z nimi, czochrał Maksowi włosy.

Niko wszedł do kuchni i kiedy zobaczył Jake’a i Braydena, zamarł. Ale potem po prostu wziął tacę i stanął w ogonku.

Obiad nie był z początku aż takim hitem. Tuńczyk w carry na toście. Tuńczyk był posypany płatkami migdałowymi i porzeczkami (kto by pomyślał, że w Greenwayu da się znaleźć porzeczki? I to z upraw ekologicznych).

Batiste zapewnił jednak wszystkich, że będzie im smakowało, i rzeczywiście – gdy tylko zaczęli jeść, byli zachwyceni.

– Gdzie się nauczyłeś tak gotować? – spytała Chloe.

– Na obozie kościelnym – wyjaśnił.

Gdy wszyscy jedli, Niko podszedł do stolika Jake’a i Braydena.

– Cześć, chłopaki – powiedział.

– Cześć. – Jake skinął głową.

Brayden nawet nie przerwał jedzenia.

– Jake, chciałbym, żebyś podjął się pewnego zobowiązania. Żebyś zarządzał bezpieczeństwem – powiedział pośpiesznie Niko. – Chciałbym, żeby ktoś silny i kompetentny obchodził sklep i upewniał się, że jesteśmy bezpieczni.

Maluchy paplały beztrosko, zając tuńczyka i siorbiąc soki z kartoników, ale Josie i ja spojrzeliśmy po sobie. Czy Jake się przyłączy? Pomoże nam czy tylko będzie razem z Braydenem sprawiać nam kłopoty?

– Pomyślę o tym – odparł Jake.

Niko odetchnął.

– Świetnie.

Wziął tacę i przysiadł się do Josie.

Gdy Batiste zaczął obchodzić stoliki i rozdawać wszystkim babeczki z *dulce de leche*, nad którymi spędziliśmy większość poranka, patrzyłem, jak Jake się rozluźnia. Podszedł do Chloe i skomplementował jej liczne spinki. Pogadał z Maksem i Ulysessem o tym, że mogliby założyć drużynę futbolową.

Brayden łąził za Jakiem, ale nie słuchał całej tej gadaniny. Obserwował Nika.

A Niko próbował – na swój beznadziejny sposób – flirtować z Josie.

Brayden obserwował ich kątem oka.

„Tajna misja”, jaką Niko wyznaczył Josie, gdy inne dzieci zajęte były sprzątaniami działów, polegała na udoskonaleniu naszych warunków mieszkalnych.

Przeszła więc cały sklep w poszukiwaniu najprzytulniejszego miejsca, które dawałoby dzieciom największe poczucie bezpieczeństwa.

Wypadło na przymierzalnię. Znajdowały się w północno – zachodnim krańcu sklepu, pod ścianą.

Sprawywały bardziej domowe wrażenie, bo w pozostałej części sklepu na podłodze leżało zimne linoleum, a w przymierzalniach podłogi były bambusowe.

Przymierzalnię dla kobiet i mężczyzn przedzielała tylko ścianka. Rozplanowano je tak samo. W obu był jeden duży boks (dwa na trzy metry – przewidziany dla niepełnosprawnych) przy wejściu, a za nim osiem mniejszych, po cztery po każdej stronie dość szerokiego korytarza. Każda z nich miała mniej więcej metr na metr.

Wiem to wszystko, bo po południu Josie poprosiła mnie, żebym jej pomógł rozwalić ściany. Chciała, żeby wszystkie maluchy spały razem w dwóch dużych przymierzalniach, a większe dzieciaki miały mieć oddzielne kabiny metr na dwa metry, które powstaną z połączenia dwóch małych przymierzalni. Miały być cztery takie sypialenki w damskiej i cztery w męskiej.

– Nie znam się na stolarce – powiedziałem, gdy przyglądaliśmy się tej przestrzeni.

– Na pewno znasz się lepiej niż ja – mruknęła Josie.

– Głowę daję, że Niko by sobie świetnie poradził – odpowiedziałem jej.

No, nie wiem. Żał mi było faceta. Było jasne – dla mnie w każdym razie – że zwariował na punkcie Josie. Pomyślałem, że jeśli mogę mu trochę pomóc, to czemu nie.

Josie przewróciła oczami.

– Niko jest taki...

– Jaki? – spytałem.

– Taki zamknięty w sobie i sztywny. Jest po prostu męczący – odpowiedziała.

– Dobra, spróbuję się do tego wziąć – obiecałem.

– Może dałoby się to przeciąć? – powiedziała Josie, pukając w ściankę działową. – Każdy z nas miałby odrobinę prywatności i możliwość wyciągnięcia nóg.

– Widzieliście może Jake’a? – rozległ się głos Braydena. Wychyliliśmy się z przymierzalni.

Przed nami stał Brayden. Ręce miał w kieszeniach, ciemne włosy opadały mu na oczy, wzrok utkwiał we własnych stopach.

– Nie – odparła Josie.

– Może postanowił zabrać się do swojej roboty – powiedziałem i wróciłem do środka.

– Co wy tam robicie? – spytał Brayden.

– Chcemy rozwalić kilka ścian, żeby zrobić sypialnie dla wszystkich.

– Potrzebujecie pomocy? – zaoferował się Brayden. – Latem pomagałem stawiać szkielety domów, więc przynajmniej umiem trzymać młotek.

Było to tak zaskakujące – sam pomysł, że Brayden miałby nam pomóc – że musiałem wyrzeć, żeby się przekonać, czy w ogóle mówi poważnie.

Tak było.

Stał tam ze zwieszoną głową jak smutny szczeniak.

– Byłoby wspaniale, Brayden – odpowiedziała Josie. – Wiesz, muszę przyznać, że uważam, że byłoby świetnie, gdybyście ty i Jake więcej się angażowali w prace.

– No – mruknął Brayden. – Pewnie masz rację. Mów, co mam robić...

I uśmiechnął się. Uśmiech miał gwiazdora filmowego.

Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem widziałem, żeby się uśmiechał.

Widziałem nieraz, jak się śmiał – podle. Ale uśmiech to było coś nowego.

I dotarło do mnie, że to jest jego uśmiech dla dziewczyn.

– Chyba nie będę wam potrzebny – powiedziałem szybko.

– Chyba nie – zgodziła się Josie.

Odwróciła się od Braydena, wyrywając się spod jego uroku. Ale oczy jej lśniły. I chyba była lekko zarumieniona.

– Wyjaśnię ci, jaki mam plan, Braydenie – powiedziała, wchodząc do przymierzalni.

Spadałem stamtąd, aż się za mną kurzyło.

Rozdział 15

Mój dział spożywczy nocą

DZIEŃ 6

JOSIE I BRAYDEN PRACOWALI CIĘŻKO CAŁE POPOŁUDNIE I NIM NASTAŁ wieczorny czas wolny, już były gotowe nasze nowe sypialnie.

Josie zaprowadziła do nich maluchy. Wpadły do środka z krzykiem i wielką ekscytacją. Niko i ja zatrzymaliśmy się w przestrzeni przed przymierzalniami. Josie i Brayden zamienili ją w salon.

Na podłodze leżała wykładzina, a na niej ułożyli kilka dywaników. Przynieśli tu pufy z działu RTV i trochę mebli. Wstawili dwie kanapy, fotel obity sztuczną skórą, dwa stoliki kawowe i biurko. Na jednym ze stolików delikatnie przelewała się lampa z magmą. Była też mała lodówka i zgrzewka butelek z wodą. Dopieścili ten pokój wręcz niemożliwie.

Tuż obok stały trzy stoliki do gry w karty, a przy nich siedem składanych krzeseł. Na każdym stoliku stała lampka. Na dwóch komodach ktoś poukładał książki – tak im oko po jednej z każdego tytułu dostępnego w dziale księgarskim.

Była to najwyraźniej przestrzeń do pracy. Jakby biblioteka.

– Zupełnie jak w domu – powiedział do mnie Niko.

Żartował sobie? Spojrzałem na niego. Trudno powiedzieć.

Więc po prostu powtórzyłem:

– Zupełnie jak w domu.

Dzieciaki kompletnie zwariowały, wszedłem więc do środka, żeby zobaczyć, o co ten cały hałas.

Brayden zręcznie usunął ścianę między przymierzalnią męską i damską, przez co powstała duża przestrzeń z korytarzem pośrodku i małutkimi sypialniami po obu stronach.

Josie i Brayden napisali mazakami imiona dzieci na drzwiach.

Chloe chwyciła mnie za rękę.

– Znalazłam twoją sypialnię – obwieściła. – Pokażę ci,

Zaciągnęła mnie do jednego z boksów w męskiej części.

I rzeczywiście na drzwiach było napisane „Dean”.

W środku było dość ciasno. Dwa metry na jeden. Między ściankami rozpięto hamak. Na podłodze stała szafka, na niej mała lampka.

Nad hamakiem wzdłuż ściany wisiała półka.

A na półce stały książki.

Kilka kryminałów, parę cyborg fiction, pięć książek kucharskich.

Roześmiałem się.

– Podoba ci się twój pokój? – Za mną stała Josie.

– Bardzo.

– Możesz go urządzić, jak chcesz. Powstawiałam tylko kilka drobiazgów, bo pomyślałam, że ci się spodobają.

– Podobają mi się – przyznałem.

– Jeśli nie lubisz hamaka, możesz tu wnieść materac. Choć nie wiem, czy się zmieści.

– Jest dobrze – powiedziałem.

Z korytarza dobiegły nas głosy Maksa i Ulyssesa. Ulysses coś powiedział i Max się roześmiał.

– Co on mówi? – chciała wiedzieć Chloe.

– Że tu jest całkiem jak w pociągu! – obwieścił Max.

– Faktycznie, tu jest jak w pociągu! – podchwyciła Chloe.

I tak nasze sypialnie – dawniej przymierzalnie w Greenwayu – zyskały nową nazwę: Pociąg.

Przy kolacji nie mówiło się tego dnia o niczym innym – tylko u Pociągu i jego twórcach, Josie i Braydenie.

Josie siedziała z Jakiem i Braydenem, co było zupełną nowością. Śmiali się i gadali przez całą kolację.

W pewnej chwili Brayden przeciągnął się i położył rękę na oparciu kanapy. Najstarszy chwyt świata. A Josie oparła się o niego.

Niko wziął swoją tacę i usiadł obok nich. Próbował włączyć się do rozmowy.

– Wiecie, kiedyś ze skautami pojechaliśmy do parku Yosemite. W nocy było tak zimno, że musieliśmy zbudować szałas. I o trzeciej nad ranem zbieraliśmy rozpaczliwie igliwie i liście na izolację.

– Och – westchnął Brayden z przekąsem. – Co za historia.

I roześmiali się.

– A najśmieszniejsze było to, że gdy rozpaliliśmy ognisko, igły i liście cały czas wpadały nam do ognia i wybuchały iskrami!

– O rany – przerwał mu Jake, zwracając się do Braydena: – Pamiętasz, jak Gruby Martin podpalił bombę z tłuszczu?!

– To dopiero było śmieszne, Josie – przypomniał sobie Brayden. – Chyba z miesiąc zbierał tłuszcz z bekonu. Chciał nam pokazać, jak się robi bombę z tłuszczu.

– A potem ją podpalił, ale ona, zamiast wybuchnąć, zaczęła tylko okropnie dymić.

– I wpadła z wrzaskiem jego matka, chwyciła gaśnicę i zalała nas wszystkich.

– Ale był czad – powiedział Brayden. – Chyba z pięć godzin sprzątaaliśmy. A Josie się roześmiała. Naprawdę to kupowała. Cały ten urok wyluzowanego twardego, który roztaczał Brayden.

Niko siedział obok i tak strasznie starał się być *cool*. Uśmiechał się, śmiał w odpowiednich momentach.

Ale widziałem, że za każdym razem, gdy Brayden dotykał Josie albo wymawiał jej imię, Niko się wzdrygał, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch.

Była jeszcze jedna osoba, której też wyraźnie nie zachwycał ten romans Josie i Braydena – Sahalia.

Zachowywała się wyjątkowo bezczelnie i nonszalancko. Mało nie upuściła tacy z jedzeniem, a teraz siedziała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i tylko wbijała w Josie nienawistne spojrzenie.

Gdy już wszyscy się rozgościliśmy w naszych nowych, przytulnych pokoikach, zorientowałem się, że zostawiłem w kuchni dziennik.

Światła już automatycznie przygasły, co oznaczało, że jest po dziesiątej, ale jako tako było widać, więc ruszyłem po dziennik.

Przechodząc przez dział spożywczy, usłyszałem głos.

A właściwie stłumiony śmiech. Astrid.

Szedłem powoli, cicho. Nie chciałem jej przestraszyć.

Ale nie słyszała mnie. Była z Jakiem.

Siedzieli razem przy mrożonej herbacie. Jadła posiłek, który dla niej zostawiłem. Grillowany kurczak z sałatką z kukurydzy w sosie maślankowym. Szef kuchni – Batiste.

Jake podkładał jej kawałki z talerza.

– Przestań – zganiała go. – Już jadłeś.

Jake położył jej rękę na kolanie. Nic na to nie powiedziała, tylko jadła

dalej.

– Wiem, ale to jest dobre.

– Przepyszne – zgodziła się.

Poczułem dumę, co było trochę głupie, zważywszy na to, że gotował głównie Batiste.

– Powinnaś do nas wrócić – powiedział Jake. – Maluchy wciąż o ciebie dopytują.

To akurat nie była prawda. Teraz, gdy Josie postanowiła odkrywać mamuszkę, jakby zupełnie już zapomniały o swojej drużynowej Astrid.

To raczej nie miało związku z samą Astrid. Maluchy po prostu mają krótką pamięć. I pewnie nawet lepiej – biorąc pod uwagę wszystko, co przeszły.

– Nie chcę – niemal warknęła. – Mówiłam ci już.

– Brakuje nam ciebie – przekonywał Jake. – No, może Braydenowi nie bardzo. Ale Deanowi na pewno.

Czułem w ciemności, jak pali mnie twarz.

Dobrze wiedział, że Astrid mi się podoba, i ona też o tym wiedziała.

– Proszę cię – mruknęła. – On jest nieszkodliwy.

Nieszkodliwy. Okej.

Próbowałem uspokoić oddech. Teraz to już naprawdę bardzo nie chciałem, żeby się zorientowali, że tu jestem.

Astrid dokończyła jedzenie. Umoczyła palec w sosie na talerzu i oblizała.

Znów włożyła palec do sosu, ale nim zdołała wsunąć go do ust, to Jake go oblizał.

Kłęcząc przed nią, odsunął talerz.

Pozwoliła mu na to.

Położył jej rękę na karku i przyciągnął do siebie.

Pozwoliła mu na to.

Pocałował ją.

Rozpłakała się.

– Tęsknię za mamą – wyszeptała. – I za braćmi. Za Alicią. Za Jadenem. I za Rini.

– Wiem – wymamrotał Jake, masując jej kark.

– Boję się. Tak strasznie się boję.

– Wszyscy się boimy, mała – powiedział Jake. – Brayden i Josie przygotowali ci naprawdę miłe posłanie. Masz własny mały pokoik. Powinnaś przyjść go zobaczyć.

– Mówiłam ci już, że nie mogę! Cały czas się trzęsę. Za bardzo się boję. Tak bardzo, że się duszę, a potem wymiotuję! Nie chcę być ze wszystkimi!

Wziął ją w ramiona, a ona przyłgnęła do niego, jakby był tratwą, a ona tonęła.

– Będzie dobrze – wyszeptał.

– Nie boisz się? – spytała.

– Wszystko będzie dobrze, Astrid.

– Czy ty w ogóle się nie boisz?

Ale zamiast odpowiedzieć, Jake zaczął ją całować. Nagle rzucili się na siebie.

Wiedziałem, że powinienem się wycofać, ale tego nie zrobiłem.

Astrid odepchnęła go na chwilę i usiadła.

Powoli, gdy Jake patrzył – i ja także – zaczęła rozpinąć bluzkę.

Nie powinienem był się przyglądać, ale nie mogłem, po prostu nie mogłem przestać.

Otarła łzy przedramieniem i rozbierała się dalej. Zsunęła bluzkę na ramiona i odpięła stanik. Pozwoliła mu opaść na podłogę i teraz stała już naga od pasa w górę.

Jej ciało było tak piękne, że aż coś mnie ścisnęło za gardło.

Takie gładkie, piękne i miękkie. Wyglądała tak miękko. Jak posąg greckiej

bogini przebudzony z zimnego kamienia i zmieniony w ciepłe, pulsujące życiem ciało.

Jake wyciągnął ręce, żeby dotknąć jej piersi.

– No to która z nich to Kopciuszek? – spytał.

– Żadna z moich piersi nie jest Kopciuszkiem. – Roześmiała się, jakby niechętnie.

Było jasne, że to jakiś ich stary żarcik.

– Witaj, Kopciuszku – powiedział Jake do jednej z jej pięknych, idealnych piersi.

Pocałował ją.

Potarł delikatnie drugą.

– Nie bądź zazdrosna, Śnieżko. Nie zapomniałem o tobie

Nie wiem czemu, ale te słowa, ten ich prywatny żarcik, był jeszcze gorszy niż patrzeć, jak Jake się do niej dobiera.

Astrid pochyliła się i pocałowała go mocno.

– Spraw, żebym się lepiej poczuła – powiedziała. – Spraw, żebym w ogóle cokolwiek poczuła.

Przetoczył się na nią i już ich nie widziałem, i dobrze, ho wiedziałem, że i tak będę się czuł strasznie podle przez to, co zdążyłem zobaczyć.

Wycofałem się i już byłem niemal poza zasięgiem ich głosów, gdy usłyszałem, jak Jake mówi:

– Zapomnij o tym.

Zatrzymałem się.

– Spróbuj – odpowiedziała Astrid.

– Nieważne – wymamrotał Jake. – To na nic.

– Czekać, Jake, wracaj.

– Daj mi spokój.

– To tylko stres – zapewniała Astrid. – Przecież nigdy przedtem tak się nie

stało.

– Powiedziałem: zostaw mnie w spokoju– warknął.

Usłyszałem, jak wciąga spodnie.

– Jake... proszę – błagała Astrid. – Nie idź sobie.

– W Pociągu czeka na ciebie fajne łóżko. Wszyscy na ciebie czekamy.

Skoro tak się boisz, to do nas wróć.

– Mówiłam ci już, że nie mogę.

– To na razie, Astrid – rzucił.

Przykucnąłem, gdy mnie mijał. Wstrzymałem oddech.

Po chwili ruszyłem z powrotem w stronę Astrid. Siedziała, patrząc w kierunku, w którym zniknął Jake. W zamyśleniu bawiła się włosami, próbując rozsupłać kołtun. Potem powąchała się pod pachą i skrzywiła.

Gdy tak na nią patrzyłem, włożyła z powrotem stanik i schowała piersi do koronkowych miseczek.

Całe moje ciało płonęło pożądaniem.

Musiałem się poruszyć, bo nagle zamarła.

– Jake? – wyszeptała i nasłuchiwała chwilę.

Spojrzała prosto w moją stronę i choć byłem pewien, że jestem niewidoczny, znieruchomiałem.

Serce waliło mi jak młotem.

W końcu uznała, że jednak nikogo tu nie ma. Ubrała się szybko i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wspięła się po półkach z mrożoną herbatą, jakby to była drabina.

Wyciągnęła rękę i przesunęła jeden z paneli w suficie. Przez otwór mignął mi śpiwór i trochę książek.

Wlaza na samą górę regału i wczołgała się do swojej kryjówki.

W suficie została tylko mała szpara między panelami. Astrid ukrywała się w moim dziale spożywczym. I widziałem ją topless. Nienawidziłem się za

to, ale tak było.

Rozdział 16

Pani

DZIEŃ 7

NASTĘPNEGO RANKA NIE BYŁEM W STANIE SPOJRZEĆ JAKE'OWI W OCZY, tego dnia moimi pomocnikami byli Caroline i Henry, a ich pogodna paplanina odwracała moją uwagę.

Jajecznicą i czekoladowe gofry. Mniem.

Niko zarządził zmianę planów. Zabębnił w tacę, żeby zwrócić naszą uwagę.

– Wszyscy wykonali wspaniałą robotę, sprzątając i przeprowadzając inwentaryzację. Chciałem wszystkim podziękować. Wiem, że jeszcze nie dokończyliście swoich zadań, ale nieco zmienimy plan dnia. Starsze dzieci będą wspólnie pracować nad pewnym ważnym projektem, a młodsze będą chodzić do szkoły.

Przez chwilę jego słowa zostały zagłuszone przez zgodny chór „nieee”.

Szkoła. To po to ustawili te stoliki do kart i składane krzesła w naszym nowym „salonie”.

– Josie wszystko wam opowie. – I wskazał Josie, żeby wstała i przemówiła.

– Słuchajcie – zaczęła Josie. – To nie będą żadne nudy jak w prawdziwej szkole. Będziemy się uczyć samych fajnych rzeczy i robić mnóstwo

projektów plastycznych. Może nawet Jake by nas nauczył trochę grać w futbol, co, Jake?

– Jasne – odparł, unosząc w toaście na wpół zjedzone gofry.

Josie usiadła, a Brayden od razu otoczył ją ramieniem. Próbował ją pocałować w kark, ale opędziła się od niego dyskretnym gestem „nie przy dzieciach”.

Niko znów stał przed nami. Wydawał się teraz twardy jak stal. Zimny i skuteczny.

Kolejna rzecz, która się zmieni, to zużycie elektryczności.

Alex opracował plan, który pozwoli nam jak najdłużej korzystać z naszych zasobów energetycznych. Musimy natychmiast wprowadzić go w życie.

Wstał Alex.

– No, yyy... więc w ciągu dnia będziemy mieć światła włączone w kuchni i w salonie...

– W szkole – poprawiła go Josie.

– A poza tym – ciągnął – w pozostałych częściach sklepu będzie ciemno.

– Ciemno? – spytała Caroline.

– Jak bardzo ciemno? – dodał Henry.

– Dość. Ale nie bójcie się. Pamiętajcie, że sklep jest dobrze zamknięty, więc nikt nie może się tu dostać. Znamy tu wszystko i wszystkich – mówił Alex.

Wiedziałem, że po części to siebie próbuje przekonać. Wmówić sobie, że się nie boi.

– I każde z nas może mieć latarkę – dodała Josie.

Batiste, Ulysses i Max chyba dość się ucieszyli z tych latarek, ale Henry i Caroline byli przerażeni.

Chloe drapała się po głowie. Mocno i z zaangażowaniem

Potem Niko przedstawił plan na cały dzień.

Starsi mieli poskładać mrożonki w jak najmniejszej liczbie zamrażarek, żeby można oszczędzać energię.

Rozumiałem już, skąd ta wielka zmiana planów. Nie mogliśmy marnować energii i oświetlać wszystkich działów, w których sprzątały dzieciaki. Niko chciał zgromadzić maluchy w jednym miejscu, żeby można było oświetlać jak najmniejszy obszar.

To miało sens. Ale mnie cała ta akcja wkurzyła i zdałem sobie sprawę, że najbardziej złości mnie to, że Alex mi o tym nic nie powiedział.

Wiedział, że kończy nam się energia, ale ani słowem o tym nie wspomniał. Powiedział Nikowi.

Niko kazał mu latać po sklepie, gdy tymczasem ja tkwiłem w kuchni. Teraz byli najlepszymi kumplami, a ja musiałem się męczyć z przedszkolakami.

Nie podobało mi się, że Niko spędza z Alekssem więcej czasu niż ja. To nie było w porządku. To my jesteśmy braćmi. Powinienem wiedzieć to co Alex, i odwrotnie.

Teraz, kiedy już sobie uświadomiłem, że w ogóle nie spędzam czasu z bratem, nie potrafiłem myśleć o niczym innym. Kiedy po południu mieliśmy czas wolny, próbowałem go namówić na Monopol. Ale już grał z Nikiem w Stratego.

A podczas kolacji Alex poprosił Nika, żeby poszedł z nim obejrzeć zestaw wideo walkie-talkie, który znalazł i nad którym pracował w naszym salonie. Więc zabrałem się do sprzątania kuchni. Rzuciłem się na hamak wkurzony na wszystko z twardym postanowieniem, że pogadam z Alekssem następnego dnia.

Zdawało mi się, że śpię ledwie chwilę, gdy ktoś zaczął mną potrząsać.

Jake.

– Wstawaj – szepnął. – Przed bramą dla dostawców stoi jakaś kobieta.

Chce, żebyśmy ją wpuścili.

Niko, Josie, Brayden i Jake też wyłonili się na wspólny korytarz Pociągu. Jake dał nam ręką znak, żebyśmy byli cicho i szli za nim.

Gdy już byliśmy na tyle daleko, że nie mogliśmy obudzić dzieci, Niko odwrócił się do Josie.

– Zostań tu, proszę, i upewnij się, że dzieci są bezpieczne.

– Chcę iść z wami – odszepnęła. – Śpią. Nic im nie będzie.

– Potrzebują cię – upierał się Niko.

– No, chłopie, ona chce iść z nami – wtrącił się Brayden.

Próba zdobycia sobie punkcików u nowej dziewczyny.

– Nie. Muszę mieć pewność, że dzieciaki są bezpieczne i że nigdzie się stąd nie ruszą – powiedział Niko. – Reszta za mną.

I ruszył w kierunku magazynów. Poszedłem za nim z resztą chłopaków, a Josie została z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Niko miał posłuch. Co do tego nie było wątpliwości.

– Ale z ciebie szowinista – syknęła jeszcze za nim Josie.

I w sumie miała rację.

W magazynie usłyszeliśmy jakby elektroniczny głos.

Kobiocy.

– Hej! Wróciłeś? Błagam! Musimy się śpieszyć.

Jake pokazał nam coś, czego wcześniej nie zauważyliśmy domofon z kamerką na ścianie.

Kobieca głowa, owinięta szalem, twarz zakryta warstwami materiału, wypełniała cały ekranik.

– Robiłem obchód jak zwykle i ją zauważyłem – powiedział Jake. – Nawet nie wiedziałem, że tu jest domofon.

– Błagam, wpuśćcie mnie – prosiła.

Niko wcisnął przycisk domofonu.

– Dzień dobry. Widzimy panią. Ile osób jest z panią?

– Tylko ja! Tylko ja! – wyszeptała. Co chwilę oglądała się za siebie.

Niko zdjął palec z przycisku. Obrócił się do nas.

– Słuchajcie, chcę ją wpuścić, ale nie mamy jak. Fizycznie. Nie wiemy przecież, jak podnieść bramy, i nie mamy kluczy do drzwi.

– Nie ufam jej – odparł Brayden. – Widzieliście, jak się ciągle oglądała? Tam jest jeszcze ktoś. Jestem pewien. To pułapka.

– Wydaje mi się, że jest sama – nie zgodził się z nim Jake. – Ale Niko ma rację. Nie umiemy otworzyć drzwi, choćbyśmy chcieli.

– Proszę! – błagała kobieta. – Proszę, pośpieszcie się!

Odsunęła materiał z twarzy, może po to, żebyśmy zobaczyli, jak wygląda. Miała cienie pod zaczerwienionymi oczami. Wyglądała na czyjąś mamę.

– Proszę! Błagam!

Niko chwycił się za głowę w rozpacz. Nie mógł tego znieść.

– A właz na dachu? – podsunąłem. – Możemy otworzyć klapę i rzucić drabinę!

– Tak! – podchwycił ten pomysł Niko. – Tak!

Ale wtedy kobieta krzyknęła. Jej twarz zniknęła z ekranu.

I usłyszeliśmy głos. Niski i paskudny. Znajomy głos.

– Odczep. Się. Od. Mojego. Sklepu.

Mówił do kobiety, a w przerwach rozlegały się głuchoe dźwięki. Chyba odgłosy bicia.

– To. Mój. Sklep.

Potwór spod głównego wejścia.

„Strzegł” naszego sklepu.

Co wyjaśniało, dlaczego jeszcze nikt nie próbował się tu dostać, żeby zdobyć wodę i jedzenie.

Przeżony wpatrywałem się w ekran. Myślałem, że zaraz zobaczymy

twarz potwora, ale się nie pojawiła.

Pewnie był tak oszalały, że nie zauważył domofonu.

Słyszeliśmy, co się dzieje na zewnątrz, znowu odgłosy walki, a potem zapadła cisza. Po chwili usłyszeliśmy szuranie i wyobraziłem sobie, że mężczyzna odciąga ciało kobiety.

Po kilku chwilach domofon wyłączył się automatycznie.

Zamarliśmy z przerażenia – tak to chyba trzeba ująć. Jeszcze przed chwilą na zewnątrz stała kobieta. Pod naszymi drzwiami. Teraz już nie żyła.

Niko zawył.

Zacisnął dłonie w pięści i zaczął się nimi okładać po głowie. Raz za razem.

– Niko, przestań! – krzyknąłem.

Obrócił się do najbliższych regałów i zaczął walić w półki. Rzuciłem się w jego stronę, żeby jakoś go powstrzyma, żeby nie zrobił sobie krzywdy.

– Zostaw go – powiedział Jake. – Niech się trochę wyżyje, Niko zniszczył cały regał, rozrywając, waląc, drąc, rzucając, rozbijając, plując, klnąc i wrzeszcząc. Płacząc.

Powoli zaczął się uspokajać.

– Dobra, chłopie – usłyszałem spokojny głos Jake’a. – Będzie dobrze.

– Nie będzie! – wydarł się Niko. – Ona nie żyje, a gdybym myślał szybciej, mógłbym ją uratować!

Uderzył głową w ciężką, drewnianą skrzynię.

– Jesteś wściekły! – wrzasnąłem. – Jesteś tak wkurzony, że mało nie pęknie z wściekłości!

Mój krzyk zupełnie go zaskoczył (mnie zresztą też). Uspokoił się.

– Mogliśmy ją uratować i zawiedliśmy! Mogłeś ją uratować i zawiodłeś! – krzychałem.

Zdawało się, że Niko musi usłyszeć te słowa z taką samą mocą, wściekłością i złością, jaką sam czuł.

– Ona nie żyje! Wszyscy tam nie żyją i nie możemy zrobić nic, żeby ich uratować!

Niko padł na kolana i przycisnął czoło do linoleum. Już nie musiałem się drzeć. Teraz mnie słyszał.

– To nie twoja wina, Niko – powiedziałem.

– Ale mogłem ją uratować.

– To nie twoja wina – powtórzyłem.

– Nie wywołałeś tsunami, chłopie – dodał cicho Jake.

– To nie twoja wina.

– To niczyja wina – zakończył Brayden.

Ciało Nika się rozluźniło.

Patrzyliśmy chwilę, jak uspokaja mu się oddech, aż w końcu znów był opanowany jak zwykle.

Otarł twarz rękawem.

Usiadł i rozejrzał się.

– Cholera – mruknął. – Ale bałagan.

Roześmialiśmy się.

– Chodź, stary – odezwał się Jake. – Napijmy się. Jake podciągnął Nika na nogi i wyszliśmy z magazynu. Obejrzałem się jeszcze na ekran.

Był czarny i cichy.

Jeszcze jedna osoba nie żyje. W porównaniu z milionami, które zginęły, to wydaje się mało ważne. Ale dla nas to znaczyło bardzo dużo.

Rozdział 17

Rum

DZIEŃ 7

USIEDLIŚMY W KUCHNI. JAKE MIAŁ BUTELKĘ RUMU I ZACZAŁ NAM NALEWAĆ hojne porcje do papierowych kubeczków.

Uniósł swój kubeczek.

– Za Nika, naprawdę dobrego człowieka, mimo że skauta.

– Zdrowie Nika – dodałem, stukając się z nimi kubeczkiem.

Pociągnąłem łyk. Czysty rum. Palił. Ale dobrze było czuć coś tak intensywnie – coś innego niż rozpacz.

Brayden wypił swoją porcję do dna i nawet się nie skrzywił.

– Wiecie co – powiedział Jake, gdy już opróżnił swój kubek – kocham skautów. A wiecie dlaczego?

– Dlaczego? – spytał Niko.

– Świetnie walą konia.

Zarechotaliśmy.

– Serio. Siedzą w tych górach, nie mają nic do roboty. I zawsze są gotowi. Mają te małe buteleczki z wazeliną i w ogóle.

– Cha, cha – mruknął Niko. Ale nie wyglądał na wściekłego. – Ludzie często tak się z nas nabijają. Ale kiedy jeszcze mieszkałem w Buffalo...

– Jesteś z Buffalo? W stanie Nowy Jork? – przerwał mu Brayden. – Moja

ciocia jest stamtąd.

Już tak długo przeżywaliśmy razem koniec świata, a nawet nie spytałem Nika, skąd pochodzi.

– No. W Buffalo w mojej drużynie było dziewięćdziesięciu ośmiu chłopaków. I wiecie, dlaczego do nich dołączyłem? Bo to była dobra zabawa. Naprawdę. Tyle się tam nauczyłem. Ale głównie to była dobra zabawa i cały czas było się z czego pośmiać.

– Pewnie bardzo ci ich brakowało po przeprowadzce – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– Powiem wam coś, chłopaki, choć pewnie mi nie uwierzycie, ale w Buffalo miałem mnóstwo przyjaciół. Serio – ciągnął. Odgarnął sobie włosy z oczu. – Wiem, że wam się to w głowach nie mieści, ale nawet miałem dziewczynę.

– Jak miała na imię? – spytałem.

– Gorąca laska? – spytał w tym samym momencie Jake.

– Lina i... no – odpowiedział Niko.

Znów się roześmialiśmy.

– Jest bardzo ładna. W zeszłym roku była w klasie maturalnej. Teraz studiuje na Sarah Lawrence.

– Czekaj, mówisz, że w zeszłym roku, jak byłeś w drugiej klasie, chodziłeś z maturzystką?

Niko wzruszył ramionami.

– No tak.

Po chwili Jake rzucił tylko:

– Fajnie.

Brayden zmrużył oczy. Wiedziałem, że myśli sobie to, i u ja (i pewnie Jake): Taaa. Jasne.

Niko właśnie wymyślił sobie dziewczynę.

Ale po tym, co właśnie przeszedł, żaden z nas, nawet Brayden, nie chciał mu zarzucać ścierny.

– Dobra, mam do was pytanie, chłopcy – odezwał się Brayden. – Jakie jest najbardziej oduczane miejsce, w którym to robiliście?

– O Boże. – Jake przewrócił oczami. – Tylko nie to. Znowu.

– Co? – obruszył się Brayden.

– To jego ulubione pytanie – prychnął Jake. – A poza tym, chłopie, naprawdę nie wszyscy tutaj mogą na nie odpowiedzieć.

I wskazał mnie głową.

Chyba wcale nie próbował być złośliwy.

– A, racja – zreflektował się Brayden. – Nie bzykałeś się jeszcze, co, Dean?

Poczułem, że moja głupia gęba robi się czerwona.

– Dlaczego tak zakładacie? – mruknąłem, starając się mówić swobodnie, ale na pewno tak to nie wypadło.

Jake pochylił się nad stołem i nalał nam więcej rumu.

– Chłopie, zakładamy, że tak jest, bo tak jest.

Roześmiali się z sympatią.

– Ale z was dupki – powiedziałem niby od niechcienia.

– Hej, Brayden – ożywił się nagle Jake. – Skoro już mowa o bzykaniu, jak tam ci idzie z Josie?

Spojrzałem badawczo na Nika. Co ten Jake sobie w ogóle myśli?

Może nie zorientował się, że Josie podoba się Nikowi. Czy to możliwe?

Brayden pociągnął łyk rumu. Nic patrzył na Nika, ale uśmiechnął się.

– W porządku – mruknął. – Bardzo miła dziewczyna.

– Cha, cha! – zarechotał Jake. – Znaczy: nie puszcza się.

Niko wpatrywał się w kubeczek w swoich dłoniach.

– Dużo się przytulamy – powiedział Brayden.

Ulga na twarzy Nika była tak wyraźna, że po prostu musiałem się roześmiać. Jake poklepał mnie po ramieniu. Naprawdę szumiało mi w głowie od tego rumu.

– Chłopie, mówię ci, pieprzenie jest super – powiedział Jake, drapiąc się po głowie. – To w ogóle najlepsza rzecz na świecie. Jak już raz zaczniesz, to myślisz tylko o tym, żeby znowu to zrobić. Czasami jeszcze w trakcie seksu się martwię, kiedy będzie następny raz!

Wypiłem resztę rumu.

Miałem nadzieję, że się wreszcie zamknie.

– Też kiedyś ci się uda, Dean. Kiedyś. I wtedy sam odkryjesz ten wspaniały świat małej, gorącej cipki.

To było takie żalotne. Takie wulgarne.

Przecież on mówił o Astrid.

Nie kochał jej. Chciał tylko jej ciała.

To nie było fair.

– Tobie to musi być łatwo – powiedziałem. Czuję gorąco na twarzy.

– Że niby co?

– Ledwie się przeniosłeś do naszej szkoły, już stałeś się popularny. Jesteś najlepszym zawodnikiem w drużynie futbolowej. Masz najseksowniejszą dziewczynę w szkole. Najlepszą dziewczynę, choć nawet palcem nie kiwnąłeś.

Słowa płynęły same. Czuję się wielki. Jakbym naprawdę mógł mu powiedzieć, co o nim myślę. Byłem pijany.

– A kim ty w ogóle jesteś? – rzuciłem, nalewając sobie więcej rumu. – Co ty masz poza urokiem osobistym i mięśniami?

– Dobra, Geraldine, uspokój się – warknął Brayden.

Opróżniłem kubeczek.

– To trochę dużo rumu jak na takiego patyczaka – mruknął Jake.

– Nie zasługujesz na nią. – Wstałem. – Jest taka inteligentna, taka piękna. Zwariowana, zabawna i kochana, a ty jesteś tylko głupim mięśniakiem. Wcale jej nie kochasz. Po prostu ją wykorzystujesz, żeby się zabawić.

Jake wstał, a jego krzesło z hukiem runęło na podłogę,

– Nie pozwalaj sobie, Dean.

Serce mi waliło jak oszalałe i wybuchnąłem śmiechem,

– Nie pozwalaj sobie? Taaa, jasne. Gdy choć raz spróbuję się odezwać... Gdy choć raz spróbuję zawalczyć o swoje czy zwrócę na siebie uwagę, to już sobie pozwalam, co? Bo nie jestem taki wspaniały jak ty, tak?

W moją stronę ruszył Niko – z wyciągniętymi rękami, jakby chciał mnie uspokoić.

Pokazałem na Jake'a.

– On na nią nie zasługuje! Ona jest boginią, a on nazywa części jej ciała od imion disneyowskich księżniczek!

Na co Jake ryknął jak dziki. Oczywiście.

I rzucił się na mnie. Oczywiście.

I zaczął mnie bić dość skutecznie. Oczywiście.

Gdy już mi kilka razy niezłe przyłożył, ściągnęli go ze mnie.

Leżałem na podłodze i ledwo oddychałem. Krew była na mojej twarzy i na linoleum.

Jake sapał, próbując złapać oddech, a chłopaki go trzymały.

– On nas podglądał – rzucił oskarżycielsko Jake. – Zboczeniec.

– Co się tu dzieje? – rozległ się głos Josie.

Podbiegła do mnie.

– Co się stało?

Niko i Brayden mieli stropione miny. Jake po prostu sobie poszedł.

– Brayden? – spytała Josie.

– Wiesz, sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli – wybąkał.

Josie posłała im wściekłe spojrzenie.

– No? – warknęła. – Pomoże mi któryś go podnieść?

Zwinąłem się na boku i rzygnąłem.

Rozdział 18

Blizsza znajomość z przeciwbólami

DZIEŃ 8

MAMUŚKA JDSIE OBMYŁA MNIE I ZAPAKOWAŁA DO ŁÓŻKA. POPROSIŁEM ją, żeby przejęła moje śniadaniowe obowiązki, i zgodziła się.

– Śpij już – powiedziała. – Śmierdzisz jak menel.

A potem leżałem przez resztę nocy i miałem różne wersje tego samego upiornego snu o tym, że pięść Jake’a spotyka się z moją twarzą. Strzelił mnie w bibliotece. Strzelił mnie w kolejce po bilety do kina. Strzelił mnie w łóżku w domu.

I cały czas bolała mnie głowa. Jakby się miała rozpuknąć.

Rano czułem się tak, jakbym spadł z wyciągu narciarskiego, trafił na czarny szlak i wtoczył się pod ratrak.

I bolała mnie głowa.

Ale wiedziałem, co muszę zrobić. Trzeba przeprosić Jake’a.

Nie mogłem mieć w nim wroga.

Musiałem mu naściemniać.

Gdy już dzieciaki się obudziły i poszły na Śmietnisko dokonać porannych ablucji, ostrożnie wstałem.

Nos rytmicznie pulsował mi bólem. Był cały zapchany skrzepłą krwią, więc musiałem oddychać przez usta, w których miałem smak, jakbym

wyliział kosz na śmieci.

Powlokłem się jakoś przez korytarz i zapukałem do drzwi Jake'a.

– Jake? – zaświszczałem.

Chciałem, żeby to zabrzmiało tak żałośnie, jak się czułem.

Znów zapukałem.

– Jake. Przyszedłem cię przeprosić.

Drzwi uchylły się lekko.

– Czego? – mruknął głos.

– Astrid powiedziała mi to wszystko w tajemnicy – skłamałem, z trudem łapiąc powietrze. – Nie miałem prawa zdradzać waszych tajemnic chłopakom. Przepraszam.

To przykuło jego uwagę.

Drzwi otworzyły się szerzej. Widziałem go w hamaku. Wpatrywał się we mnie przez szparę.

– O czym ty mówisz? – rzucił.

– Astrid czasem ze mną gada – wyjaśniłem. – Kiedy idę po jedzenie, czasem schodzi na dół i gadamy. Mówiła mi... różne rzeczy o was...

Jake patrzył na mnie przez szparę.

Bum. Bum. Bum.

Kupi to?

– To prywatne sprawy – warknął. – Co jeszcze mówiła?

– Nic – zapewniłem go. – Tylko o tym, jak się poznaliście i...

Myśl. Myśl. Myśl.

– Że bardzo cię kocha – dodałem. – Ze strasznie się boi i że tylko przy tobie czuje się bezpieczna.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Ja też ją Kocham – powiedział. – Nie miałeś prawa mówić takich rzeczy.

Kupował to. Mało nie zemdlałem z ulgi – albo z bólu. Trudno powiedzieć.

– Wiem – mruknąłem. – Przepraszam. Wiesz, jeszcze nigdy tyle nic wypięłem.

ŁUP, ŁUP, ŁUP, pulsował mi sztylet bólu między oczami,

– No. Mówiłem ci, żebyś zwolnił. Cholera, naprawdę przez chwilę myślałem, że nas podglądałeś. Nie wiedziałem, że się kumplujecie.

– Myślę, że po prostu smutno jej tam samej – odpowiedziałem. – No i pewnie wie, że mi się podoba.

Mówiłem mu tylko to, co i tak już wiedział.

Tak to się robi. Zdobywasz czyjeś zaufanie, zdradzając własne sekrety. Chyba działało.

Naprawdę chciałem, żeby tak było.

– Chrzanić to, bookerze – powiedział. – Przepraszam w takim razie, że tak ci przywaliłem.

– Zasłużyłem sobie – wymamrotałem.

Nos pulsował mi bólem. Nieustannie posyłał ostrza bólu gdzieś w okolice środka czoła.

– Hej, a co to właściwie znaczy booker? – spytałem.

– Ktoś, kto dużo czyta. Taki jakby geek – powiedział z niepewnym uśmiechem.

Dobra. Zaszufładkował mnie. Wszystko mi jedno.

Najważniejsze, żeby mnie nie zabił za to, że go podglądałem.

Odwrociłem się, żeby odejść, ale musiałem podeprzeć się ręką. Wszystko na obrzeżach pola widzenia jakoś dziwnie drgało niczym naelektryzowane. Jakby śmigły mi przed oczami małe lśniące rybki i ciągnęły głębiej pod wodę.

Nagle Jake był obok i mnie podtrzymywał, a ja opierałem się o niego całym ciężarem ciała, ze wszystkich sił starając się nie zemdleć.

– Nie wiem, czy nie złamałem ci nosa – mruknął przeproszającym tonem.

– Chodź, opatrzymy to.

Położył mnie na kanapie w salonie i poszedł po wszystko, co było potrzebne do opatrzenia nosa.

Wrócił z taśmą medyczną, wacikami, nożyczkami i butelką wody utlenionej.

– Też mi się to kiedyś przytrafiło, jak graliśmy z Abilene Cooper. Mieli tam takiego wspomagającego, facet ważył chyba ze sto trzydzieści kilo. Jak mnie walnął, to jak byk klauna na rodeo.

Obejrzał się.

– Cholera, zapomniałem o gazie.

Chwycił szenilową narzutę.

– Josie się wkurzy, ale co tam – mruknął. Zamoczył róg tkaniny w wodzie utlenionej i zaczął ocierać mi nim twarz.

Starąłem się nie uchylać, ale bolało jak piorun.

– A, czekaj – powiedział Jake. – Zapomniałem o najlepszym.

Z tylnej kieszeni wyciągnął dwa listki pigulek.

– Przyniosłem ci trochę przeciwbóli. Naprawdę dają kopa.

Wycisnął jedną tabletkę i włożyłem ją sobie do ust. Rozpuściła się. Miętowa.

– Fajne, co? Dość szybko działają. – Podał mi kolejną pigułkę. – A to demirydy. Pomogą ciąu szybciej się goić i wiesz co, chłopie? Na twoim miejscu jeszcze potem trochę bym ich łykał. Pomogą ci nabrać ciała, jeśli wiesz, o co mi chodzi...

Wsadziłem sobie sterydy do kieszeni, żeby połknąć je później, gdy będę miał pod ręką wodę.

Już i tak czułem się lepiej. Ciepło. Na luzie. Odchyliłem się na kanapie.

– I o to chodzi – ucieszył się Jake. – Teraz zamknij oczy i usta.

Nalał mi wody utlenionej prosto do nosa.

Zerwałem się, plując i krztusząc się pianą.

Jake przycisnął mi narzutę do twarzy.

– Dobra, dobra.

Pomacał mi nos. Potem wcisnął do każdej dziurki po waciku.

– Masz szczęście – stwierdził. – Ładne złamanie. Będziesz wyglądał bardziej męsko.

Przylepił mi taśmę po obu stronach nosa.

– Powinieneś mi podziękować. Dziewczyny uwielbiają takie nosy.

Kac, przeciwbóle i dwa waciki w nosie skutecznie utrudniały mi mówienie.

– Dziki, Dżyk – zdołałem wymamrotać.

Roześmiał się.

– Jesteś w porzo, booker.

Wyciągnął dłoń.

– Sorry, że cię tak podejrzewałem.

Pokręciłem głową – powolutku. Uśmiechał się do mnie. Naprawdę prosił o wybaczenie.

Poczułem się podle. W pełni sobie zasłużyłem na to lanie. A teraz udało mi się wystrychnąć na dudka gościa, który mimo wszystkich swoich wad był w sumie dość porządnym facetem. Uścisnąłem mu dłoń i wymamrotałem:

– To była moja łina.

– OBoże! Co ci się stało?! – rozległ się pisk Chloe.

Maluchy właśnie wróciły ze śniadania i szykowały się do lekcji.

Gdy tylko mnie zobaczyły, natychmiast zebrały się wokół.

– Ktoś go sprął – stwierdził Max tonem eksperta.

– Ktoś cię sprął, Dean? – spytała mała Caroline, drapiąc się po głowie.

– Spadłe – skłamałem. – S póki.

– Wcale nie spadł. Ktoś go sprął – upierał się Max.

– No, już, dzieciaki, Dean spadł z regału – zapewnił Jake. – Sam widziałem, jak to się stało.

– Może – zgodził się łaskawie Max. Spojrzał na mnie, potem na Jake’a i znów na mnie. Za każdym razem, gdy obracał głowę, jego jasny wicherek podskakiwał jak piórko na kapeluszu staruszki.

– Ale powiem wam, że siostra mojej mamy, Raylene, która jest moją ciotką, ale nie chce, żebym do niej mówił „ciociu”, bo mówi, że od tego czuje się staro, więc mówię na nią siora Raylene... No więc przychodziła do nas na pokera i zawsze wyglądała właśnie tak jak Dean, a wtedy mama pytała: „Co się stało?”, siora Raylene patrzyła na swojego męża Macka i mówiła: „Spadłam z drabiny”. A mama mówiła: „Jak dla mnie to wygląda, jakby ktoś cię sprzał”. Ale mąż siory Raylene Mack mówił: „Nie. Spadła z drabiny”. A potem Mack szedł grać w pokera i siora Raylene płakała i mówiła mamie: „Tak naprawdę to Mack mnie sprzał”. – Max spojrzał na mnie i na Jake’a znacząco. – Nie żeby coś – dodał.

I właśnie wtedy musiała się pojawić Josie.

– Hm, cieszę się, że wy dwaj też jesteście na nogach – po wiedziała.

Podniosła z podłogi zakrwawioną narzutę.

– Miło. Wielkie dzięki – syknęła, patrząc na nią. – Aha, mam wspaniałe wieści. Zauważyliście może, że wszyscy się jakoś często drapią po głowach?

W sumie to zauważyłem i prawdę powiedziawszy, w tej chwili kilkoro maluchów też się drapało.

– Mamy wszy. – Odwróciła się do dzieciaków. – Maluchy, idźcie włożyć kostiumy.

Maluchy zaczęły piszczeć i skakać z radości. Sahalia poczłapała za nimi, naburmuszona jak zawsze.

Josie odwróciła się w naszą stronę.

– Was to też dotyczy.

Rozdział 19

Wszy i inne szkodniki

DZIEŃ 8

JOSIE KAZAŁA NAM PRZEBRAĆ SIĘ W KOSTIUMY I IŚĆ NA ŚMIETNISKO.

Chciała, żebyśmy wszyscy natychmiast umyli włosy. A dokładniej – chciała wszystkim nam umyć włosy.

Jake i ja znaleźliśmy slipki, przebraliśmy się i poszliśmy na Śmietnisko.

Wszystkie maluchy były już w kostiumach. Wyglądały naprawdę słodko. Drżały od zimnego powietrza w sklepie, więc Niko rozdał im ręczniki ze sterty przygotowanej przez Josie.

Josie przyszykowała też dwie duże plastikowe wanny, mnóstwo butelek z szamponem na wszy i czterolitrowe butle z destylowaną wodą.

Brayden też się stawił na miejscu. Miał na sobie kąpielówki. Jego klatka była równie umięśniona jak Jake'a. Ale Jake miał jasną skórę i blond włosy. Skóra Braydena miała oliwkowy odcień i mimo że była jesień i żadne z nas od ponad tygodnia nie widziało słońca, Brayden wyglądał, jakby był opalony i dopiero wrócił z plaży.

Sahalia zjawiła się akurat w porę, żeby zobaczyć, jak Brayden całuje Josie. Josie chyba jakoś przeszła troska o przyzwoitość przy dzieciach. Albo po prostu nie potrafiła się oprzeć takiemu ciachu.

Sahalia nie miała na sobie kostiumu. Właściwie nawet nie oczekiwałem tego. Nie oczekiwałem od niej żadnego wykonywania poleceń.

Zamiast tego miała biały T-shirt, bardzo krótkie szorty i długie getry sięgające aż za kolana.

Przez chwilę mi się zdawało, że po prostu chciała osiągnąć w ten sposób wyluzowany styl do odwyszawiania.

Josie powiedziała nam, że mamy usiąść na wiadrze i odchylić głowę. Będzie lała nam wodę na głowę, myła włosy, potem splukiwała. Powtórzy to i po wszystkim.

Wszyscy zebraliśmy się posłusznie. Atmosfera zrobiła się niemal świąteczna, bo było to dość zabawne – jakbyśmy mieli jakieś szampon party.

Josie myła głowę Ulyssesowi, a on wygłupiał się i krzyczał, że woda za zimna.

– Zamrażam! – wołał łamaną angielszczyzną. – Zamrażam się z zimności!

Śmialiśmy się wszyscy, a Josie miała pełne ręce roboty, bo wciąż jej się wymykał z głową pełną piany i wszystko wokół było białe.

Tymczasem Sahalia, która – pozwólcie, że przypomnę – ma trzynaście lat, siada na drugim wiadrze tyłem do nas.

Stoimy sobie z Nikiem, Jakiem i Braydenem i czekamy grzecznie na swoją kolej z ręcznikami przewieszonymi przez ramię.

Sahalia bierze butelkę wody i pochyla się nad wiadrem. Wypina się do nas tyłkiem, a jej szorty są naprawdę krótkie. Więc widzimy... za dużo. Widzimy skórę pod nogawką szortów. Kremową skórę uda od bardzo wewnętrznej strony. Zupełnie jak na rozkładówce „Sports Illustrated”. Odwróciłem wzrok, jak nakazywała przyzwoitość.

Ale Jake’owi i Braydenowi chyba nie nakazywała.

– Jezu, Sahalia, marnujesz wodę – zdenerwowała się Josie.

To była prawda. Sahalia wylała już sobie chyba pół czterolitrowej butli na

głowę, gdy my się gapiliśmy, zahipnotyzowani jej pozą.

A potem było jeszcze gorzej (albo lepiej – zależy od punktu widzenia).

Wyprostowała się i odwróciła w naszą stronę.

A jej T-shirt był cały mokry.

Mogliśmy zobaczyć przez materiał całe jej piersi. Widzieliśmy jej sutki. W ogóle wszystko było widać. Wyglądała seksownie. Oblędnie seksownie.

Myślę, że po prostu nie wiedziała, co robi. Była jeszcze dzieckiem.

– Cha, cha – zaśmiał się Max. – Cycki ci widać, Sahalia!

Josie rzuciła się do niej z ręcznikiem.

– Sahalio, prześwituje ci bluzka – sztorcowała ją.

Potem spojrzała w naszą stronę i zobaczyła to, co wszyscy próbowaliśmy ukryć – że oczywiście zauważyliśmy to, co Sahalia chciała nam pokazać.

Gdy Josie zajęta była owijaniem Sahalii ręcznikiem, zobaczyłem, że trzynastolatka patrzy na Jake'a i Braydena. Na jej ustach igrał uśmiech.

Niewykluczone, że Sahalia nie zdawała sobie sprawy, że wypina nam tyłek prosto w twarz. I być może nie miała świadomości, że bluzka robi się pod wpływem wody aż tak przezroczysta.

Ale miałem wrażenie, że chciała, żebyśmy zobaczyli jej ciało.

Chciała być chciana.

Kiedy przyszła moja kolej, z ulgą poczułem zimną wodę lejącą mi się na głowę. Bardzo potrzebowałem trochę otrzeźwienia.

Kiedy trzeba było umyć głowę Braydenowi, Josie była supersłodka i superkochana.

Patrzyłem, jak czule masuje jego gęstą, brązową czuprynę, jak troskliwie ociera każdą kroplę piany, która zbliżała się do jego oczu, i mruczy: „W porządku?” i „Tak dobrze?”.

Brayden miał zamknięte oczy.

Zupełnie głuchy na jej serdeczności z pewnością skupiał się na wspomnianiu szortów Sahalii.

Rozdział 20

Na haju

DZIEŃ 9

KIEDY O SIÓDMEJ ZADZWONIŁ BUDZIK, NIE WIEM CZEMU, ALE CZUŁEM się jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia. Wystarczyło jedno spojrzenie w różowe lustro księżniczki, które Chloe powiesiła w korytarzu, żeby stwierdzić, że mam podbite oczy.

Przysunąłem lustro bardzo blisko twarzy, żeby sprawdzić, czy mam rozszerzone źrenice. Może mam wstrząśnienie mózgu.

Przybiegł w podskokach Max. Była jego kolej, żeby pomagać w kuchni.

– Ojoj! – zawył. – Wyglądasz jak potwór!

Przemknęło mi przez myśl, że może powinienem zaryczeć albo zrobić coś innego w stylu potwora, ale za bardzo bolała mnie głowa na takie żarty.

W drodze do kuchni pochłonałem cztery ibuprofeny.

Usnąłem podczas śniadania. Co mam powiedzieć?

Obyli się beze mnie. Max rozdał wszystkim miski na płatki i mleko w kartonach.

Spałem z głową na blacie, gdy przyszedł Alex i mnie obudził.

Zobaczyłem, że już po śniadaniu i że wszyscy sobie poszli.

- Co się tak naprawdę stało? – spytał. – Przecież nie spadłeś z regału.
- Kogo to obchodzi – mruknąłem i próbowałem znów zasnąć.
- Mnie! – powiedział. – Powiedz mi, co się stało.
- Idź, pobaw się z Nikiem – warknąłem.
- Co?
- Przecież zawsze gdzieś z nim chodzisz. Naprawiasz, Zarządzasz.
- Dean, co się stało z twoją twarzą?
- Jake mi przyłożył, okej?
- Dlaczego? Co takiego zrobiłeś? – spytał.

Gapiałem się na niego, a on na mnie. Miał minę, jakby zaczął tracić cierpliwość. Był poirytowany i rozczarowany.

- Co zrobiłeś? – powtórzył.

Zraniło mnie to, że od razu założył, że zrobiłem coś głupiego. Ze spieprzyłem.

Nieważne, że akurat tym razem rzeczywiście zrobiłem coś głupiego.

Ale chciałem, żeby stanął po mojej stronie i wpierw zadał kilka troskliwych pytań.

Oczy zaszkły mi łzami.

- Wynoś się – warknąłem.

– Dean...

– Zostaw mnie w spokoju! – ryknąłem. Odwróciłem się do niego plecami i poszedłem do spiżarni.

Po chwili sobie poszedł.

Jakąś godzinę później, gdy skończyłem sprzątać po śniadaniu i leżałem na blacie, licząc na choć chwilę drzemki, przyszedł Jake.

- Hej, booker – powiedział. – Jak samopoczucie?
- Do kitu.
- Tak właśnie myślałem.

Wyciągnął kilka listków pigułek z kieszeni.

– Naćpajmy się ociupinkę – zaproponował.

– Dobra – przytaknałem.

Wystarczyła jedna rozpuszczalna tabletką przeciwbólowa, którą już znałem z poprzedniego dnia, i jedna tajemnicza, nieznana mi, trójkątna i pomarańczowa, i już latałem.

Ogarnął mnie spokój. Miałem mnóstwo energii. Czułem się szczęśliwy i wolny.

Postanowiliśmy zjeść trochę ciastek.

Zdecydowaliśmy, że zjemy po jednym z każdego rodzaju, jaki znajdziemy w bogatym asortymencie Greenwaya.

– Cholerne Chips Ahoy – powiedziałem. – Prawdziwy klasyk.

– Miękkie czy twarde? – spytał Jake.

– Nie nazywają się miękkie, tylko ciągutki – poprawiłem go.

– Ciągutki! – Wybuchnął śmiechem. – Wymiatasz.

Chwycił kilka opakowań z półki.

– Teraz będzie trudniej. Miętowe Milanos. Pomarańczowe Milanos. Zwykłe Milanos. Milanos z podwójną czekoladą. Po co komu aż tyle rodzajów Milanos?

– No – zgodziłem się. – Chyba po jednym rodzaju na każdego człowieka na świecie.

– Kurczę – jęknął Jake. – Teraz to pewnie tak, bo zostało nas ze dwadzieścia osób!

I zawył.

– O Boże, czuję się świetnie! – powiedziałem.

– No, wiem. Totalny odlot – stwierdził Jake.

– Właśnie to wzięłeś w dniu wyborów?

– Jasne.

– Zupełnie wtedy zawałiłeś sprawę.

– Wiem.

To wydało nam się przezabawne.

– Co robicie, chłopaki? – spytał Max, który szedł w naszą stronę wzdłuż regału.

Obróciłem się i RYKNAŁEM na niego.

Jak potwór.

Wrzasnął i uciekł.

Obaj uważaliśmy, że to po prostu najśmieszniejszy żart na świecie.

– Hej, powiedzcie ci coś naprawdę popieprzonego?

– Jasne – mruknąłem.

– Pamiętasz, jak mówili o tym, jak te chemikalia będą działać na moją grupę krwi, że niby wywołują problemy z płodnością?

– No.

– Nie staje mi – powiedział Jake. – To mieli na myśli. Nie staje mi już przy nikim.

– Ja cię! – krzyknąłem. – Dla ciebie to tragedia, nie?

Zanieśliśmy się śmiechem.

– O Boże, muszę się wyszczać – poinformował Jake. – Chodźmy na Śmietnisko.

Gdy mijaliśmy dział sportowy, usłyszeliśmy śmiech Sahalii.

– Co my tu mamy? – zainteresował się Jake.

Sahalia i Brayden grali w air hockeya.

Sahalia miała na sobie coś, co chyba najlepiej byłoby określić mianem przebrania. Seksowna dziewczyna–stolarz. Albo może seksowna farmerka.

Za duże ogrodniczki obcięte na wysokości kolan. Pod tym bardzo niewiele. Koronkowy stanik i koronkowe majtki do kompletu. Widać było stanik, bo ogrodniczki niczego nie zasłaniały po bokach. Widać było nawet

koronkę na biodrze. Niemal było widać, gdzie ta koronka łączy się z tyłu ze sznurkiem stringów, ale – hej! – wcale się nie gapiłem... za dużo... chyba.

– Cześć, chłopaki! – zawołał do nas Brayden. – Chcecie pograć?

– Nie powinniście przypadkiem pracować? – zakpił Jake.

– Mam dziś robić remanent w dziale motoryzacyjnym – powiedziała sarkastycznym tonem Sahalia, szykując się do strzału. – Ale pomyślałam, że mogę chyba zrobić sobie małą przerwę na godzinkę albo trzy...

– Cholerny Niko i ten jego plan – burknął Brayden. – Wydaje mu się, że może wszystkim rozkazywać, co mają robić o każdej porze dnia i nocy.

– Cóż możemy na to poradzić, Bray? Lud go wybrał odparł Jake.

Zaczynałem być trochę zamroczony.

– Co jest, Geraldine? – spytał Brayden.

– Nic, nic – zapewniłem.

– Jest na haju – wyjaśnił Jake.

Sahalia i Brayden wybuchnęli śmiechem.

– Ale wyglądasz, Dean – skomentował Brayden.

– Jakbyś się zderzył z ciężarówką – dodała Sahalia.

– Nie, to ze mną się zderzył – powiedział Jake i wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. Napiął bicepsy. – Chcesz zobaczyć, jakie twarde? To właśnie działa, które go zbombardowały!

Sahalia pomacała jego ramiona. Wzdychała przy tym w zachwycie.

– Jake ma rozmiar, ale ja mam to, co się liczy – odezwał się Brayden, odpychając Jake'a i stając przed Sahalią.

Napiął mięśnie i też je pomacała. Przycisnęła ciało do jego ciała i wodziła rękami po jego ramionach w górę i w dół.

– Ładne – zamruczała.

– Przepraszam – rozległ się głos Josie. – Co tu się dzieje?

Brayden odsunął się od Sahalii.

– Nic – bąknął.

– Co ty masz na sobie, Sahalio?

– Ubranie, Josie – odparła Sahalia.

Josie się zarumieniła, chwyciła Sahalię za ramię i odwróciła.

– Dość tego! – warknęła. – Już do nas dotarło, okej? Jesteś seksowna i chcesz się kochać z chłopakami. Zakodowaliśmy.

Ale nic z tego, kochanie, bo masz trzynaście lat. Trzy–na–ście.

Czy ty rozumiesz, co ja mówię?

– Skończę czternaście za niecały miesiąc – odparowała Sahalia.

– Idź się ubrać – rozkazała jej Josie i pchnęła ją, żeby sobie poszła.

– Dziewczyny... – próbował łagodzić sytuację Brayden.

– Ludzie się tak ubierają, wiesz? – pyskowała Sahalia. –

To się nazywa styl.

– Taaa. prostytutki się tak ubierają! – ucięła jej argumentację Josie.

Trochę przypominało to kłótnię między despotycznym ojcem, a nastoletnią córką. Tylko że choć ta córka rzeczywiście miała trzynaście lat, to rolę ojca grała drugoklasistka z liceum.

– Nie masz prawa mi rozkazywać! – wydarła się Sahalia.

– Ach, tak? – syknęła Josie. – Zajmuję się maluchami, a ty jesteś jednym z nich.

– Wiem więcej o seksie niż ty, nadęta suko!

Ale zamiast się na nią wydrzeć, Josie przysunęła się bardzo blisko twarzy Sahalii.

– Jesteś małą dziewczynką! – powiedziała.

Przybiegł Niko. Brudny i spocony.

– Co się stało? – spytał. – Usłyszałem krzyki.

– Sahalia narzuca się starszym chłopcom – wyjaśniła Josie. – A po tym, jak oni na to reagują, strach pomyśleć, do czego mogło dojść.

– Josie, przecież my nie robiliśmy nic złego – zaprotestował Brayden.

Josie odwróciła się do mnie. Do mnie!

– A on jest na haju! Dean, ty? Ty?! Przecież myśleliśmy, że na ciebie jednego można liczyć!

– Okej, uspokójmy się – wybełkotał Jake.

– Ona ma trzynaście lat – powiedziała Josie, odwracając się do Nika. Miała łzy w oczach. Za chwilę popłyną jej po policzkach. – To trzynastoletka.

– Nie lubię, kiedy mówi się o mnie tak, jakby mnie tu nic było – oświadczyła Sahalia. – Jestem równie dorosła jak wy, Jake i Bray dobrze o tym wiedzą. Wściekasz się tylko dlatego, że podobam im się bardziej niż ty.

I zarzuciła Braydenowi ręce na szyję.

Strzelił buraka, a potem wyślizgnął się z jej uścisku.

– Sahalia, jesteś jeszcze dzieckiem. Bawimy się z tobą, ale przecież nigdy byśmy z tobą nie tego... Sorki – powiedział

Mało się nie rozryczała.

Przez chwilę naprawdę wyglądała jak dziecko, którym była.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła przed siebie.

– Ale z ciebie kretyń, Brayden – syknęła Josie. – A łudziłam się, że się zmienisz...

I odmaszerowała w przeciwnym kierunku.

Brayden uniósł ręce.

– Jezu! Raz zachowam się tak, jak powinienem, to wszyscy się na mnie wkurwiają!

Niko popatrzył na naszą trójkę, a potem odwrócił się i poszedł za Josie.

Brayden spojrzał na nas.

– Chcę trochę tego, na czym jesteście.

Zostawiłem ich, gdy tylko Brayden łyknął pigułki. Nie chciałem ich już więcej brać. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie chciałem mieć z nimi do czynienia.

I musiałem się położyć. Natychmiast.

Potrzebowałem pomocy i nie miałem kogo o nią poprosić.

Pracował przy biurku obok maluchów. Miał rozłożone na blacie cztery rozmaite urządzenia elektroniczne i składał coś z ich części.

– Alex, czy mógłbyś zrobić za mnie obiad? – spytałem.

Podniósł wzrok. Chłodny. Zraniony.

– W sumie...

– I jeszcze kolację?

– No nie wiem – mruknął, znów podnosząc na mnie wzrok. – Niko potrzebuje mojej pomocy. Naprawdę. Żeby jakoś ogarniać to wszystko.

Wzruszyłem ramionami.

– Ja też potrzebuję twojej pomocy – wyszeptałem. – Przepraszam.

Naprawdę było mi głupio.

Wróciłem do swojej sypialni, zapakowałem się do hamaka i spałem, spałem, spałem.

Przespałem obiad. Przespałem kolację.

W środku nocy przyśniło mi się, że Astrid jest w moim pokoju.

Śniło mi się, że Astrid jest w mojej małej sypialni, stoi przy hamaku i patrzy na mnie.

Potem poczułem jej zapach i obudziłem się.

Astrid była w mojej sypialni. I śmierdziała.

Wyglądała pięknie w mieniącym się świetle mojego badziewnego budzika. Ale naprawdę cuchnęła.

Żałosne, ale pierwsze, co sobie pomyślałem, to że dzięki Bogu Jake mi wyciągnął z nosa ostatni wacik, nim zasnąłem.

Nie ma to jak próżność.

Chwyciła mnie za włosy i szarpnęła moją głową tak, że patrzyłem jej teraz prosto w twarz.

– Nie waż się nigdy więcej mnie podglądać! – syknęła.

– Przepraszam – wybąkałem.

– Dupek.

Puściła moje włosy i odwróciła się, żeby wyjść. Miejsca było tak mało, że jej ciało niemal stykało się z moim.

– I nie bierz więcej żadnych prochów. Zniszczą cię. Zrobią z ciebie idiotę.

– Astrid, proszę – wyszeptałem.

– Co?

– Naprawdę strasznie cię przepraszam.

Usiadłem krzywo i zdołałem zwiesić jedną nogę z hamaku. Niechcący otarłem się przy tym o jej udo, ale się nie odsunęła.

– Szedłem po mój dziennik i zobaczyłem was i... źle postąpiłem. Bardzo źle. Szczególnie że...

– Że co? – spytała.

W ustach mi zaschło. Serce waliło.

– Bo wiesz... zależy mi na tobie – powiedziałem i zaraz się z tego wycofałem. – Chcę, żebyś lepiej się poczuła. Żebyś wróciła do nas.

W świetle budzika nie widziałem jej zbyt wyraźnie. Ale dawało mi się, że na jej twarzy zalśniła smuga po łzach.

– Opuść sobie – mruknęła. – Podglądasz mnie. Ćpasz. Przestraszyłeś Maksa. To nie w porządku.

Poczułem się podle. Jak robak.

– Musisz być jednym z tych dobrych, rozumiesz? – szepnęła.

I poszła sobie.

Rozdział 21

Klapa

DZIEŃ 10

O SIÓDMEJ RAND NIE OBUDZIŁEM CHLOE, MIMO ŻE TO ONA TEGO DNIA miała być moją pomocnicą. Pomiąłem ją i zamiast tego obudziłem Maksa.

– Max – szepnąłem nad posłaniem, na którym zwinął się z Ulysessem i Batiste'em. Maluchy nie miały hamaków. Spały na złożonych razem małych materacach.

Trzej chłopcy wyglądali dziko i słodko zarazem. Trochę jak wilczęta w legowisku. Włosy mieli potargane, koce i prześcieradła skotłowane. Przypominali zagubionych chłopców z *Piotrusia Pana*.

– Max. – Potrząsnąłem nim lekko.

– Taaa?

– Pomógłbyś mi dziś w kuchni?

– Znowu?

– No – szepnąłem. – Jestem ci to winien.

– Dwa dni z rzędu? Serio?

– No.

– Ja cię! No jasne! – ucieszył się, na wpół przytomny gramoląc się z posłania.

W drodze do kuchni włożył polarową bluzę. Każdego dnia było jakby coraz zimniej. Może to dlatego, że gigantyczna metalowa chmura przesłoniła promienie słońca.

– To co robimy na śniadanie? – spytałem.

– Desery lodowe.

– Desery lodowe?!

– Tak.

– Max, to chyba nie jest najlepszy pomysł. Potrzebujemy prawdziwego jedzenia, żeby jakoś zacząć dzień.

– No – mruknął. – Ale, jesteś mi coś winien. Sam powiedziałeś.

– Hmm...

– Byłeś dla mnie wczoraj naprawdę niemiły i nawet się przez ciebie popłakałem...

Nie powinienem się zgadzać. Ale wzruszyłem ramionami.

– Okej.

Dlaczego nie? Zawsze możemy podać lody z orzechami czy coś...

Zapełniliśmy wózek składnikami na desery.

– Wiesz, gdzie są najlepsze desery lodowe? W Village Inn – oświadczył Max.

– Naprawdę? – mruknąłem. Głowa znów mi pękała. Z tego, co widziałem, siniaki wyglądały gorzej niż poprzedniego dnia. Lewe oko zaszło mi krwią.

Prawdę powiedziawszy, wyglądałem teraz na niezłego twardziela.

Ale ta głowa...

Potrzebowałem kawy i ibuprofenu.

– Raz jedliśmy sobie w Village Inn i mama poszła do łazienki – powiedział Max, pakując do wózka butelkę z syropem truskawkowym. – Nie wracała całe wieki, więc tata poszedł zobaczyć, co jej tak długo nie ma, i nie wracali, i nie wracali. Siedziałem tam i czekałem, i czekałem, i czekałem, aż przyszła

kelnerka i spytała, czy chciałbym jakiś deser, to powiedziałem, że jasne. No i przyniosła mi banana split, bo o to poprosiłem, i zacząłem jeść. I naprawdę chciałem się podzielić z mamą i tatą, ale tak strasznie długo ich nie było, że w końcu zjadłem całą porcję, a potem jakoś mi się tak zimno zrobiło i poszedłem do łazienki poszukać taty, i go tam nie było, więc wróciłem do stolika i potem kelnerka mnie obudziła i kazała mi powiedzieć, jaki mamy numer telefonu, i zadzwoniła do mamy, i się okazało, że całkiem o mnie zapomnieli i wrócili do domu beze mnie.

– Jezu, Max – powiedziałem. – To okropne.

– Zdarzyło ci się kiedyś coś takiego? – spytał.

– Nie – przyznałem.

– No – mruknął. – To pewnie dlatego, że twoi starzy nie piją tyle co moi.

– Nie za wiele – zgodziłem się.

– Ale wiesz, jaki był plus? – spytał. – Nie skasowali nas za ten pyszny deser!

Musiałem mu przyznać, że umie opowiadać.

Przygotowaliśmy więc prawdziwy bar lodowy. Był imponujący. Mieliśmy dziewięć smaków – od zwykłej wanilii po czekoladowy z masłem orzechowym. Do tego gorący karmel, kajmak i syrop krówkowy, ananasy i truskawki. I najróżniejsze posypki: pokruszone ciasteczka Oreo, misiowe żelki, żelkowe robaki, wszystkie możliwe orzechy, kawałki czekolady zwykłej i białej i kawałeczki karmelu.

– Padną, jak to zobaczą! – cieszył się Max.

– No. Słuchaj, Max...

– Nie będą mogli uwierzyć własnym oczom!

– Wiem. Słuchaj, Max, jeśli chodzi o wczoraj... to naprawdę przepraszam,

że na ciebie ryknąłem. To nie było miłe z mojej strony.

– Iii tam. Wczoraj było wczoraj. Nigdy nie myślę o tym, co było. Inaczej już dawno byłoby po mnie.

Wyciągnął wisienkę ze słoika i wpakował sobie do ust.

Uznałem, że to w sumie całkiem dobra filozofia życiowa.

Szczególnie biorąc pod uwagę to, w jakim stanie znajdował się świat.

– Umiesz zrobić supełek na łydyżce? – spytał. – W Emerald’s była striptizerka, która miała na imię Bingo. Umiała zawiązać wisienkę na uchwycie plastikowego miecza! Samym językiem!

Pokręciłem głową.

– Miała strasznie wystające zęby. Może to była jej tajna broń.

Lody już się trochę roztopiły. Spojrzałem na zegarek.

– Kiedy oni wreszcie przyjdą? Mogę po nich pójść? – spytał Max.

Było wpół do dziewiątej.

Gdzie się wszyscy podziali?

Dopiero wtedy się zorientowałem, że w sklepie panuje całkowita cisza.

Żadnych głosów.

Żadnych porannych kłótni maluchów.

Żadnego ochrypłego śmiechu Jake’a czy Braydena. Żadnego ruchu.

Ruszyłem biegiem.

– Co jest? Gdzie oni są? – darł się Max, biegnąc za mną.

Pociąg był zupełnie pusty.

Obróciłem się na pięcie.

Max dopadł do mnie.

– Gdzie się wszyscy podziali?! – krzyczał.

– Ciii! – szepnąłem.

Usłyszałem ciche głosy dochodzące z magazynu.

– Są na zapleczu – powiedziałem. – Chodźmy.

Gdy tylko dotarliśmy do drzwi, pojawił się w nich Alex.

– Dean, właśnie po ciebie szedłem. Pod drzwiami są ludzie!

Przepchałem się między maluchami do przodu, bliżej domofonu.

Monitor był szary, ale widać było na nim dwie sylwetki.

Niko:

– Mogą być niebezpieczni!

Josie:

– Potrzebują naszej pomocy!

Jake:

– Nie możemy im ufać!

Brayden:

– Przecież znają panią Wooly!

To przykuło moją uwagę.

– Co?! – ryknąłem. – Znają panią Wooly?

– Zróbmy głosowanie – zdecydował Niko.

– Chwila! – krzyknąłem. – Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje?!

– Wynosiliśmy śmieci na Śmietnisko i wtedy Henry usłyszał głos – powiedziała Josie. – Przyszłam tutaj i ten mężczyzna prosił, żeby ich wpuścić. Nazywa się Craig Appleton.

– I jest ze znajomym – wtrącił Niko. – Jest ich dwóch.

– Ten jego znajomy zna panią Wooly – dodał Brayden. – Jest woźnym czy kimś takim w podstawówce.

– No – potwierdziła Chloe. – Naprawiał autobusy i pług do odśnieżania, i w ogóle.

– Jak sobie poradzili z tamtym facetem? – spytałem Nika. Spojrzał na mnie pytająco. – Z tamtym, który pilnuje sklepu.

Teraz maluchy zaczęły się dopytywać, kto pilnuje naszego sklepu, ale Niko tylko wzruszył ramionami.

– Nie spytałem.

– No to, cholera, trzeba ich zapytać – powiedział Jake.

Niko wrócił do domofonu.

– Przepraszam pana, mamy pytanie.

Jedna z sylwetek zbliżyła się do kamerki. Twarz była zakryta warstwami materiału w kratę. Wyglądało to trochę jak dywan.

– Tak, Niko?

– Chodzi o to... że był tu taki jeden. Zwariował przez chemikalia. Z tego, co zrozumieliśmy, ubzdurał sobie, że sklep jest jego, i nie dopuszczał do nas nikogo...

– Tak – powiedział Craig Appleton. – Musieliśmy go zastrzelić.

Niko poprosił Josie, żeby zabrała maluchy, w tym Sahalię i Aleksa do salonu. Odmówiła.

– Nie dam się wyłączyć z podejmowania decyzji – uparła się.

– Ja też nie – dołączyła do niej Sahalia.

Niko wziął głęboki wdech.

– Dobra, Sahalia – powiedział. – Jeśli zabierzesz dzieciaki do salonu i jakoś je zabawisz, przestanę traktować cię jak dziecko. Będziesz miała status starszego nastolatka i wszystkie związane z tym przywileje.

– Ach, tak? Teraz nagle jestem dorosła? Traktujecie mnie jak gówniarę, ale jak jestem wam do czegoś potrzebna...

– Sahalia! – ryknął Niko. – Potrzebuję. Twojej. Pomocy!

– Dobrze – wycedziła przez zęby. – Ale chcę, żebyście wzięli też pod uwagę mój głos.

– Głosujesz za czy przeciw? – spytał Niko.

– Wpuśćcie ich. Może będą mogli nam powiedzieć, co się tam, do diabła, dzieje. Chodźcie – zwróciła się do dzieciaków.

– Wpuśćcie ich! Wpuśćcie! – darły się dzieci, a Chloe najgłośniej.

– Hej, Sahalia! – zawołałem jeszcze za nią, gdy już zapędzała maluchy. – Przygotowaliśmy bar lodowy...

– Na śniadanie? – spytała z potępieniem w głosie.

– Panie Appleton, będzie pan musiał chwilę poczekać – powiedział Niko do domofonu. – Musimy to przedyskutować i zrobić głosowanie.

Mężczyzna z twarzą zasłoniętą materiałem w kratę podszedł bliżej kamery.

– Rozumiemy, że potrzebujecie czasu, żeby podjąć decyzję – powiedział. – Tu na zewnątrz czai się wielu niebezpiecznych ludzi. Ale mnie i Robbiemu możecie ufać. To dlatego pani Wooly powiedziała Robbiemu, gdzie jesteście. Przyjaźni się z nim. Jestem ranny i brakuje nam jedzenia. Na zewnątrz wody i żywności jest bardzo mało. Jeśli pozwolicie nam uzupełnić zapasy, możemy wam za to dać jedyną rzecz, jaką mamy na wymianę.

– Co takiego? – spytał Niko.

– Informacje.

To była najbardziej zażarta dyskusja, jaką kiedykolwiek odbyliśmy. Niko i Jake całkiem dobrze argumentowali przeciwko wpuszczeniu mężczyzn.

Nika bardzo niepokoiło to, że zastrzelili tamtego faceta.

Mogą wykorzystać broń przeciwko nam. Możemy stać się ich więźniami. Mogą przejąć Greenwaya.

– Moim zadaniem jest dbanie o wasze bezpieczeństwo – powiedział Niko ze skrzyżowanymi na piersi rękami. – Oni mają broń i są dorośli. Mogą sami sobie poradzić.

– Jeśli spróbują przejąć sklep, będziemy mieć przekichane – odezwał się Jake. Jego oczy były szkliste i jakieś dziwne. – Niech idą swoją drogą. Nie potrzebujemy tu obcych, żeby nam rozkazywali.

Brayden potrząsnął Jake'a za ramię.

– Chłopie, odbiło ci? – naskoczył na niego. – Mogą nam powiedzieć, co się dzieje! Musimy to wiedzieć! A mamy przecież całe tony żarcia. Możemy

spokojnie wymienić część im informacje.

– Zgadzam się z Braydenem. Powinniśmy być hojni i dzielić się tym, co mamy. Musimy też się dowiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Warto zaryzykować – powiedziała Josie.

Alex nie chciał zmieniać układu, który wyglądał na dość stabilny.

Przeważały więc argumenty Braydena.

I mój głos.

Niko odwrócił się w naszą stronę.

– Chcę tylko, żeby było jasne, że jestem przeciwko. Robię to, bo mnie przegłosowaliście. Nadal uważam, że to zły pomysł.

– Dobra, dobra – mruknął Brayden. – Powiesz im wreszcie czy ja mam to zrobić?

Niko się odwrócił, westchnął i wcisnął przycisk, który włączał mikrofon.

– Wpuścimy panów – powiedział do domofonu – pod na stępującymi warunkami. Po pierwsze: na czas waszego pobytu u nas przekażecie nam broń. Po drugie: zgodzicie się wyjść ze sklepu jutro rano bez względu na wszystko. Po trzecie: obiecacie nie wziąć więcej niż to, co wam damy, i po czwarte: przysięgniecie przestrzegać naszych zasad.

– Zgoda – powiedział pan Appleton, nie pytając Robbiego o zdanie. – To jak mamy wam pomóc otworzyć drzwi? – spytał.

– Nie można ich otworzyć – odparł Niko. – Zrzucimy wam drabinę z dachu.

Wygnano mnie z magazynu. Nika i Braydena zresztą też.

– Ty też wychodzisz, Josie – powiedział Niko.

– Przecież nie wiadomo, jaką mam grupę krwi! – zaprotestowała.

– Właśnie – odpowiedział Niko.

Mężczyzn mieli więc wpuścić Alex i Jake.

Otulili się kilkoma warstwami ciuchów, żeby jakoś się chronić przed

wpływem chemikaliów. Niko podał Jake'owi drabinę, a potem Jake i Alex weszli po metalowych schodach, żeby otworzyć klapę.

Po tym, jak pod sklepem została zaatakowana tamta kobieta, Niko chciał, żeby włącz dawało się łatwo otworzyć (nie tracąc przy tym szczelności) na wypadek, gdyby znów coś takiego się zdarzyło.

Chyba naprawdę łatwo się go otwierało, bo gdy wróciliśmy z nawilżanymi chusteczkami, dwiema wielkimi butlami wody i czystymi ciuchami dla gości, już słyszeliśmy zza drzwi magazynu męskie głosy.

Wydawały się przyjazne...

Josie, Niko, Brayden i ja czekaliśmy niecierpliwie pod drzwiami.

W końcu wyłonił się zza nich Alex z dwoma pistoletami. Trzymał oba za rękojeści, lufami w dół, z dala od siebie – jak zdechłe szczury. Przez ramię miał przewieszony pas z amunicją.

– Nie zgadniecie – powiedział, gdy udało mu się wreszcie odwinąć szalik z twarzy. – Mają ze sobą psa! Bardzo miłego

– Wezmę broń – odezwał się Niko.

Wyciągnął wielką plastikową torbę z zamkiem błyskawicznym i Alex włożył do środka pistolety i amunicję. Niko zapiął torbę starannie i ruszył do działu akcesoriów. Pewnie, żeby gdzieś to wszystko schować.

Dałem Aleksowi ubrania i środki czystości, żeby zabrał je do magazynu.

– Jacy są? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Zachowują się miło – powiedział. Potem spojrzał na mnie. – Też byś się tak zachowywał na ich miejscu, nie?

Sahalia przyprowadziła dzieciaki.

– Nie dałam rady dłużej ich zatrzymać – powiedziała. – Zupełnie powariowały od tych ilości cukru, jakie im zaserwowałeś z rana.

Rzeczywiście trochę szalały. Skakały wokół, śmiały się, wrzeszczały,

przepychały.

Potem zza drzwi dobiegł nas głos pana Appletona i dzieci zamilkły.

Głos dorosłego. Dorośli są wśród nas.

Caroline i Henry trzymali się za ręce. Max i Ulysses też.

Drzwi się otworzyły, ale to tylko Alex znowu do nas wyszedł.

– Przebierają się i obmywają – wyjaśnił. – I nie zgadniecie, co? Mają dla was niespodziankę!

– Co to?

– Co?

– Jaką niespodziankę?

– Zostaną z nami?

– Przyszli nas uratować?

– Czy to ktoś, kogo znamy? – krzyczały dzieci jedno przez drugie.

Josie machnęła na nie, żeby podeszły do niej, dzięki czemu odsunęły się trochę od drzwi.

– Ci dwaj panowie przyszli zrobić z nami wymianę – tłumaczyła. – Damy im jedzenie i wodę i pozwolimy tu przenocować. W zamian za to opowiedzą nam, co się dzieje na zewnątrz.

– Ale... ale... – wybąkał Henry i uderzył w ryk. – Ja chcę do domu! Do mamy! Mam już dość tego czekania!

Josie przytuliła go i podniosła.

– Wiem, Henry – szepnęła. – Jesteście tacy cierpliwi. Ale może ci panowie powiedzą nam, jak długo jeszcze musimy czekać. Chodźcie – powiedziała do wszystkich maluchów. – Pójdziemy wybrać jakieś ładne podarunki dla gości.

I powędrowali, szczebiocząc jak stadko ptaków.

Zza drzwi dobiegł nas męski śmiech. Dla nas, tkwiących po tej stronie drzwi, czas jakby się zatrzymał.

– No – mruknął pod nosem Niko. – Mam nadzieję, że to nie był wielki

błąd.

– Będzie dobrze – uspokajałem go. – Pani Wooly nie powiedziała im, gdzie jesteśmy, gdyby im nie ufała.

Niko westchnął i potargał sobie dłonią ciemne, proste włosy.

– Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś się stanie komukolwiek z nas – syknął. – Nigdy.

– Wyluzuj, skaucik – rzucił Brayden. – Nic nam nie będzie.

Wróciła Chloe z dwoma snickersami. Max i Ulysses nieśli po wielkiej butli gatorade'a. Caroline i Henry wybrali kartki. Batiste wziął dwa nowiutkie egzemplarze Biblii.

– No, orszak powitalny gotowy – powiedziała Josie.

I w końcu drzwi się otworzyły.

Pan Appleton był wysoki, miał pewnie metr osiemdziesiąt wzrostu. Ubrany był teraz w spodnie khaki, flanelową koszulę w kratę i szary sweter z łatami na łokciach. Jego oczy były zaczerwienione i nozdrza też miały czerwone obwódki. Poza tym był blady i się trząsał. Miał siwiejące, ścięte krótko włosy. Brudne. Niewiele pomogły nawilżane chusteczki i butelka wody, ale pewnie i tak prezentował się o wiele lepiej niż przedtem.

Utykał i przez materiał spodni już przeciekała krew.

Powinniśmy byli przynieść opatrunki, przemknęło mi przez głowę.

Robbie był dobre trzydzieści centymetrów niższy. Był Latynosem o ciemnej skórze. Miał zmarszczki w kącikach oczu, kurze łapki od śmiechu. Jego oczy i nos też były zaczerwienione, ale uśmiechał się do nas. I trzymał w ramionach starego psa.

Pies był mokry i choć Robbie trzymał go jakoś dziwnie, zwierzak wydawał się bardzo cierpliwy i pogodzony z tym upokarzającym faktem, że jest noszony na rękach. Nie był rasowy. Szaro-brązowy kundel o pomarszczonym, białym pysku. Miał taki spłaszczony pysk, jak to czasem

psy, i jeden z dolnych zębów zachodził mu na górną wargę. Brzydki, ale na swój sposób uroczy.

Dzieciaki zapiszczały z radości na jego widok i zaraz zaczęły się nim zachwycać.

Pies szczeknął i uprzejmie zamerdał krótkim ogonem.

– To jest pan Appleton – powiedział Jake. – A to pan Robbie.

Robbie uniósł psa.

– A to jest Luna – dodał wesoło.

Położył suczkę na podłodze. Podeszła obwąchać nam stopy, Zamiast smyczy miała kawałek sznurka.

To się oczywiście zaraz zmieni. Luna będzie miała do dyspozycji każdy psi gadżet luksusowy dostępny w Greenwayu.

Dzieciaki zaczęły się pchać naprzód jedno przez drugie. Wyciągały przed siebie podarki.

Pan Appleton uprzejmie ścisnął wszystkie dłonie, targał i czupryny i przyjmował prezenty, ale potem się zachwiał i Robbie musiał go podtrzymać, żeby nie upadł.

– Zaprowadzimy pana do działu farmaceutycznego – powiedział Niko.

– Może lepiej przynieście tu kilka bandaży – zaproponował pan Appleton i osunął się na podłogę.

Rozdział 22

Śniadanie z gośćmi

DZIEŃ 10

MOJE PIERWSZE WRAŻENIE BYŁO TAKIE, ŻE PAN APPLETON JEST BYŁYM wojskowym. Mieszkało ich całkiem sporo w okolicy. Miał sylwetkę żołnierza i charakterystyczną fryzurę. Właśnie tak często obcinali włosy byli wojskowi. Nie na jeża – może zdawało im się, że już nie mają prawa do takiej fryzury – ale włosy były niewiele dłuższe, żeby nie spadały na oczy.

Pan Appleton tolerował maluchy, ale czuło się, że za nimi nie przepada.

Robbie wręcz odwrotnie – był rodzinnym typem. Od razu to było widać. W otoczeniu maluchów wyglądał, jakby trafił do nieba. Ale najbardziej zachwyliło mnie to, jak się zachował względem Ulyssesa.

Gdy Niko poszedł do działu farmaceutycznego, dzieciaki zebrały się na podłodze wokół Robbiego i Luny. Robbie uczył się imion wszystkich dzieci i zapoznawał je z Luną. Widziałem, jak patrzy na Ulyssesa i czeka, aż ten się przedstawi.

I Ulysses powiedział:

– *Soy Ulysses.*

A Robbie wyciągnął rękę, objął go i przytulił. Z ust obydwu wylał się potok hiszpańskich słów i już po chwili Ulysses płakał, Robbie płakał i tylko trzymał go jedną ręką, a drugą Lunę, która postanowiła, że musi im umyć

twarze językiem.

Wyglądało na to, że Ulysses ma bardzo dużo do powiedzenia. Tylko nie mówił, bo żadne z nas go nie rozumiało.

Dlaczego wymyśliłem sobie, że w liceum będę się uczyć francuskiego, naprawdę nie wiem.

Wrócił Niko z lekami. Uklęknął przed panem Appletonem i rozciął nogawkę jego nowych spodni.

Pan Appleton miał na nodze dwie rany. Przy kostce okropną ranę ciętą. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Josie, może powinniśmy zabrać stąd dzieci, co? – zasugerowałem słabo.

Rana przypominała wypatroszoną rybę, jeśli to w ogóle możliwe. Wielkie rozcięcie ze skrawkami ciała zwisającymi po bokach, podchodzące czymś zielono–żółtym. Nie krwawiła, ale widać było czerwone linie pod skórą, idące w górę nogi jak żyły. W większości czerwone, ale w niektórych miejscach były też zielone jak siniaki.

Krew ciekła z rany nad kolaniem. Wyglądała jak ugryzienie. Brakowało kawałka mięsa.

– Co się panu stało? – chciała wiedzieć Chloe.

– Drut ostrzowy – mruknął pan Appleton.

Niko polał wodą utlenioną ranę na kostce i zasyczała. Głośno.

– Chodźcie, dzieciaki – powiedziałem, czując, że miękną mi nogi. – Zostawmy Nika w spokoju, żeby mógł się skupić na pracy. Pomożecie mi w kuchni.

Rozległy się protesty i „nieee”, ale smród rany był okrutny i w końcu Josie, Sahalii, Aleksowi i mnie udało się zagonu dzieci do kuchni.

Były jak stadko świerszczy – skakały bez chwili wytchnienia, przejęte tym, że pojawili się DOROŚLI i PIES!

– Batiste – przywołałem chłopca. – Musimy wykombinować coś

specjalnego.

– To mamy dziś dwa śniadania? – spytał.

– Pierwsze się nie liczy. To były lody, na litość boską.

– Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno – zganił mnie szybko. A potem rzucił: – Tak! Zrobimy ucztę jak na święto Dziękczynienia, tylko w wersji śniadaniowej.

Batiste popędził do działu spożywczego. Za nim pobiegła Chloe, żeby mu pomóc. Jakby zaczęli się nawet dogadywać.

Kazałem Aleksowi i Sahalii wyrzucić pozostałości po lodach.

Resztę maluchów zagoniłem do pieczenia babeczek bananowych pod nadzorem Josie, gdy tymczasem Batiste i ja rzuciliśmy się w wir pracy.

W niecałe czterdzieści pięć minut przygotowaliśmy *quiche*, placki ziemniaczane, sałatkę owocową, która według Batiste'a nazywała się ambrozja, oraz ostatnie cztery paczki bekonu.

Niko wprowadził mężczyzn do kuchni w chwili, gdy właśnie kończyliśmy parzyć kawę. Pan Appleton miał kule – nawet nie wiedziałem, że mamy jakieś na stanie.

– *Ay Dios!* – zawołał Robbie. – Ile jedzenia!

– Zrobiliśmy dla panów babeczki! – krzyknął Max.

– A moja jest największa! – wykrzyknęła Chloe.

Dzieci znów wpadły w szal i darły się wszystkie naraz.

A do tego Luna zaczęła szczekać.

– Ciii, maluchy! – próbowała je uciszyć Josie.

Ale się jej nie udało.

– Cisza! Cisza! – ryknął pan Appleton.

Dzieciaki natychmiast się zamknęły.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

– Przepraszam – powiedział pan Appleton. – Po prostu... my... jestem

trochę wstrząśnięty. Tam panuje chaos. Na zewnątrz. I nie jestem przyzwyczajony do takiego... hałasu.

– Rozumiemy – odezwała się Josie. – Dużo panowie przeszli. Proszę siadać. Przyniosę jedzenie – powiedziałem.

– Ty jesteś szefem kuchni? – spytał mnie Robbie.

– A, tak – mruknął pan Appleton. Widać było, że zdobywa się na życzliwość z wielkim trudem. No i że ledwie siedzi. – Komu mamy podziękować za jedzenie?

– Mam na imię Dean. Zwykle to ja gotuję – wyjaśniłem. – Ale dziś to Batiste wszystko obmyślił.

Robbie uściskał nam dłonie z wielką werwą. Potem pan Appleton. Dłoń miał suchą, silną.

– Bardzo mi miło – powiedział.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Batiste.

– Odpowiadam za jedzenie – poinformowałem. – Więc pewnie to ja wydam panom zapasy. Postaram się wybrać same pyszności, gdy już będziecie nas opuszczać.

Z jakiegoś powodu czułem potrzebę przypomnienia im, że nas opuszczą, i to szybko.

Może dlatego, że wpatrywali się w jedzenie jak dzikie zwierzęta.

Wszyscy jedliśmy, ale ci dwaj po prostu żarli.

W połowie posiłku Robbie przerwał i odmówił spóźnioną modlitwę po hiszpańsku.

Puścił oko do Ulyssesa, a potem wyjaśnił nam:

– Byłem taki głodny, że zapomniałem podziękować *El Señor* za to, że przysłał mnie do tego małego rajy w Greenwayu, rajy pełnego *angelitos*.

– Amen! – powiedział Batiste. – Zawsze powtarzam tym grzesznikom, że powinniśmy się modlić przed każdym posiłkiem.

Robbie połaskotał Ulyssesa pod brodą. Chłopiec promieniał jak świeżo wypolerowany cent.

– Skoro już podziękowaliśmy, zjem jeszcze więcej!

Rozległy się śmiechy i dałem mu drugą dokładkę.

Rozdział 23

Historia pana Appletona

DZIEŃ 10

NIKO I JOSIE GŁOWILI SIĘ CO ZROBIĄ Z MALUCHAMI PODCZAS NASZEgo spotkania z dorosłymi.

– Nie chcę tego przegapić – stwierdziła stanowczo Josie.

– Rozumiem, ale nie wydaje mi się, żeby Sahalia była golowa zając się dziećmi.

Sahalia stała pod ścianą naburmuszona i patrzyła z nienawiścią na Braydena.

Niko spojrzał na mnie.

– Mowy nie ma – powiedziałem.

– No ale ktoś musi się nimi zająć!

– Mam pomysł – mruknąłem. Podeszedłem do maluchów. – Słuchajcie, dzieciaki. Mam problem i potrzebuję waszej pomocy. Musimy się teraz spotkać z tymi panami, żeby omówić różne ważne sprawy. Ale Lunie bardzo przydałaby się kąpiel. Czy któreś z was umie może wykąpać psa?

Rączki Caroline i Henry’ego wystrzeliły w górę jak strzały.

– My! My! My! – krzyknęli zgodnym chórkim.

– Ja też! – krzyczała Chloe. – Moja babcia ma berneńczyka i umiem go wykąpać zupełnie sama!

– Świetnie! – ucieszyłem się. – W takim razie mamy troje ekspertów. Musicie pójść po wszystkie potrzebne rzeczy i je tu przynieść. Umyć psa, potem go wysuszyć i wyczesać.

– A potem zrobimy jej posłanie i damy jeść! – zakrzyknął Max.

– I będziemy jej śpiewać do snu! – dodała Caroline.

Josie patrzyła na mnie i kiwała głową.

– Nieźle, Dean – powiedziała. – Jestem pod wrażeniem

– Zaczniemy nasze spotkanie – zwrócił się Niko do mężczyzn.

Pan Appleton i Robbie spotkali się z nami w salonie. Robbie jęknął, gdy rozsiadał się na jednej z kanap. Poklepał się po brzuchu.

– Jestem taki szczęśliwy – powiedział, uśmiechając się do nas. – Bogu dziękuję, że nas do was przyprowadził.

Pan Appleton wybrał krzesło przy biurku. Chorą nogę położył na blacie. Próbowałem zignorować smród.

– Co chcielibyście wiedzieć? – spytał.

– Może mógłby pan zacząć od początku – powiedział Niko. – Jesteśmy tu od gradobicia, więc każda informacja o tym, co się dzieje na zewnątrz, będzie się liczyć.

– Dobrze. – Zastanawiał się chwilę, nim zaczął: – Jak się domyślacie, grad spowodował poważne utrudnienia. Panika wybuchła, gdy padła Sieć i nie można było się dodzwonić na pogotowie. Jednak dopiero wieści o katastrofie na Wschodnim Wybrzeżu doprowadziły do czegoś, co określiłbym mianem chaosu. Wielu ludzi zebrało się w siedzibie weteranów, żeby oglądać wiadomości na starym telewizorze. Był to czas żałoby i panowała godna pochwały atmosfera żołnierskiej wspólnoty.

Z dumą mogę powiedzieć, że w naszym mieście nie doszło do szabrowania ani zamieszek. W tych sklepach, w których nie zamknęły się automatycznie bramy, ludzie ustawiali się w kolejkach i nabywali niezbędne produkty. Z

tę, co słyszałem, mieszkańcy Colorado Springs nie wykazali się podobną przyzwoitością. Następnego ranka ruszyłem do sklepu z narzędziami. Mój land cruiser stał w garażu, więc nie odniósł żadnych szkód podczas gradobicia, czego nie można powiedzieć o większości samochodów w mieście. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że sklep jest zamknięty. Przed wejściem stało kilku pracowników, którzy nie byli pewni, czy będzie w ogóle otwarty. Pracownicy i nieliczni klienci byli dezorientowani i zniechęceni. Wtedy zaczęło się trzęsienie ziemi. Ludzie się przewracali i trafiały ich różne odłamki. Zawaliła się część dachu sklepu i roztrzaskały okna. Wśród osób zebranych przed sklepem było teraz kilkoro rannych. Wywiązała się dyskusja wśród tych, którzy nie odnieśli ran, jak najlepiej zająć się poszkodowanymi. Przeszedłem szkolenie w zakresie pierwszej pomocy, więc przez mniej więcej godzinę wydawałem polecenia i nadzorowałem opiekę nad rannymi. Wszedłem do sklepu i znalazłem apteczkę. Uznałem też, że należy przesunąć rannych dalej od budynku na wypadek dalszych wstrząsów, które mogłyby spowodować więcej zniszczeń. Właśnie wtedy zaobserwowałem zmianę w powietrzu. Ujrzałem czarny słup unoszący się na niebie w okolicy Colorado Springs. W ciągu kilku minut ludzie wokół mnie jakby oszaleli. – Pan Appleton urwał, by otrzeć pot z czoła. Wpatrywał się przed siebie, jakby oglądał film z wydarzeń, o których nam opowiadał. – Pomagałem młodemu pracownikowi sklepu przenieść inną pracownicę, która miała złamaną nogę. Była ona dość ciężka. Afroamerykanka. Ważyła około pięćdziesięciu, może stu pięćdziesięciu kilogramów. Gdy niesliśmy ją przez parking, powietrze jakby zmieniło kolor. Wszystko stało się zielone, na skórze kobiety pojawiły się bąble. Najpierw małe, potem większe, zaczęły pękać. Wrzeszczała i wiała się. Musieliśmy ją położyć, także z powodu krwi, która lała się z ran, przez co ranna wyslizgiwała nam się z rąk. Ledwie zdążyłem uświadomić sobie, że kobieta nie żyje, gdy mężczyzna, który pomagał mi ją nieść, zawył i mnie

zaatakował. – Pan Appleton kołysał się teraz lekko. Ten nieznaczny ruch był jak metronom i jego opowieść płynęła w takim samym równym rytmie. – Przez chwilę z nim walczyłem, ale pewnie poważnie by mnie poturbował, gdyby nie to, że jego z kolei zaatakowała inna osoba. Staruszek, który wcześniej mówił mi, że przyjechał kupić drucianą siatkę na ogrodzenie. Patrzyłem, jak walczą na śmierć i życie. Wygrał młody człowiek. – Nagle pan Appleton znów wrócił do terażniejszości. – Czy na pewno chcecie, żeby młodsze dzieci też tego słuchały? – spytał Nika, wskazując głową Aleksa i Sahalię.

Sahalia się nadęła.

– Tak – zapewnił Niko. – Są już duzi. Mają te same prawa i przywileje co licealiści.

Pan Appleton wrócił do swojej opowieści:

– Światło było coraz bardziej przyćmione, aż w końcu zrobiło się ciemno jak w nocy. Wokół rozlegały się naprawdę straszne dźwięki. Słyszałem wrzaski szaleńców i krzyki mordowanych oraz bulgoczące odgłosy, które, jak przypuszczam, wydawały osoby krztuszące się własną krwią. Naciągnąłem sweter na twarz i ruszyłem do samochodu. Wsiadłem, nie zapalałem świateł. Włączyłem radio i usłyszałem informacje, które wyjaśniły mi, co się dzieje. Próbowałem wrócić do domu. Autostrady były zakorkowane i staliśmy w miejscu. Wokół widziałem w autach ludzi pokrywających się bąblami i umierających. W innych ludzie atakowali się nawzajem. Czasami pochwytываłem spojrzenia tych, którzy zdawali się równie przytomni i przerażeni jak ja. Byłem pewien, że jeśli spróbuję wrócić do domu piechotą, zostanę zaatakowany, więc staranowałem barierkę i zjechałem z autostrady. Jazda była utrudniona ze względu na grad, ale mój land cruiser ma napęd na cztery koła. Kiedy znalazłem się blisko domu, zobaczyłem, że stoi w ogniu. Płonęło całe miasteczko Woodmoor. Ogień

rozprzestrzeniał się szybko. Wśród płonących budynków biegali krzyczący ludzie. Postanowiłem nawet nie próbować dostać się do domu, tylko schronić się w jednej z moich szkół.

– Jak to w jednej z pana szkół? – spytał Niko.

Wszyscy utkwili wzrok w panu Appletonie.

– Cóż – powiedział – jestem kuratorem oświaty hrabstwa El Paso.

Sahalia jęknęła głucho, co mnie tak rozbawiło, że wybuchnąłem śmiechem.

Wszyscy zachichotali, nawet pan Appleton.

– Przykro mi – powiedział. – Taka jest prawda.

Dalej opowiedział nam w ten wyważony, oszczędny sposób, jak spotkał Robbiego w szkole Lewis Palmer. Robbie powiedział mu, że była u niego pani Wooly i chciała autobus, żeby zabrać do domu grupę dzieci, które chwilowo zostawili w Greenwayu (to my).

– Byłem w szkole podczas gradobicia – wtrącił Robbie. – Ja i kilkoro nauczycieli. Poszli sobie, gdy przestał padać grad, ale ja zostałem. Wtedy przyszła pani Wooly. Powiedziała nam, że jesteście bezpieczni.

– Wszystko z nią w porządku? – spytał Niko. – Gdzie teraz jest?

– Nie jestem pewien.

– Jak to nie jest pan pewien? – zapytała Josie.

Robbie wyglądał na stropionego.

– Próbowaliśmy uspokoić ludzi, bo przyszło kilkoro rodziców, szukali swoich dzieci.

– Którzy to byli rodzice? – przerwał mu Alex. – Czy pani Wooly powiedziała im, że tu jesteśmy? Zna pan nazwiska tych rodziców?

– No, nie. Bo...

– Było nas tam niewielu – przejął opowieść pan Appleton. – Zebraliśmy się razem, żeby wymienić się informacjami i rozeznać w sytuacji.

Próbowaliśmy też stworzyć bezpieczną strefę, do której wszyscy mogliby przyprować swoje rodziny. Zostaliśmy jednak zaatakowani.

– Przez kogo? – spytał Jake.

– Przez ludzi z grupą krwi 0 – szepnął Niko.

Pan Appleton pokiwał głową.

– Wszyscy zginęli.

To było jak silny cios w brzuch.

– Pani Wooly? – spytał Niko.

– Nie wiem na pewno – mówił pan Appleton. – Panował kompletny chaos.

– Wydaje mi się, że uciekła – odezwał się Robbie.

– Ale gdyby uciekła, toby po nas przyszła – powiedział Alex.

– Więc jak teraz wygląda sytuacja na zewnątrz? – przerwał te dywagacje Niko.

Umilkliśmy, gotowi słuchać.

Pan Appleton napił się wody z butelki. Był zielonkawy na twarzy i nie wyglądał najlepiej.

– Jest niebezpiecznie. Większość ludzi chowa się w domach. Ci, którym skończyła się woda lub żywność, wychodzą na poszukiwania. Grupa 0 szaleje po ulicach. Czają się w zakamarkach i atakują.

– Kilku kadetów z akademii skrzyknęło się w gang – dodał Robbie. – Napadają ludzi w domach, jeśli podejrzewają, że jest tam woda lub jedzenie.

– Podsumowując – rzekł pan Appleton – jesteście najszcześniejszymi dziećmi w całym Monumencie. Macie naprawdę wiele szczęścia, że siedzicie tu z zapasami jedzenia i wody na... kilka miesięcy?

– Lat – powiedział Alex. – Przeprowadziliśmy inwentaryzację. Szacuję, że możemy tu przebywać około dwudziestu do dwudziestu czterech miesięcy. Więszym problemem niż jedzenie i woda są dla nas świeże powietrze i

elektryczność.

Pan Appleton potarł ręką czoło. Pocił się.

– Niko – powiedział. – Pokazałbyś mi latryny? Chyba za szybko zjadłem.

Niko wstał i podał ramię panu Appletonowi.

Skierowali się w stronę Śmietniska.

– Przygotujcie posłania – zarządził na odchodnym Niko

– Tak jest, kapitanie – zakpił Brayden.

Robbie uśmiechnął się do Braydena.

– Strasznie z niego poważny facet, co? – spytał cicho.

– Nasz własny prywatny dyktator – odparł Brayden.

– To nie było miłe – zganiła go Josie.

– Chodź – powiedziałem do Aleksa. – Rozłóżmy łóżka.

Na tyłach działu motoryzacyjnego przygotowaliśmy posłania z dmuchanych materaców, prześcieradeł i koców. Dodaliśmy małą lampkę na baterie i latarki, żeby mogli się poruszać po ciemnym sklepie.

Niko i Brayden przyprowadzili ich kilka minut później.

Pan Appleton wyglądał trochę lepiej. Miał w ręku opakowanie antybiotyku.

– Dziękuję – powiedział. – Prześpię się teraz kilka godzin. I macie moje słowo, że jutro rano sobie pójdziemy.

– Tak – potwierdził Niko. – Taka była umowa.

Robbie pomógł panu Appletonowi położyć się na chybottliwym materacu.

– Muszę wam przyznać, dzieciaki – powiedział jeszcze pan Appleton, spoglądając na nas z dołu – że bardzo sobie tu wszystko sprytnie zorganizowałyście. Bardzo pomysłowo.

Hmmm. Jak zareagowaliśmy na tę pochwałę? Było ciemno. Jedyne światło dawała mała lampka, więc nie widziałem wszystkich, ale wydaje mi się, że Niko skrzyżował ręce na piersi.

Ci dwaj naprawdę mu się nie podobali.

Poczułem, że Alex, który stał tuż obok, prostuje się nieco. Widziałem, że ten komplement go ucieszył.

Alex naprawdę zasłużył na pochwałę. Pracował bardzo ciężko, żeby nasza mała kolonia mogła tak funkcjonować.

Brayden na pewno przewrócił oczami.

Ja poczułem się nieswojo.

Odniosłem wrażenie, że to taka pochwała, jaką mówi się dzieciom, gdy przychodzą dorośli i przejmują dowodzenie.

Robbie odwrócił się i ruszył za nami.

– A ty nie odpoczniesz? – zdziwił się pan Appleton.

– Ja? Eee tam. Wolę rzucić okiem na ten autobus – odpowiedział.

Rozdział 24

Autobusy i ich typy

DZIEŃ 10

GDY PODESZLIŚMY DD KUCHNI I AUTOBUSU, DZIECIAKI WYBIEGLY NAM na spotkanie ze szczęśliwą, puszystą Luną.

Po umyciu okazało się, że jest biała!

Robbie się roześmiał. Miał szczery, pogodny śmiech.

– Pojęcia nie miałem, że jesteś biała, *mi angelito!* – zawołał, pochylając się, żeby ją przytulić.

Wszystkie maluchy zaczęły mówić naraz, żeby opowiedzieć mu szczegółowo przebieg kąpieli.

Spojrzałem na kuchnię. Na środku części jadalnej w pizzerii stał dziecięcy basenik pełen brudnej wody. Wszędzie było nachlapane i wały się ręczniki i butelki po szamponie. Bałagan był straszny. Nieważne – grunt, że dzięki temu zyskaliśmy czas, żeby porozmawiać z mężczyznami.

Josie podeszła i stanęła przy mnie.

– Pomogę ci posprzątać – zaoferowała się.

– Dzięki – powiedziałem.

Robbie podszedł do autobusu, więc wszystkie dzieciaki, małe i duże, ruszyły za nim. Obchodził pojazd, przyglądając mu się uważnie i wciąż trzymając Lunę w ramionach. Potem odstawił ją na ziemię, położył się na

plecach i wślizgnął pod maskę autobusu.

– Oye, przyniósłby mi ktoś latarkę?

Małe nóżki popędziły natychmiast spełnić jego prośbę.

Okazało się, że nawet szkolne autobusy mają swoje odmiany, niemal jak grupy krwi. Ten, który przywiózł nas bezpiecznie do Greenwaya, należał do typu D.

Autobus licealistów był innego typu – C. To te, które mają silnik z przodu. Zwykłą maskę, a pod nią silnik. Można otworzyć maskę i pogrzebać w silniku, tak jak przy zwyczajnym osobowym aucie.

Typ D ma płaski przód.

Silnik znajduje się pod autobusem. To dlatego autobus pani Wooly tak dobrze zniósł gradobicie. I dlatego też mógłby dalej jeździć – grad nie uszkodził silnika.

Opony to była jednak zupełnie inna historia.

W sumie w autobusie było ich sześć. Dwie z przodu i cztery z tyłu – po dwie na każdej tylnej osi.

Jedna z przednich opon była przebita.

– Z tą nie będzie problemu – powiedział Robbie, pokazując oponę Nikowi.
– Załatamy ją raz–dwa. W dziale motoryzacyjnym są odpowiednie zestawy. Później będziemy mogli ją napompować.

Potem obszedł autobus i poświecił sobie latarką, żeby przyjrzeć się tylnym oponom.

– Ale ta w środku, widzisz? Zupełnie stopiona. Kiepsko.

Opona w środku rzeczywiście była zupełnie zniszczona

Miała wielką dziurę.

– Czy autobus może jeździć tylko na zewnętrznych oponach? – spytał Alex.

– Może. Na niewielką odległość – odpowiedział Robbie.

– Dziękuję, że rzucił pan na to okiem – powiedział Ni ko

– Spróbuję ją załatać – oświadczył Robbie. – Widziałem kiedyś takie szalone rozwiązanie w telewizji. Upchnęli do opony piłeczki tenisowe i użyli włókien laserowych.

– Niezłe! – mruknął Brayden.

– Powinniśmy doprowadzić ten autobus do ładu – ciągnął Robbie. – Trzeba zmienić olej, popracować nad silnikiem. Żeby na wszelki wypadek był na chodzie, gdyby coś.

– To naprawdę świetny pomysł – powiedział Alex.

– Ale to by pewnie potrwało więcej niż jeden dzień – zauważył krytycznie Niko. – Tak czy siak dziękujemy.

– Dzieciaki mogą mi pomóc.

– Niko, powinniśmy to zrobić – poparł Robbiego Brayden. – Na wszelki wypadek.

– Oczywiście, że możecie nad tym popracować – rzucił Niko. – Tylko wątpię, żebyście dali radę zrobić to w jeden dzień. A panowie wyruszają w drogę jutro rano. Tylko o to mi chodzi.

– Oj – jęknęła Chloe. – Ale ja nie chcę, żeby pan Robbie sobie poszedł. Niech w ogóle nas nie zostawia!

– Ja też nie chcę! – przyłączył się do niej Max i pozostałe dzieciaki zaczęły jęczeć.

Niko odwrócił się na pięcie i nas zostawił.

Spojrzałem na Robbiego, uśmiechniętego, mierzwiącego włosy maluchom, które się wokół niego zebrały.

Też nie sądziłem, żeby miał nastąpić koniec świata, gdyby Robbie został trochę dłużej niż jeden dzień.

Chwycił Chloe i Maksa i podniósł z podłogi. Zapiszczeni z radości.

Robbie wyznaczył Chloe na sekretarkę. Miała spisywać wszystkie

naprawy, jakie trzeba przeprowadzić. Zrobił przegląd całego pojazdu: wyklepać wgniecenia w dachu; wstawić nową przednią szybę; wymienić okna; naprawić fotele; usprawnić działanie silnika; zreperować opony.

Henry wpadł na pomysł, żeby narysować na autobusie pasy jak na wyścigowce, i Robbie kazał Chloe też wpisać to na listę.

Robbie znał się na dzieciach i wiedział, jak sobie z nimi radzić. Braydena i Aleksa posłał do działu motoryzacyjnego po różne części, a maluchom powiedział, że przede wszystkim trzeba teraz oczyścić miejsce pracy, czyli przestrzeń wokół autobusu. Dzieci zabrały się do roboty. Odpychały wózki i zmiatały szkło i gruz, które przeoczyliśmy wcześniej.

– Znam się na silnikach. Mam doświadczenie. Wie pan dlaczego, panie Robbie? – zagadnął go Max na swój pogodny sposób. – Bo mój tata pracuje czasem w dziupli.

– Co to jest dziupla? – spytała Chloe.

– To taki tajny klub, gdzie można rozkładać samochód na części. Strasznie fajny.

– Co w tym fajnego?

– To, że jest tajny i nikomu nie można o nim powiedzieć. A już na pewno nie policji, bo ich się nigdy nie wpuszcza do klubu. Zawsze strasznie zazdroścą. Gliniarze to by dali wszystko, żeby się dostać do dziupli.

Robbie podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się szeroko. Musiałem odpowiedzieć takim samym uśmiechem.

– I czasami samochody są naprawdę wypasione – ciągnął Max. – Bmw, lexusy, subaru...

– Och... – Batiste był pod wrażeniem.

– Nasza mama ma subaru! – pochwaliła się Caroline, a jej głosik drżał z dumy i przejęcia.

– To forseter! – dodał Henry.

– Fajnie – powiedział z uznaniem Max.

Były całkiem słodkie te nasze dzieciaki. Rozumiałem, dlaczego Robbie ciągle je przytula. Były zdecydowanie przytulaśnie. W każdym razie czasami.

Uznałem, że już czas, żebym się zabrał do szykowania obiadu.

Kiedy się obróciłem i ruszyłem do kuchni, zobaczyłem, że Sahalia siedzi na murku oddzielającym pizzerię od miejsca na wózki, gdzie stał autobus.

Z uporem obgryzała skórki przy paznokciach. Wyglądała naprawdę samotnie i żałośnie. Aż mi się jej żal zrobiło, ale nie jakoś bardzo, bo w ciągu ostatnich dni naprawdę było z nią skaranie boskie.

Robbie też zauważył Sahalię i podszedł do niej.

– Potrzebujemy każdej pary rąk do pomocy, jeśli mamy doprowadzić ten autobus do ładu – powiedział cicho.

– Na moje oko ma pan dość pomocników – mruknęła.

– Tak, ale to maluchy – szepnął Robbie. – Potrzebuję kogoś, kto by mi naprawdę pomógł. – Uśmiechnął się i poklepał ją po kolanie. – Kogoś dorosłego.

Czy Sahalia jest dorosła? Nie bardzo.

Ale Robbie wiedział, co powiedzieć.

Sahalia się uśmiechnęła. Zebrała włosy i upięła w kok.

– Dobra – powiedziała. – Proszę mi pokazać, co robić.

– Tak lepiej – pochwalił ją i uścisnął jej kolano.

Rozdział 25

Ręce

DZIEŃ 10

POZWOLIŁEM MAKSWI POMAGAĆ PRZY AUTOBUSIE, ZAMIAST ZMUSZAĆ go do odbębniwania dyżuru w kuchni.

Świetnie się bawili.

Robbie, Brayden i Sahalia pracowali nad oponami, a potem nad silnikiem, a tymczasem maluchy myły autobus nawilżanymi chusteczkami, co było dość absurdalne, ale urocze.

Robbie wyznaczył Aleksowi zadanie: miał obmyślić, co by mogło zastąpić przednią szybę i potłuczone okna. Alex wyruszył na poszukiwania plexiglasu. Było to idealne wyzwanie dla mojego brata.

Na obiad przygotowałem kanapki z tuńczykiem, a do tego groszek i marchewki. Uznałem, że Robbiemu i panu Appletonowi przyda się trochę białka z tuńczyka, a świeże (mrożone) warzywa to jedna z tych rzeczy, w których gustują wszyscy dorośli.

Pan Appleton jeszcze spał, więc nie pojawił się na obiedzie, co, prawdę powiedziawszy, przyczyniło się do tego, że wszyscy świetnie się bawili przy stole. Ten facet był naprawdę zrzędlivy.

A Niko przyszedł, zabrał swój talerz z jedzeniem i sobie poszedł, więc nie miał kto siedzieć, smucić się i wprowadzać niepokój.

Robbie namówił dzieciaki na granie w zgadywanki o zwierzętach.

– Co to za zwierzę? – pytała Chloe. – Jest czarne i białe i nosi smoking!

– Pingwin! – krzyknął Max. – Teraz ja. Co to za zwierzę? Jest brązowe i mieszka w lesie.

– Miś? – spytała Caroline.

– Wiewiórka? – zgadywał dalej Batiste.

– Ryczy i zjada ludzi! – odpowiedział Max.

– Miś! – upierała się Caroline.

– Nie! Lew! – obwieścił Max.

– Lwy nie mieszkają w lesie! – zaprotestował Batiste.

– A właśnie że tak!

– I nie są brązowe – dorzuciła Chloe. – Tylko żółte.

– Co to za zwierzę? – wyskoczył Ulysses, przerywając ich kłótnię. Teraz, gdy Robbie był z nami, Ulysses zyskał większą pewność siebie. – Co to za zwierzę... wygląda jak pies i...

Wybuchnęliśmy śmiechem.

Wszyscy byli w świetnej formie.

Przyszła Josie i usiadła ze mną i Alekssem.

– Co myślicie o tych z zewnątrz? – spytała cicho.

– Naprawdę lubię pana Robbiego – powiedział z zapalem Alex. – Zna się na silnikach. Pokażę mu potem moje wideo walkie-talkie.

– A ty, Dean? – zwróciła się do mnie.

– Bo ja wiem – mruknąłem. – Też lubię Robbiego. Znaczy, jego po prostu wszyscy lubią. Ale pan Appleton warzy nastrój.

Josie pokiwała głową, żując kanapkę.

– Wiecie, co mnie niepokoi? Że oni się nie podobają Nikowi.

Miło, że przynajmniej w ogóle zaczęła zauważać uczucia Nika. Bo dotąd raczej wcale ich nie rejestrowała.

– Boję się, jak to wpłynie na dzieci, jeśli wszyscy będzie my chcieli, żeby ci z zewnątrz zostali, a Niko się uprze, żeby sobie poszli...

Też już się nad tym zastanawiałem.

– Boże – jęknęła Josie, ziewając. – Czy to naprawdę dopiero pora obiadu? Czuję się, jakby ten dzień trwał już z milion lat.

– To dlatego, że tyle się wydarzyło – powiedział Alex z ustami pełnymi tuńczyka. – Cały nasz świat zmienił się w ciągu zaledwie kilku godzin.

Alex miał rację. Jak zawsze.

Po południu wszyscy pracowali przy autobusie z wyjątkiem Jake'a (haj), Nika (wściekłość), pana Appletona (sen) i Astrid (dezercja).

Robbie, Brayden i Sahalia sprawili, że silnik zaczął ładnie warczeć.

Robbie naprawdę dobrze się dogadywał z Sahalią. Wychodziło na to, że jeśli tylko traktuje się ją jak dorosłą, to zachowuje się bardzo dojrzałe.

Josie pomogła Aleksowi z szybami. Na przednią użyli plexiglasu, który Alex wyciągnął z wystawy w dziale RTV. Zamiast bocznych musieli w końcu użyć drewnianych półek z działu remontowego. Robbie pomógł im je przymocować w oknach autobusu.

Maluchom wyznaczono radosne zadanie polegające na wyciskaniu kleju epoksydowego w każdą szparę, dziurę czy rysę, która mogłaby wpuszczać powietrze do środka.

Josie i Alex tym samym klejem uszczelnili okna.

– Wygląda nieźle – usłyszałem głos Robbiego, który przeprowadzał właśnie inspekcję ich pracy pod koniec dnia. – Całkiem nieźle.

Wszedł do autobusu i przemaszerował między siedzeniami.

– Nie mogłem się oprzeć – odłożyłem łyżkę i poszedłem zobaczyć, jak im poszło.

– Spójrz, Dean – powiedział Alex, pokazując mi wnętrze pojazdu.

W środku było ciemno, bo większość okien zabili deskami.

Śmierdziało stęchlizną.

I w ogóle nie czułem się najlepiej, wchodząc znów do autobusu.

– Jest jeszcze trochę roboty – powiedział Robbie, wskazując na górę.

Widać było promienie światła przebijające się przez dziury w dachu.

– To możecie zrobić jutro sami – dodał. – Gdy już sobie pójdziemy...

– Nie – zaprotestował Alex. – Niko na pewno pozwoli wam zostać dłużej.

Na pewno. Teraz, gdy już zobaczył, jak jesteście pomocni. Prawda, Dean?

Wzruszyłem ramionami.

– Umowa to umowa – westchnął Robbie.

Atmosfera przy kolacji była zupełnie inna niż przy obiedzie.

Przyszedł pan Appleton i wyglądał znacznie lepiej po całym dniu spania.

– Niech pan zobaczy, co zrobiliśmy – zawołał Max, pod biegając do niego.

– Naprawiliśmy autobus!

– Rzeczywiście – stwierdził pan Appleton. – Świetna robota.

Podszedł do niego Robbie.

– Lepiej wyglądasz – powiedział.

Chloe przytuliła się Robbiemu do boku. A on potargał jej włosy.

Zauważyłem w oczach pana Appletona lekkie zdumienie.

– Dziękuję, Robbie – odezwał się. – Na pewno jestem zdrowszy, bo czuję, że mógłbym zjeść konia z kopytami!

Przewidziawszy to, przygotowałem osiem paczek mrożonego kurczaka z makaronem.

Pan Appleton poklepał Nika po ramieniu.

– Wydaje mi się, że z tym antybiotykiem trafiliśmy w dziesiątkę. Czuję się o wiele lepiej.

– Cieszę się – odparł Niko. – W takim razie będziecie panowie mogli spokojnie opuścić nas jutro rano.

– Oczywiście. Jeśli pożyczysz mi budzik, żebym wstał o jakiejś rozsądnej

porze, wtedy natychmiast ruszamy.

Cały radosny harmider przy stole ustał w jednej chwili.

– Co jest? – spytała Chloe. – Umarł ktoś? Co wszyscy tak nagle przestali gadać?

– Niko zmusza Robbiego i pana Appletona do wyjścia jutro rano – obwieściła Sahalia.

– Neeee! – zawyła połowa dzieciaków.

Druga połowa krzyczała:

– Musisz pozwolić im zostać!

– Umówiliśmy się! – ryknął Niko, ale hałas był okropny.

Ulysses płakał i nawijał po hiszpańsku. Robbie wziął go na kolana. Po policzkach chłopca ciekły wielkie łzy, wtulił się w ramię mężczyzny.

– Zawarliśmy z tymi panami umowę. Obiecali, że zostaną tylko jeden dzień – powtórzył Niko.

– Dzieci, bardzo proszę – próbował Appleton. – Zachowujmy się rozsądnie...

– Nienawidzę cię! – wydarła się Chloe na Nika. – Dlaczego nie wybraliśmy Jake'a na naszego prezydenta?! Jemu by nie zależało. Pozwoliłby im zostać.

Niko odwrócił się do Josie.

– Może trochę mi pomożecie, co? – syknął na mnie i na nią.

Ale przemówienie dzieciakom do rozsądku, gdy były w hysterii, przekraczało nasze możliwości.

– Przecież to nie ma sensu! – krzyknął Alex. – Powinni zostać, przynajmniej dopóki nie skończymy naprawiać autobusu i póki pan Appleton nie poczuje się lepiej.

W głębi duszy ucieszyłem się, że Alex tak się wkurzył na Nika, swojego bohatera.

Ale miał rację. Co nam szkodzi pozwolić im zostać kilka dni? Przecież byli niegroźni. Można im było ufać. Dlaczego nie mieliby zostać?

– Umówiliśmy się – powtarzał Niko.

– Jeśli każesz im sobie iść, pójdę z nimi! – ryknął Brayden

– Bez przesady – odezwał się pan Appleton, unosząc rękę.

– Ja też! – oświadczyła Sahalia. – Wolę ryzykować i wyjść na zewnątrz, niż zostać tu z wami, frajerzy!

To wywołało kolejne wrzaski i płacz dzieci, które chyba nie bardzo przejęły się tym, że się ich wyzywa od frajerów, tylko po prostu spanikowały na myśl o tym, że rozpada się ich nowa „rodzina”.

– Dzieci, proszę się uspokoić – warknął pan Appleton. – Cisza!

Maluchy próbowały opanować emocje, pociąganie nosem i czkawkę od płaczu.

– Taaa. Świetnie – syknął przez zęby Niko. – Jego najwyraźniej słuchacie.

Pan Appleton zwrócił się do Nika:

– Dałem ci słowo, że się wyniesiemy. Ale prawda jest taka, że... z moją nogą jest gorzej, niż myślałem. Robbie mógłby dokończyć naprawianie autobusu. Ja bym odpoczął... Gdybyśmy mogli zostać jeszcze dzień albo dwa...

Rozległo się natychmiast chóralne „prosimy” ze strony dzieci. Niko wymaszerował z kuchni.

Josie wstała.

– Bardzo proszę, żebyście się natychmiast uspokoiли – powiedziała do maluchów. – Porozmawiam z Nikiem i zobaczę, czy da się coś zrobić. Dean? – rzuciła.

– Już, już. – Wstałem i ruszyłem za nią.

– Idę z wami – powiedział Alex.

– Nie – mruknąłem. – Jesteś zbyt wzburzony. Nie byłbyś bezstronny.

Pokiwał głową i wbił wzrok w stół. Zawsze był bardzo dumny z tego, że zachowuje obiektywizm.

– Myślisz, że po prostu się boi, że straci swoją władzę? – spytała Josie, gdy szukaliśmy Nika.

– Może. Nie wiem. Jest taki zdyscyplinowany. Może naprawdę chodzi mu tylko o to, żeby nie łamać postanowień umowy, nawet jeśli wszystko przemawia za tym, żeby jednak zostali dłużej.

Nie znaleźliśmy Nika ani w magazynie, ani w salonie.

Przeszliśmy przez dział z ręcznikami.

Jake leżał w hamaku rozwieszonym między regałami.

– Hej, Jake, widziałeś może Nika? – spytałem.

– Neeee – odparł znudzony.

Miał cienie pod oczami. Jego jasne włosy były tak brudne, że zdawały się szare. Wyglądał jak własny gorszy brat bliźniak.

– O co to całe zamieszanie? – spytał.

– Wszyscy chcą, żeby ci z zewnątrz zostali, a Niko mówi, że powinni sobie pójść.

– Aha.

I tyle?

Nie miał żadnej opinii na ten temat?

Wyciągnął nogę i odepchnął się od półki, żeby hamak się bujał.

– Uważasz, że powinni zostać? – spytała Josie.

– A co za różnica? – wymamrotał. – I tak wszyscy zginiemy.

Spojrzał na nas.

Jego niebieskie oczy były ciemne jak nocne, burzowe niebo.

– Może Niko jest w Pociągu – powiedziałem i pociągnąłem za sobą Josie.

Popędziliśmy.

Josie weszła do środka.

– Zapukam do niego – powiedziała.

Chwilę później usłyszałem:

– Dean, możesz tu przyjść?

Otworzyłem drzwi sypialni Niko. Josie stała w środku i rozglądała się zafascynowana.

W sypialni Nika wisiał hamak, tak jak w mojej.

Był to jedyny tu przedmiot – poza rysunkami.

Całe trzy ściany były nimi zapełnione.

Każdy rysunek i szkic przyczepiony był starannie pinezkami do ściany. Były to najróżniejsze kawałki papieru. Niektóre formatu A3, a niektóre małe jak karteczki samoprzylepne. Między nimi widać było cienki pasek pomarańczowej ściany przymierzalni. Cała sypialnia wydawała się niezwykle schludna i uporządkowana, a zarazem piękna i szalona. Zupełnie mi się to nie mieściło w głowie.

No bo kto z nas zdołałby mieć jakiegokolwiek tajemnice przed pozostałymi?

Przecież cały czas byliśmy razem.

Ten facet, nasz przywódca, zdołał jednak utrzymać w tajemnicy swoje rysunki. Jakim cudem? W sumie to nieraz nawet widziałem, że coś bazgrze na papierze z podkładką, i chyba po prostu założyłem, że sporządza jakąś listę czy coś.

Spojrzałem uważniej na rysunki. Na jednej ścianie wisiały ręce. Mnóstwo rąk. Niektóre narysował węglem, inne flamastrem. Niektóre zwykłym długopisem.

Na innych ścianach rysunki były bardziej zróżnicowane.

Jeden przedstawiał Henry’ego i Caroline, jak patrzą w książkę. Na innym byłem ja – gotujący. Z mojej miny należało wnioskować, że właśnie mi się coś przypaliło. Wyglądałem na wyższego, niż się czułem. Był też rysunek autobusu, zepsutego, przechylonego na dwóch przebitych oponach przy

wejściu do sklepu. Był też piękny, namalowany pastelami portret Josie. Wyglądała promiennie, jej brązowa skóra oddana była w odcieniach czekoladowych i mokka.

– Widziałas ten? – spytałem, wskazując jej portret.

Pokiwała głową.

– Piękny – powiedziałem.

Był szkic chmury atramentu zalewającej niebo. Rysunek naszego kręgu ku pamięci poległych podczas ceremonii, którą zorganizowaliśmy, gdy ocknęła się Josie. I naprawdę dobry szkic Luny, który musiał przecież zrobić w ciągu ostatnich dwunastu godzin...

Josie stała plecami do mnie. Wpatrywała się w ścianę z rysunkami rąk.

Były tam bardzo różne dłonie. Różnych ludzi. W prawym dolnym rogu każda miała podpis. Staranne pismo Nika. Drukowane litery. Tata. Dziadek. Tim. Pani Miccio. Zobaczyłem małą pulchną łapkę Chloe. I wielgachną łapkę Jake'a.

Josie patrzyła na rysunek na środku ściany. Po policzkach ciekły jej łzy.

Wiedziałem, czyje to ręce, nawet nim przeczytałem podpis. Dłonie były otwarte, jakby kogoś zapraszały albo może przywoływały. Zdawały się miękkie, narysowane delikatnymi kreskami i wycieniowane węglem. Palce były długie, cienkie i zwężające się na opuszkach. Widać było obrączkę i pierścionek zaręczynowy na serdecznym palcu, ale bez kamienia, bo dłonie były pokazane od środka.

Były to dłonie matki Nika.

Czasami, gdy się tego najmniej spodziewasz, rozpacz zupełnie cię powala.

I tak było ze mną, gdy zobaczyłem ten rysunek.

– Co wy tu robicie? – warknął Niko, stając w drzwiach,

– Och, Niko – zawołała Josie, odwracając się w jego stronę. – Twoje rysunki są takie piękne.

- I prywatnie – syknął. Dał nam znak ręką, żebyśmy wyszli.
- Przepraszam – powiedziałem. – Szukaliśmy cię.
- Wyjdźcie, proszę, z mojego pokoju! – burknął, podnosząc głos.

Przeszliśmy do salonu, a on za nami.

– Dzięki za to, że wyszedłem przez was na wroga publicznego numer jeden – dodał sarkastycznie. – Próbuję tylko dbać o nasze bezpieczeństwo, a teraz wszyscy mnie nienawidzą. Bardzo to było miłe z waszej strony.

Zacisnął szczęki. Widziałem, że mamy do czynienia z najgorszą wersją Nika – spięty, walczący o zasady dla zasady, sarkastyczny w obronie przed atakiem.

- Chcielibyśmy tylko cię zrozumieć – spróbowałem.
- Umówiliśmy się. Jeden dzień. Taka jest moja logika.
- Ale, Niko, Robbie jest naprawdę bardzo pomocny i dzieciaki go uwielbiają.
- Wiem. Ale nie wydaje się wam, że on tylko stara się wszystkim przypodobać, żebyśmy pozwolili im zostać?
- Przecież pan Appleton naprawdę potrzebuje więcej czasu, żeby dojść do siebie – zaproponowałem.
- Wiem! Słuchajcie, ten Robbie...
- Co z nim? – spytała Josie.
- Nie podoba mi się.
- Co masz na myśli? – spytałem. – Dlaczego?
- To, jak on... Nie wiem. Wszystkich stale dotyka. To jest jakieś dziwne.
- Bez przesady, Niko – rzuciłem.
- Widziałem, jak przytulał Sahalię. Szli po olej do silnika. Obejmował ją w pasie. Tak się nie robi.
- Niko, ona ma trzynaście lat – powiedziała Josie. – Przecież chyba nie myślisz, że...

– Już sam nie wiem, co myśleć! – wybuchnął. – Wszyscy uparli się przeforsować coś, a ja mam złe przeczucia.

Patrzył to na mnie, to na Josie.

– Wam on się nie wydaje podejrzany?

– Przykro mi, ale mnie nie – powiedziałem. – Pan Appleton jest beznadziejny, ale Robbiego wszyscy bardzo lubią. Jest przyjacielski. Miły. Pomaga nam naprawić autobus. Ulysses go uwielbia.

– Może pójdziemy na kompromis, Niko – zaproponowała Josie i po raz pierwszy usłyszałem ciepłą nutę w jej głosie, gdy się do niego zwracała. – Może pozwólmy im zostać dwa dni dłużej, co? W ten sposób Robbie zdąży naprawić autobus, a pan Appleton odpocznie.

Niko odwrócił się od niej.

– Więc mnie nie poprzecie? – spytał.

– Niko, to tylko dwa dni. Myślę, że dzieciom przyda się spędzić trochę czasu z dorosłymi. A Brayden i Sahalia może w tym czasie pogodzą się z myślą, że przecież nie mogą pójść z nimi. Jestem pewna, że wszystkich uda mi się przekonać, ale potrzebuję trochę czasu...

Niko westchnął. Wzruszył ramionami.

– Dobra, Josie. Jeśli tego chcesz. Niech tak będzie.

Josie powiedziała wszystkim, że Robbie i pan Appleton mogą zostać dwa dni dłużej.

Robbie i Ulysses się uścisnęli.

Pan Appleton skinął głową i chyba nawet się uśmiechnął.

To była jedyna pozytywna reakcja z jego strony.

Tego wieczoru Robbie przejął zwykle należące do Josie obowiązki bajora.

Na podłodze w salonie dzieci zgromadziły się wokół niego, jakby był ogniskiem na biwaku.

Opowiadał im różne meksykańskie bajki o żółwiach, królikach, żabach i

wronach.

Nigdy nie widziałem bandy szczęśliwszych dzieciaków. Ani szczęśliwszego mężczyzny.

Byłem taki zadowolony, że Niko zmienił zdanie.

Rozdział 26

„Ewakulacja”

DZIEŃ 11

NASTĘPNEGO RANKA PO ŚNIADANIU (MOJĄ POMOCNICĄ MIAŁA BYĆ Chloe, ale powiedziała: „Rób, co chcesz, Dean, ale ja chcę się bawić z Robbiem!”) Josie i Alex oprowadzili Robbiego po sklepie. Małe dzieciaki poszły z nimi, świecąc latarkami na wszystkie strony.

Stawiałem właśnie obiad na stole, gdy do kuchni wtoczył się Jake. Padł na jedną z kanap.

Prezentował się jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia, jeśli to w ogóle możliwe.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Dean. Chłopie. Jest kawa?

– Jasne. Ze śmietanką i cukrem, tak?

Pokiwał głową, która zwisała mu nad stołem i jakoś dziwnie drżała. Dotarło do mnie, że Jake płacze.

Położyłem mu rękę na ramieniu, gdy stawiałem kawę na blacie.

– Będzie dobrze – powiedziałem.

– Nie będzie. Już nigdy nie będzie.

Stałem i nie ruszałem się. Czuję, że jeśli usiądę, przestanie mówić.

– Stale biorę te pigułki. Ale za każdym razem działają coraz słabiej.

Zupełnie jakbym wycisnął z mózgu wszystkie pozytywne myśli i nic mi nie zostało. Wszystko wyszło i to już koniec.

– Jake, po prostu musisz odstawić pigułki.

– Wiem. Wiem – wymamrotał. – Dziś rzucam.

Wstał, gdy przyszła Sahalia.

Ubrana była w legginsy, top i jakiś rodzaj blezera.

– Widzieliście może Robbiego? – spytała.

– Jest z Josie, Aleksem i maluchami – poinformowałem ją. – Pokazują mi sklep.

– Fajnie – ucieszyła się. – Na ra!

Robbie był prawdziwą gwiazdą. To nie ulegało wątpliwości.

Gdy rozkładałem jedzenie, wszedł pan Appleton. Wyglądał dużo lepiej.

– Mniem – mlasnął, patrząc na parującego pomarańczowego kurczaka, którego wykładałem do misek. – Chińszczyzna?

– Tak – odpowiedziałem. – Kurczak i ryż po chińsku.

– Widziałeś Nika? – spytał pan Appleton. – Chciałbym się zacząć pakować.

To było dziwne. Zakładałem, że pan Appleton też będzie chciał zostać, tak jak Robbie.

– OBIAD! – ryknąłem.

Pan Appleton podskoczył.

– Przepraszam – powiedziałem. I znów ryknąłem: OBIAD! Kto głodny, niech przychodzi!

Usłyszałem tupot głodnej hordy biegnącej w stronę kuchni

– Czuje się pan na siłach, żeby już ruszać? – spytałem pana Appletona, gdy rozkładałem miseczki, widelce i serwetki.

– Nie chcę łamać naszych ustaleń – odparł. – Poza tym chyba już po prostu chciałbym iść.

– Dlaczego?

– Musimy zwołać jeszcze jedno spotkanie. Żebym mógł wam opowiedzieć o Denver.

Nadbiegły dzieciaki.

– Mniam! Chińszczyzna! – zawołał Max.

– Uwielbiam chińszczyznę! – szczebiotała Caroline.

– Co o Denver? – spytałem pana Appletona.

Przyszedł Niko. Skrzyżował ręce na piersi i stanął za Batiste'em w kolejce.

– Niko – zwrócił się do niego pan Appleton. – Chciałbym porozmawiać z tobą o naszych planach na podróż.

– Tak? – zdziwił się Niko. – W porządku. Jasne.

– I uświadomiłem też sobie, że nie powiedziałem wam jeszcze o Denver.

– O co chodzi z tym Denver? – zapytałem znowu, zaganiając Ulyssesa i Maksa do stołu.

– Co tam? – spytał Robbie, nadchodząc spokojnym krokiem.

– Przeprowadzają tam ewakuację – powiedział pan Appleton do mnie i do Nika. – Gdybyście zdołali jakoś dotrzeć do międzynarodowego lotniska w Denver, ewakuowano by was.

– Co to znaczy „ewakuacja”? – wtrąciła się Chloe.

Teraz już większość dzieciaków siedziała nad miseczkami. Pan Appleton odwrócił się do nich. Zupełnie jakby miał prowadzić lekcję w pizzerii. Dziwne uczucie.

– Otóż, dzieci – przemówił. – Kiedy dochodzi do kryzysu w danym regionie, rząd ewakuuje mieszkające tam osoby. Ewakuacja to przetransportowanie dużych grup ludzi w bezpieczne miejsce.

– Nie rozumiem – pożałował się Batiste.

– Wiele osób z okolicy jedzie na lotnisko w Denver – wyjaśniał pan Appleton. – Podobno rząd zabiera ludzi helikopterami i zawozi na Alaskę.

Caroline podniosła rękę.

– Moją mamę też? – spytała. – Czy mama może już być w Denver? I lecieć helikopterem?

– Niewykluczone – odpowiedział pan Appleton.

Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz, wrzeszczeć, kłócić się.

Denver, Denver, Denver. Musimy jechać do Denver. Możemy przecież pojechać autobusem. Już, zaraz, dzisiaj.

Niko tylko kręcił głową. Od razu wiedział, jaki chaos wywołała ta informacja.

– Spokojnie, spokojnie! – Pan Appleton uniósł rękę. Dzieciaki posłusznie zamilkły, jeśli nie liczyć czkawki Henry’ego.

Nie da się zorganizować przejazdu do Denver dla was wszystkich. To wykluczone. Na zewnątrz jest zbyt niebezpiecznie.

– Ale my chcemy znaleźć mamusię! – łkała Caroline.

Jej piegowata buźka była taka smutna. Aż się chciało natychmiast ją przytulić.

– Rozumiem, Caroline – powiedział pan Appleton. – Właśnie dlatego jedziemy tam z panem Robbiem. Zostaniemy przetransportowani na Alaskę i znajdziemy waszych rodziców, żeby im powiedzieć, gdzie jesteście. Dzięki temu będą mogli po was przyjechać.

Maluchy zaczęły się uśmiechać. Klaskały i ocierały łzy.

Niko też się uśmiechał.

Nigdy jeszcze nie widziałem go tak zadowolonego i rozumiałem, skąd ta radość – tamci sobie pojedą, a on już nie musi ich do tego zmuszać. Nie będzie już wrogiem wszystkich dzieci. A do tego pojawił się wreszcie promyk nadziei, że zostaniemy uratowani.

Nadzieja. Pan Appleton naprawdę dał nam promyk nadziei

Wszyscy zaczęli mówić z wielkim przejęciem. Niko, Alex i pan Appleton

omawiali, jakie zapasy będą potrzebne mężczyznom na wyprawę.

Tylko jedna osoba wyglądała na nieszczęśliwą – Robbie.

Widać było, że najchętniej zostałyby z nami.

Poszedł sobie wyraźnie rozczarowany.

Sahalia patrzyła za nim przez chwilę, a potem pobiegła w tym samym kierunku.

Pomyślałem sobie, że pewnie będzie błagała, żeby zabrał ją ze sobą.

Nie zastanawiałem się nad tym dłużej, bo pan Appleton powiedział:

– A teraz, dzieci, idźcie do swojej klasy i jeśli chcecie, napiszcie listy do rodziców, a my dostarczymy im je, gdy tylko ich odnajdziemy.

Wyrzucałem właśnie resztki, gdy przyszedł Alex. Miał w rękach małe pudełko z jakimiś elektronicznymi urządzeniami.

– Mogę ci coś pokazać? – spytał.

– Jasne.

Byłem szczęśliwy, że w ogóle chciał mi cokolwiek pokazywać. Naprawdę nie dogadywaliśmy się ostatnio.

Alex wyciągnął z pudełka dwa wideo walkie-talkie. Jedno miało bardzo długą antenę i dodatkowe kable. Było poklejone niebieską taśmą izolacyjną.

– To wideo walkie-talkie, ale dodałem mu antenę – wyjaśnił. – Sprawdzalem je już i wygląda na to, że w obrębie sklepu działa całkiem dobrze.

– Niezłe – pochwaliłem. – Chcesz używać tego jako czegoś w rodzaju domofonu?

– Nie. Pomyślałem, że pan Appleton mógłby to wziąć ze sobą. W ten sposób moglibyśmy zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Po raz kolejny jak zwykle powalił mnie geniusz mojego brata.

– To świetny pomysł, Alex. Genialny. Jestem pewien, że wszyscy to docenią.

Poszedł pokazać urządzenie Nikowi i panu Appletonowi.

Usiadłem, żeby napisać list do rodziców.

Próbowałem opisać, co się nam przydarzyło. Napisałem, że dbamy o siebie nawzajem i że zrobię wszystko, żeby zapewnić Aleksowi bezpieczeństwo.

Naprawdę musiałem się bardziej starać być dobrym bratem.

Ale trudno dbać o kogoś, kto nie chce i właściwie nawet nie potrzebuje pomocy.

Chwilę później do kuchni przyszli pan Appleton, Robbie, Niko i Alex.

Widziałem, jak przedtem szli w kierunku regału z rowerami. Wybrali dwa porządne, dość drogie górale. Teraz, gdy ich wyprawa była tak ściśle powiązana z naszym marzeniem o odnalezieniu rodziców, chcieliśmy, żeby mieli wszystko, czego tylko mogą potrzebować. Gotowi byliśmy oddać im cały sklep. Byle tylko pomogli nam odzyskać rodziców.

– Dean, myślałeś już o tym, co możemy dać im do jedzenia? – spytał Niko.

Oczywiście, że myślałem.

Miałem cały wielki plastikowy pojemnik wypełniony na stępującymi dobrami:

2 pudełka batoników musli,

1 pudełko batonów proteinowych,

2 torby mieszanki studenckiej,

4 puszki ravioli,

4 puszki fasoli,

1 torba suszonej fasoli,

1 torba ryżu,

1 pudełko owsianki błyskawicznej,

2 słoiki kawy rozpuszczalnej,

1 pudełko mleka w proszku.

Przygotowałem też cztery pięciolitrowe butle wody i sześć litrowych gatorade'ow. Nie wiem, zdawało mi się, że więcej po prostu nie dadzą rady zabrać.

– Możecie wziąć tyle karmy dla psów, ile chcecie – dodałem.

Robbie wzruszył ramionami.

– Luna sama sobie radzi – powiedział. Wyglądał na przybitego. Wzrok wbił w ziemię.

Nie chciał nas opuszczać. To nie ulegało wątpliwości.

Pan Appleton zaczął przeglądać zawartość plastikowego pudła.

Podszedłem do Aleksa.

– Zabierają to walkie-talkie? – spytałem.

– No! Uznali, że to świetny pomysł. Pan Appleton powiedział nawet, że jestem bardzo pomysłowy.

Jego poważna twarz jaśniała dumą.

Położyłem mu rękę na ramieniu i przytuliłem go niezdarnie. Odtrącił mnie i podszedł do Nika.

Chyba znowu byli najlepszymi kumplami.

Starąłem się tym nie przejmować.

Pan Appleton podniósł pojemnik i wyglądało na to, że jego ciężar jest okej. Kiedy jednak przejrzał zawartość, wyrzucił ravioli.

– Macie suszoną wołowinę? – spytał.

– Jasne – powiedziałem i odwróciłem się, żeby ją przynieść.

– Pójdę z nim – zaoferował się Robbie.

Ruszyliśmy w stronę regału z przekąskami.

– Czuję, że mogę ci zaufać – powiedział Robbie, kładąc mi rękę na ramieniu. – Jestem w kropce i naprawdę nie wiem, co robić.

– Co się stało? – spytałem.

– Craig chce jechać od razu. Ale obawiam się, że nie ma dość sił na tę wyprawę.

– Niko powiedział, że mogą panowie zostać jeszcze co najmniej jeden dzień – powiedziałem.

– No właśnie! Ale Craig chce ruszać już dziś. Natychmiast. A ja nie wiem, czy da radę.

Dotarliśmy do wołowiny i Robbie przesunął dłoń po kilku paczkach.

– Wydaje mi się, że on się po prostu boi, że umrze. Chce dotrzeć do Denver, zanim to się stanie. – Obrócił się w moją stronę. – Naprawdę uważam, że im dłużej tu zostaniemy, tym lepiej. Oczywiście zależy mi też na tym, żeby dostarczyć wasze listy. Ale aż boję się pomyśleć, jakie mamy szanse na dotarcie tam, biorąc pod uwagę jego stan.

Trudno mi było się z nim nie zgodzić.

– Głupio mi, że tak to wyszło – bąkałem. – Ale nie wiem, co mógłbym na to poradzić. Prawdę powiedziawszy, nim do wiedzieliśmy się o Denver, większość z nas chciała, żeby pan został. Najlepiej na zawsze.

Może trochę się zagalopowałem. Przesadziłem, ale naprawdę było mi głupio. Kazać mu wychodzić na zewnątrz po tym wszystkim, co przeszedł, podczas gdy w sklepie było bezpiecznie i prawie wszyscy chcieli, żeby został, to było czyste okrucieństwo.

– Ale muszę też przyznać, że jeśli panowie dotrzecie na Alaskę i odnajdziecie naszych rodziców, będziecie dla nas prawdziwymi bohaterami.

Była to prawda.

Robbie westchnął.

– Rzeczywiście – mruknął. – Chciałbym wam pomóc.

Kiedy wróciliśmy, Niko już pomagał panu Appletonowi spakować dwa wielkie plecaki i dwie sakwy rowerowe. Na podłodze obok zobaczyłem dwie kuchenki turystyczne – takie, co to się składają tylko z puszki z paliwem i metalowej konstrukcji nad nią. Do tego dwa śpiwory termiczne – bardzo cienkie. Trochę zapalek i plastikowych torebek. Rakiety sygnalizacyjne, poncho, różne sprzęty turystyczne z działu sportowego.

Tuż przy ubraniach leżały walkie-talkie Aleksa. I najważniejsze – jedna z plastikowych toreb zawierała listę naszych imion i nazwisk oraz listy do rodziców.

Niko i pan Appleton metodycznie pakowali wszystko do plecaków.

– Panie Appleton, tak się zastanawiałem, to znaczy, nic by się przecież nie stało, gdybyście zostali panowie z nami jeszcze jakiś czas – spróbowałem wstawić się za Robbiem. – Wszyscy chcemy, żeby dotarli panowie do Denver z naszymi listami, ale może powinien pan jeszcze odczekać, aż się pan lepiej poczuje?

– Omówiłem to już z Nikiem – odparł sztywno.

– Nie wiemy, kiedy zaczęła się ewakuacja – odezwał się Niko. –Więc jeśli będą zwlekać, mogą ją zwyczajnie przegapić.

– Poza tym trafiliśmy z tym antybiotykiem i już się czuję o wiele lepiej – dodał pan Appleton.

Okej. To były całkiem rozsądne argumenty, ale dlaczego nie patrzył mi przy tym w oczy?

– Zjemy z wami kolację i ruszamy w drogę – powiedział.

Robbie patrzył na niego wyraźnie poirytowany, może nawet wściekły. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, uśmiechnął się do mnie niewyraźnie.

Rozdział 27

Wielkie pożegnanie

DZIEŃ 11

BATISTE I JA NAPRAWDĘ STANĘLIŚMY NA GŁOWIE. ŻEBY POŻEGNALNA kolacja była wyjątkowa.

Postanowiłem, że gdy goście już sobie pójda, pogadam z Nikiem, żeby Batiste stał się moim stałym pomocnikiem. Świetnie się znał na gotowaniu, a chyba już wszyscy mieli po dziurki w nosie posiłków, które serwowali inni moi pomocnicy (ostatnio na przykład Ulysses wybrał na obiad tylko to, co zawierało wisienki – tarty z wiśniami, placki z wiśniami, lody wiśniowe itp.).

Upiekliśmy ostatniego mrożonego kurczaka. Do tego Batiste przyrządził suflet kukurydziany z substytutu jajek, mrożonej kukurydzy i kilku innych produktów. Na deser zrobiliśmy aż trzy ciasta: biszkopt z czekoladowym lukrem, czekoladowe z polewą z pianek oraz różowe z waniliowym lukrem i po– sypką dla odmiany.

To był naprawdę smaczny posiłek. Wszyscy to potwierdzili, z wyjątkiem Jake’a, który zabrał swój talerz i zniknął, by zjeść w samotności, oraz Astrid, która nadal miała status zaginionej w akcji.

Pan Appleton i Niko najwyraźniej zjednoczyli siły. Siedzieli razem i omawiali szczegóły wyprawy. Alex przy nich się przysłuchiwał. Pewnie był szczęśliwy, że dopuszczono go do tak ważnych rozmów.

Po kolacji pan Appleton wygłosił mowę pożegnalną.

Wstał i dyskretnie otarł sobie czoło serwetką.

– Pragnę wam podziękować za przyjęcie i troskliwą opiekę – powiedział. – Jesteście najbystrzejszymi i najdzielniejszymi mi dziećmi, jakie miałem przyjemność poznać. Jestem dumny, że takie dzieci chodzą do jednej z moich szkół. – Znów otarł czoło. Dlaczego aż tak się pocił? W kuchni nie było za ciepło, Panował wręcz chłód jak w pozostałej części sklepu.

– Potraktujemy bardzo poważnie naszą misję odnalezienia waszych rodziców. Przekażemy im wieści od was.

Dzieci piszczały z radości.

– Mógłby pan powiedzieć mojej mamie, żeby powiedziała panu Mittens, że za nim tęsknię? – poprosiła mała Caroline,

– Oczywiście – zapewnił. Potem przymknął oczy. Wyciągnął rękę, żeby oprzeć się o blat.

Niko wstał. Na ten znak Alex rozdał wszystkim plastikowe kieliszki z musującym sokiem jabłkowym.

– Panie Appleton, panie Robbie, bardzo się cieszymy, że nas odwiedziliście. To prawdziwy zaszczyt móc was przygotować na wyprawę. Dziękujemy serdecznie za to, że zgodzili się panowie zawieźć nasze listy do rodziców. Zdrowie pana Appletona i pana Robbiego!

Wznieśliśmy toast naszym pseudoszampanem.

– Dobrze – powiedział pan Appleton. – Myślę, że czas w drogę.

Dzieci zaczęły marudzić.

– Nie kumam – nadeła się Chloe. – Przecież mogą panowie poczekać do rana. Nikt nie podróżuje nocą.

– To nie ma znaczenia – wyjaśnił jej pan Appleton. – Tam na zewnątrz cały czas jest noc.

– A nocą jest mniej ludzi, więc i mniejsze ryzyko, że natkniemy się na

kogoś niebezpiecznego – dodał ponuro Robbie.

Chloe się wzdrygnęła.

Ulysses siedział u Robbiego na kolanach. Robbie pocałował go w czubek głowy. Chłopiec wtulił się w niego i zarzucił mu ręce na szyję.

Dla Ulyssesa ten ich wyjazd będzie naprawdę do chrzaniu

– Chodźmy, Robbie – rzucił pan Appleton. – Już czas.

Wstał.

– Jeszcze raz dziękujemy – powiedział Niko.

– Cała przyjemność po naszej stronie – zapewnił pan Appleton. Miał dziwny kolor twarzy.

Miałem wrażenie, że mruży oczy, gdy wyciągnął rękę, żeby uścisnąć dłoń Nika. Zupełnie nie mógł jej znaleźć.

Znów sięgnął, żeby przytrzymać się blatu, ale tym razem nie udało mu się nawet na niego trafić.

Powoli osunął się bokiem na podłogę.

Z Nikiem, Robbiem i Braydenem zanieśliśmy go z powrotem na jego posłanie.

– Wiedziałem, że jest za słaby – gderał Robbie. – Ma poczucie obowiązku wobec was, dzieci. Za wszelką cenę chce dostarczyć wasze listy.

Położyliśmy pana Appletona na posłaniu. Głowa opadła mu bezwładnie. Był nieprzytomny.

– Myślicie, że z tego wyjdzie? – spytałem.

– Niech ktoś skoczy po sole trzeźwiące – wydał polecenie Niko.

– Ja pójdę – zgłosił się na ochotnika Brayden i ruszył w stronę działu farmaceutycznego.

– Powinniśmy zawieźć go do szpitala – powiedział Niko. Odwrócił się do pana Appletona. – Panie Robbie, myśli pan, że dałby radę go przetransportować, gdybyśmy obmyślili jakiś rodzaj noszy? To dość blisko...

– Nie, nie, nie – zaprotestował Robbie. – Szpital jest zamknięty. Padł jako jedna z pierwszych instytucji. Setki ludzi próbowały się tam dostać. Zupełnie go zniszczyli.

Niko się zasepił. Widziałem, jak patrzy na Robbiego. Nie ufał mu.

–Uwierzcie mi, przysięgam na Boga, że to dla Craiga najlepsze miejsce. Tylko tu ma szansę przeżyć.

– Świetnie – mruknął Niko. Zacisnął dłonie w pięści.

Wrócił Brayden z solami trzeźwiącymi. Mała buteleczka z działu farmaceutycznego. Nigdy ich nawet nie zauważyłem.

Niko pewnym ruchem odkręcił butelkę i podsunął panu Appletonowi pod nos. Macha ręką, tak żeby zapach unosił się w jego stronę.

Pan Appleton odzyskał przytomność. Ale był oszołomiony.

– Mój pistolet – wyszeptał, chwycił Nika za koszulę, potem ryknął niczym bawół i zapadł z powrotem w sen.

– Pewnie to był dla niego za duży wysiłek – powiedział Niko w drodze do kuchni.

– Jest ranny i chory – stwierdziłem.

– Ludzie, przecież pół nogi mu zgniło – nie przebierał w słowach Brayden, jak to on.

– No nie wiem – mruknąłem. – Na moje oko wyglądał jak naćpany. Może przesadził z przeciwbólami.

– To też niewykluczone – zgodził się Niko. – Dałem mu całkiem sporo na drogę. – Zrobił głęboki wdech. – No to teraz już z nimi utknęliśmy – syknął przygnębiony.

– Nie przejmuj się tak, Niko – pocieszałem go. – Przecież Robbie nie jest taki zły.

Ustaliliśmy, że będziemy na zmianę czuwać przy panu Appletonie. Niko miał siedzieć przy nim od momentu, gdy wszyscy pójdą spać, do północy.

Robbie się uparł, że on weźmie następną zmianę. Ja zgłosiłem się na czuwanie od trzeciej do szóstej.

Gdy Niko powiedział maluchom, że dorośli zostaną jednak jeszcze kilka dni, nie posiadały się z radości.

Ulysses zaczął tańczyć break dance, co świetnie rozładowało napięcie.

Nawet Niko musiał się uśmiechnąć, gdy chłopiec podrygiwał i wyginał się jak robot. Ten pulchny dzieciak zadziwiająco dobrze się ruszał.

Rozdział 28

Wielkie pożegnanie.

Część druga

DZIEŃ 11

W SKLEPIE BYŁO ZUPEŁNIE CICHU I CIEMNO, GDY OBUDZIŁO NAS SZCZEKANIE Luny i wrzask Astrid:

– JAKE–NIKO–DEAN–BRAYDEN – CHODŹCIE –TU–
NATYCHMIAST!

Pomknęliśmy przez sklep, wyrwani raptownie ze snu, ale zupełnie rozbudzeni, gdy tylko nasze stopy dotknęły linoleum.

Biegliśmy w stronę, skąd dobiegał jej głos i padało nikłe światelko latarenki.

Wypadłem zza regału i zobaczyłem nadmuchiwany materac ze zmiętym prześcieradłem. A na nim Robbiego w samej bieliźnie. I Astrid.

Stała nad nim, trzymała w ręku pistolet i celowała w jego pierś.

Luna skakała obok i szczekała jak szalona.

Dopiero wtedy zobaczyłem Sahalię.

Płakała i była właściwie całkiem naga. Miała tylko stringi. Siedziała na podłodze i przyciskała do piersi nocną koszulę.

Sahalia i Robbie...

Sahalia i Robbie...

Sahalia i Robbie... co?

– Co jest, do cholery?! – ryknął Jake.

– Weź pistolet – poleciała mu Astrid.

Jake przejął od niej broń. Celował Robbiemu w brzuch.

– To za dużo, za dużo – szeptał i zarejestrowałem drży mu ręka.

– Co się stało? – spytał Niko.

– Nic! – krzyknął Robbie.

Sahalia łkała. Przyłgnęła rozpaczliwie do Astrid. A ta mruzczała uspokajająco, jednocześnie próbując jakoś przykryć dziewczynę i podnieść ją z podłogi.

– Już dobrze – mówiła. – Nic ci nie jest. Nic ci nie jest. Musisz tylko wstać.

Sahalia przyciskała koszulę do piersi, a Astrid próbowała przesunąć ją w kierunku Pociągu.

– Chłopaki – odezwał się Robbie. – To nie to, co myślicie. Leżałem tu sobie i spałem. Nagle się budzę, a ona jest na mnie. Powiedziała, że mam ją zabrać ze sobą i że będzie moją dziewczyną. Odpowiedziałem oczywiście, że nic z tego! – Uniósł ręce.

– Kłamiesz! – syknął Niko.

– Mówię prawdę – przekonywał Robbie. – Wiem, jak kiepsko to wygląda, ale naprawdę jej odmówiłem. Naprawdę. *Te lo juro!*

Luna wciąż szczekała i warczała.

– Chodź tu, Luna – zawołał ją Robbie.

Podrapał suczkę za uszami, głaskał, uspokajał.

Jakby to nas chciał uspokoić.

– To nieporozumienie – mówił do psa. – Te dzieciaki w życiu nikogo by

nie skrzywdziły. To tylko wielkie nieporozumienie.

Spojrzałem na chłopaków. Kupowali to? Czy ja to kupowałem?

– Ta dziewczyna jest zupełnie szurnięta – ciągnął Robbie. – Wciąż mi marudzi, jak to nikt jej tu nie traktuje poważnie... że niby jest dorosła. Chciała wam to udowodnić. I naprawdę próbowałem ją właśnie namówić, żeby włożyła z powrotem koszulę, gdy wyskoczyła na mnie ta druga wariatka z pistoletem.

– Cisza! – wrzasnął Niko. – Niech pan nie mówi nic więcej! Muszę zebrać myśli.

Robbie jednak dalej mruczał uspokajająco do Luny.

– Wy tu zostańcie i trzymajcie na muszce tego gościa – nakazał nam Niko, wskazując na mnie, Braydena i Jake'a, który nadal trzymał pistolet. – Celujcie w niego, choćby nic wiem co wygadywał. Ja porozmawiam z Sahalią. Dowiem się, co się naprawdę stało, i wtedy będziemy wiedzieli, co robić.

Popędził wzdłuż regału.

– O Boże – jęknął Jake. Ręka, w której trzymał pistolet, trzęsła mu się coraz bardziej. – Chyba zwymiotuję.

Pochylił się.

– Daj mi pistolet – syknął Brayden i ruszył w jego stronę.

Ale Robbie już po niego sięgał. Rzucił się na Jake'a.

Byłem za wolny. O kilka sekund za wolny.

Robbie wyrwał Jake'owi broń, gdy Brayden właśnie wyciągał po nią rękę.

– Nie! – ryknął Brayden. Sięgnął po pistolet i w całym tym zamieszaniu broń wypaliła z wielkim hukiem.

Brayden osunął się na ziemię ze zdumionym wyrazem twarzy.

– Brayden! – wrzasnąłem.

Jake rzucił się na Robbiego i próbował mu wyrwać pistolet.

Niko przygnał z powrotem i też skoczył na Robbiego. Trzymał go za kark i cała trójka potoczyła się po podłodze.

Robbie strzelił Jake'a z pięści i walnął Nika łokciem w głowę, a potem wyrwał Jake'owi pistolet.

Podbiegłem do Braydena. Spojrzał na mnie zszokowany.

Kiedy podniosłem wzrok, Robbie przykładał właśnie pistolet do głowy Nika.

– Odsunąć się! – wrzeszczał. – Zastrzele go! Zastrzele! Naprawdę!

Jake odskoczył z uniesionymi wysoko rękami.

Robbie klął po hiszpańsku i wstawał. Otarł krew z kącika ust.

– *Maldita sea!* Mówiłem wam, że jestem niewinny! To ona chciała być moją dziewczyną. Dlaczego mi nie uwierzyliście?

– Ty – warknął, odwracając się do Nika – od początku się mnie nie wiadomo czemu czepiałeś!

I rąbnął Nika w twarz lufą pistoletu. Niko upadł.

– Nie ty tu decydujesz, kto idzie, a kto zostaje! – darł się Robbie. – Kto żyje, a kto umiera!

Uniósł pistolet.

I BUM!

Huk był ogłuszający.

Robbie poleciał do tyłu, najpierw głowa, potem całe ciało. Rąbnął w regał i osunął się na podłogę.

Zastrzelony.

Josie trzymała drugi pistolet i wychodziła z cienia regału kawałek dalej.

Na podłodze przy jej nodze leżała plastikowa torebka, do której Niko zapakował pistolety.

Czy ten drugi cały czas leżał tam na ziemi?

Josie upuściła go na podłogę, otrzepała sobie ręce. Osunęła się na kolana,

ukryta twarz w dłoniach i zawyła.

Rozdział 29

Krew, mydliny i kłamstwa

DZIEŃ 11

NADBIEGŁY Z WRZASKIEM DZIECI, ŻEBY ZOBACZYĆ, CO SIE STAŁO.

Chwyciłem Maksa i Ulyssesa, żeby zaciągnąć ich z powrotem do Pociągu.

– Do Pociągu! – krzychałem. – Natychmiast! Biegiem!

Nie mogą zobaczyć, co się stało.

Darłem się na nich przez całą drogę.

Wepchnąłem ich do środka i zastawiłem drzwi jedną z kanap.

– Macie tam siedzieć, póki znów nie będzie bezpiecznie! – ryknąłem. –

Przyjdziemy po was.

Płakały w środku i waliły w drzwi.

Astrid i Sahalia siedziały skulone na drugiej kanapie w salonie.

Astrid śpiewała Sahalii.

Robbie nie żył. Brayden miał ranę postrzałową, a Astrid śpiewała Sahalii.

Czułem, że jeśli nie będę trzymał się faktów, to oszaleję. I takie były fakty.

Popędziłem z powrotem do przyjaciół.

– Jest źle, bardzo źle – powtarzał Jake.

To musiał być dla niego bardzo nieprzyjemny zjazd.

Josie łkała na kolanach. Pistolet leżał obok niej.

Niko rozłożył Braydena na podłodze i obiema rękami ciskał mu ramię. Krew była wszędzie. Na rękach Nika, na jego koszuli. Brayden był nią cały zalany.

– Próbuję zatrzymać krwotok, ale nie wiem, co robić – wysapał Niko, patrząc na mnie z paniką w oczach.

Popędziłem do działu farmaceutycznego.

Alex już tam był, próbował zabrać tyle bandaży, ile zdoła,

Było ciemno. Nic nie było widać w tych ciemnościach.

– Zanieś to Nikowi, a potem włącz światło, okej? – powiedziałem.

– Ale musimy oszczędzać! – zaprotestował.

– Potrzebujemy światła! – krzyknąłem. – Musimy przecież widzieć, co robimy.

– Dobra. – Przełknął z trudem ślinę i pognał wykonać moje polecenie.

Potrzebowałem czegoś, żeby powstrzymać krwotok. Wiedziałem, że coś takiego istnieje, bo kiedyś nasza sąsiadka spadła z drabiny i miała wielką ranę z tyłu głowy.

Facet z pogotowia posypał jej to jakimś proszkiem. Czymś na zatrzymanie krwotoku.

Przeskoczyłem przez ladę apteki. Ależ tu bałagan.

Co ten Jake tu wyprawiał? – pomyślałem.

Zamrugwały światła.

Zmrużyłem oczy.

Potem zacząłem przeglądać półki.

Chwyciłem przeciwbóle, którymi karmił mnie Jake. To na pewno pomoże Braydenowi.

Ale nie mogłem znaleźć niczego na krwotok. Nie znałem nazwy ani nic.

Chwyciłem jeszcze antybiotyk, który Niko dawał panu Appletonowi, i pobiegłem z powrotem.

W dobrym oświetleniu miejsce zbrodni wyglądało o wiele gorzej.

– Musimy zabrać stąd ciało! – niemal płakał Jake.

– Zabierzemy, Jake, zabierzemy – syknął Niko. – A teraz zamknij się wreszcie.

Robbiego odrzuciła siła strzału i teraz leżał rozwalony o półki.

Krew i strzępki tkanki (mózgu?) zbryzgały sterty ozdobnych pokrowców na kierownice, które leżały za nim.

Spod nóg wypływały mu powoli strumyki oleistej krwi.

Z bandażu, które przyniósł Alex, Niko zrobił kwadratowe opatrunki i z całej siły przyciskał je do ramienia Braydena.

– Nie mogłem znaleźć tego czegoś na krwotok – wysapałem.

– Chyba ustaje – powiedział Niko. – Wydaje mi się, że krwotok ustaje. Ale Brayden stracił mnóstwo krwi.

Wziąłem rannego za zdrową rękę i próbowałem znaleźć puls.

– Jest zimny – szepnąłem do Nika.

– Wiem.

– Gdzie jest Josie? – spytałem.

– Przyszła po nią Astrid i ją zabrała.

– Musimy coś zrobić z tym ciałem, chłopaki! – zawodził Jake. – Jest przerażające.

Niko spojrzał na mnie.

– Pozbędziesz się go? – spytał.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy? – upewniłem się.

– Alex zaraz wróci – powiedział Niko.

Odwróciłem się do Jake'a.

– Dobra. Zabiorę stąd ciało, ale musisz mi pomóc.

Teraz Jake już ryczał, łzy płynęły mu po policzkach.

– To moja wina, moja wina – jęczał.

– Przestań, Jake. Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie dam rady – wył.

– Oczywiście, że dasz. Po prostu... nie patrz na niego poleciałem.

Chwyciłem Robbiego za rękę.

Była zimna i ciężka. Jak glina. Ciało z gliny.

Ja trzymałem za jedną rękę, Jake za drugą.

– O Boże – jęczał.

Rzuciliśmy Robbiego na nadmuchiwany materac. Ciało wylądowało na nim z jakimś paskudnym, mokrym łoskotem. Wziąłem kołdrę, która leżała na podłodze, i zakryłem ciało.

– Chodź – powiedziałem do Jake'a. – Musimy teraz ciągnąć.

Zaciągnęliśmy materac do magazynu. Zostawały po nim upiorne ślady – dwie równoległe smugi krwi. Jakby materac był płaskim pędzlem malującym podłogę na strażacką czerwień.

Jake miał we krwi całe ręce i brzuch. Wyglądaliśmy, jakbyśmy właśnie zarżnęli krowę.

– Boję się – powiedział Jake.

– Wiem.

– Nie chcę, żeby Brayden umarł. – Znow zaczął łkać. – Chryste! Muszę się jakoś pozbierać.

Otarł łzy przedramieniem, które było całe we krwi.

Jake i Alex zostali wyznaczeni do posprzątania, a ja pomagałem Nikowi bandażować Braydena.

Rozciąliśmy mu koszulkę. Niko obmył ranę wacikiem z czymś pomarańczowym, a potem kazał mi przyciskać mocno opatrunek, gdy zabrał się do bandażowania ramienia.

Rana była obrzydliwa. Kula wyrwała kawał mięsa z ramienia. Ciało było poszarpane, jak surowe mięso. Widziałem białą kość i porwane mięśnie.

Usiłowałem nie zemdleć.

– Przyciskaj! – zakomenderował Niko.

Zamknąłem oczy i ucisnąłem mocniej.

Niko uważał, że lepiej nie ruszać Braydena, więc poszedłem po nadmuchiwany materac.

Z Nikiem, Jakiem i Alekssem podnieśliśmy Braydena tak ostrożnie, jak się dało, i położyliśmy na materacu.

Niko posłał Aleksa po koce termiczne i gatorade.

Potem dalej zajmował się rannym, podczas gdy ja pomagałem Aleksowi i Jake'owi dokończyć mycie podłogi.

Gdy skończyliśmy, mieliśmy osiem wielkich worów na śmieci pełnych nasiąkniętych krwią papierowych ręczników, brudnych nawilżanych chusteczek i pustych butelek po płynach do podłogi.

Po całych godzinach paskudnej, żmudnej roboty – takiej, której nikt nigdy nie chciałby wykonywać – Niko powiedział w końcu:

– Myślę, że jego stan jest stabilny.

– Na ile stabilny? – spytałem. Może już można by go umyć i przebrać. Póki co wyglądał zupełnie przerażająco.

– Na tyle, że teraz możemy pogadać z Sahalią.

Sahalia wciąż leżała z Astrid na jednej z kanap. Były wtulone w siebie, wyglądały jak podwójne S.

Nie spały. Obie wpatrywały się w przestrzeń szeroko otwartymi oczami.

Josie, zwinięta na fotelu, i też patrzyła przed siebie. Ktoś (pewnie Astrid) zarzucił jej koc na ramiona.

Z wnętrza Pociągu nie dobiegały żadne dźwięki, ale kanapa, którą zastawiłem drzwi, była odsunięta, więc uznałem, że w środku wszystko jest w porządku.

– Sahalio – powiedział Niko cicho, przyklękając przy kanapie. – Musimy

wiedzieć, co się stało.

Sahalia zamknęła oczy.

– No, Sasha – spróbował Jake. – Musimy wiedzieć.

– Nikt cię o nic nie obwinia – dodałem.

– Robbie kłamał – szepnął Niko. – Ale musimy wiedzieć, jak to było.

– Powiedział, że mnie ze sobą zabierze – wyszeptała Sahalia. – Mówił, że jesteśmy tacy sami i że będziemy się świetnie dogadywać. Myślałam, że będziemy drużyną. Ale wtedy... on... – Łzy płynęły jej po twarzy. Nie poruszyła się, żeby je otrzeć. – Powiedział, że mam być jego dziewczyną. I chyba zdawało mi się, że mogę być, że, wiecie, mogę robić wszystko, czego ode mnie chce. Ale potem nie chciałam i...

– Miałam na niego oko – odezwała się Astrid. – Nie ufałam mu. Sahalia powiedziała, że nie chce. Ale on nie przestawał. ..

Josie uczepliła się mojego rękawa, przepchnęła na środek naszej grupy.

– Czyli dobrze zrobiłam? To był zły człowiek. On był zły?

Oddychała płytko, oczy miała pełne łez.

– To był zły człowiek i nie miałam wyboru. Musiałam zrobić to, co zrobiłam. Tak?

– Tak.

– Oczywiście.

– Jasne – odpowiedzieliśmy, ale jakby nas nie słyszała.

Niko chwycił ją za rękę i patrzył jej prosto w oczy.

– Josie, Robbie był złym człowiekiem. Uratowałaś mi życie. Słusznie postąpiłaś – powiedział.

Josie zachwiała się, po czym nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Niko posadził ją na kanapie obok Astrid i Sahalii.

Astrid drugą ręką otoczyła Josie i teraz siedziała, tuląc do jednego boku Sahalię, a do drugiego Josie.

– Usłyszałam strzał, więc przybiegłam – powiedziała Josie.

Zrozumiałem, że czuje potrzebę opowiedzenia nam wszystkiego.

– Gdzieś w połowie regału leżała na podłodze torba, a obok pistolet. Podniosłam go. Nie zamierzałam do nikogo strzelać. Pomyślałam sobie tylko, że... przecież broń nie po winna tak leżeć na podłodze. – Otarła oczy. – Wcale nie chciałam go podnosić. Ale podniosłam. I wtedy zobaczyłam, że Robbie atakuje Nika. Nawet nie zdążyłam pomyśleć – szeptała. – Po prostu strzeliłam. To się wydawało takie naturalne. Jakby strzelanie do ludzi było czymś, co robię na co dzień.

– Postąpiłaś słusznie – zapewniłem.

– Bo on naprawdę by zrobił Nikowi krzywdę, prawda? Chciał go zastrzelić.

– Już uderzył mnie pistoletem – dodał Niko. – Myślę, że po chwili by mnie zastrzelił.

– Tak – wyszeptała Josie. – Postąpiłam słusznie. Naprawdę.

Zmusiła się do podniesienia głowy. Nagle spojrzała na nas zupełnie przytomnie.

Na Nika, Jake a, Aleksa. Na mnie. Na moją koszulę i ręce,

– Czy wy jesteście cali we krwi? – spytała. – Musicie się natychmiast umyć – zarządziła, z trudem wstając. – Co po myślą dzieci, gdy was zobaczą w tym stanie?

Rozdział 30

Pocałunek

DZIEŃ 11

MIMO CAŁEGO ZMĘCZENIA TYLKO SAHALIA, JAKE I ALEX ZDOLALI zasnąć.

Sahalia zwinęła się na kanapie.

Alex w fotelu.

Jake położył się na podłodze przy kanapie.

– Tylko na chwilę przymknę oczy. – I już po chwili głośno chrapał.

– Nie muszę spać – powiedziała Josie. – Posiedzę przy Braydenie i panu Appletonie, a wy się zdrzemnijcie.

Astrid wstała. Podeszła do drzwi Pociągu i drapiąc się po głowie, zajrzała do środka.

– Chcesz, to pokażę ci twoją kuszetkę – zaproponowałem.

– Pewnie już sam padasz na nos – powiedziała i spojrzała na mnie niepewnie.

– A co?

– Chyba mam wszy.

– Prawie na pewno – potwierdziłem i wyjaśniłem, że wszyscy mieliśmy i że Josie umyła nam włosy. – Mogę ci pomóc – zaoferowałem się.

– Ale na pewno nie jesteś zbyt zmęczony? – dopytywała się.

Jeszcze chwilę temu byłem wykończony, ale rozmowa z Astrid... Sama myśl o tym, że... że miałbym umyć jej włosy, całkiem mnie rozbudziła.

– Nie – zapewniłem ją. – Zawsze znajdę chwilę na odwszenie potrzebującego.

Uśmiechnęła się.

Poszliśmy więc na Śmietnisko. W dziale papierniczym Astrid weszła między regały.

– Co robisz? – zawołałem za nią.

Wróciła z nożyczkami w dłoni.

– Mam czterech braci – przypomniała mi. – Męczyłam się z wszami już trzy razy. Mowy nie ma, żeby dało się ich pozbyć przy takich długich włosach. Będziesz musiał mnie ostrzyc.

– Ale wiesz, że to nie wyjdzie zbyt pięknie?

– Byłabym zaskoczona, gdyby było inaczej – powiedziała.

I na dodatek uśmiechnęła się do mnie.

Był to właśnie ten uśmiech, który śnił mi się po nocach, odkąd zacząłem chodzić do liceum.

Nasz zestaw do mycia włosów wciąż rozłożony był na Śmietnisku, w komplecie – z ręcznikami i tak dalej.

– Tnij – powiedziała i usiadła na stołku.

– Boże, dopomóż – jęknąłem.

Wziąłem ręcznik i okryłem jej plecy.

Zacząłem ciachać. Złote pukle, które jeszcze niedawno miały nade mną taką moc, były teraz brudne i skołtunione. Wyglądały niemal jak dredy. Jeden z kołtunów był tak wielki, że nie wiedziałem, jak sobie z nim poradzić, aż w końcu wyciąłem go całego.

Astrid się wzdrygnęła.

– Dziwne uczucie? – spytałem.

– Nagła lekkość – powiedziała. – Moja głowa czuje się wolna.

Ciałem więc dalej, aż prawie nic z włosów nie zostało. Wyglądało to potwornie. W niektórych miejscach prześwitywały łyse placki, w innych sterczało trochę włosków. Jedne kępki były w miarę przycięte, inne za długie.

– Może powinienem je umyć, żeby wyglądały jakoś... lepiej... albo co – wybąkałem.

Roześmiała się.

Najbardziej elegancki sposób na umycie komuś głowy, jaki opracowała w końcu Josie pod koniec naszej walki z wszami, polegał na tym, że zestawiało się razem dwa stołki. Osoba myta musiała usiąść twarzą od miski, a myjący bliżej miski w poprzek stołka. Wtedy myty musiał się odchylić i położyć plecami na kolanach myjącego, który podkładał mu miskę pod głowę, a wyciągniętą ręką mył głowę szamponem i wodą z butelki.

Wyjaśniłem Astrid całą tę procedurę, więc usiadła tyłem do mnie i położyła mi się na kolanach.

I oto leżała. Taka piękna. Na moich kolanach. Oczy miała zamknięte i przez chwilę tylko na nią patrzyłem. Na jej brudną twarz. Na zaciśnięte usta. Spierzchnięte i różowe. Na zaczerwienione oczy. Na kości policzkowe. Na złote, miodowe rzęsy i brwi. Na brązowe, zaschnięte jakby piegi na brodzie, które w rzeczywistości mogły być kropelkami krwi.

Astrid Heyman. Próbowałem zapamiętać całe jej piękno.

– Dobra – powiedziała. – Jestem gotowa.

– Przepraszam, ale woda będzie trochę zimna – wybąkałem.

Chlusnąłem jej na głowę.

– Jest lodowata!

Wycisnąłem sobie na rękę trochę śmierdzącego niczym smoła szamponu i zacząłem wcierać. Masowałem i zataczałem palcami małe kółka na jej

brudnej głowie.

– Mmm... – westchnęła i z trudem się powstrzymałem, żeby się nie pochylić i nie pocałować jej w usta.

Strużka wody pociekła jej z czoła do oka. Wziąłem ręcznik i otarłem ostrożnie mokną powiekę.

Przy tym niechcący musnąłem kciukiem jej brwi. Niepojęte, jak doskonała wydawała się pod moim dotykiem.

Brayden właśnie został postrzelony, pan Appleton niemal umierał, a ja potrafiłem myśleć tylko o doskonałości jej brwi.

Spłukałem szampon.

Zadrżała i zauważyłem, że ma gęsią skórę na rękach.

Gdy już skończyłem płukać, wsunąłem ręce pod jej plecy, żeby pomóc jej usiąść.

Wytarła sobie głowę i dotknęła jej palcami.

– O Boże! – jęknęła. – Jestem całkiem łysa!

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Jej błękitne oczy lśniły.

Włosy zrobiły się puszyste i sterczały na wszystkie strony.

– Wyglądasz jak kurczak – przyznałem.

Kazała mi jeszcze trochę poprawić fryzurę. Obciąłem najdłuższe kosmyki.

W końcu wyglądała może nie jak kurczak, ale jak sierotka z powieści Charlesa Dickensa.

– Zimno – poskarżyła się, drżąc.

Przypomniało mi się, że przecież mam czapkę! Czasami rano w kuchni było naprawdę zimno, więc nabrałem zwyczaju wciskania jej do tylnej kieszeni spodni.

Była to niebiesko-pomarańczowa czapka narciarska.

– Dzięki – powiedziała i nałożyła ją na głowę.

–W dziale męskim jest chyba ze dwadzieścia rodzajów do wyboru – dodałem.

Nie chciałem, żeby czuła się w obowiązku ją nosić. A poza tym, jeśli ją zmieni, będę się czuł lepiej z myślą, że sam jej poddałem ten pomysł.

– Twoja mi się podoba – powiedziała.

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

– Pójdę zobaczyć, czy u reszty wszystko w porządku – wybąkałem.

– A ja się przebiorę – odparła. – Pewnie śmierdzą, co?

– No – przyznałem. – I masz beznadziejną fryzurę. Uśmiechnęła się do mnie. Tym promiennym, złotym uśmiechem. Uśmiechem–błyskiem w naszej ciemności. Uśmiechem –utraconym światem.

Już wcześniej przenieśliśmy Braydena bliżej pana Appletona, żeby łatwiej nam było ich doglądać.

Josie i Niko wpatrywali się w Braydena.

– Nie możesz zasnąć? – spytała Josie.

– Nie bardzo – odpowiedziałem. – Co z nim?

Brayden był szary na twarzy.

– Jeśli nie dojdzie do zakażenia, powinien się wylizać – orzekł Niko.

– A jeśli dojdzie? – spytała Josie.

Chyba oczekiwałem, że Niko powie coś o antybiotykach

– Może zawiózłbym go autobusem.

– Dokąd? – zapytała Josie.

– Do szpitala – mruknął.

– Przecież słyszałeś, co powiedział Robbie. Szpital jest zamknięty. Nikogo tam nie ma.

– Pomyśl, Robbie przecież chciał tu zostać. Może kłamał, a szpital nadal jest otwarty – powiedział Niko.

– Nie możemy ryzykować – zaprotestowałem.

– Wiem – odburknął.

– Brayden się wyliże – wyszeptała Josie. Otarła mu czoło wilgotną szmatką. – Musisz z tego wyjść, Brayden, słyszysz? Musisz.

Jego oddech był płytki, ale równy. Może przeżyje...

– A teraz marsz do łóżka – warknęła na nas Josie. – I to w tej chwili.

Szedłem za Nikiem, tylko że on wcale nie szedł do Pociągu. Ruszył do autobusu.

– Hej, co robisz? – spytałem.

Wychylił się z wozu i zobaczyłem, że ma tam mnóstwo sprzętu – pistolety uszczelniające, szpachle, jakieś szmaty.

Odłożył je i ruszył w stronę działu remontowego.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknąłem za nim.

Podszedł do regału z pudłami i zdjął z półki dużą stertę wielkich plastikowych pojemników.

– Weźmiesz pokrywki? – poprosił.

– Jasne – zgodziłem się. – Ale czy nie powinniśmy się jednak zdrzemnąć, Niko? Choć na kilka godzin?

– Ty powinienes. Ja wyposaże autobus.

– Chyba nie myślisz poważnie o jechaniu do szpitala.

– Już zapomniałeś, jakie mam motto? Bądź gotowy.

Zaśmiał się. Sztucznie.

– Chwytasz? – spytał. – Taki skautowski dowcip.

Trudno to nawet było nazwać dowcipem, ale tak, załapałem.

Rozpoczynaliśmy przygotowywanie autobusu do jazdy.

Poszedłem po wózki, bo wiedziałem, że bez nich się nie obejdzie.

Napełniliśmy je niezliczonymi zgrzewkami butelek z wodą. Była to pierwsza rzecz, jaką załadowaliśmy.

Potem wzięliśmy się do plastikowych pojemników, które wypełniliśmy

jedzeniem.

Mieszanka studencka, suszona wołowina, batoniki proteinowe, orzechy, ciasteczka... Wszystko, co się bierze – powiedzmy – na wycieczkę. Potem Niko dodał puszkowane zupy, owsiankę, puszki z tuńczykiem i kurczakiem i nagle dotarło do mnie, że pakuje nas na bardzo długą wy cieczkę.

– Na wypadek, gdybyśmy musieli dłużej czekać na lotnisku – wyjaśnił.

I tak się dowiedziałem, po co pakujemy autobus.

Wcale nie po to, żeby zabrać Braydena do szpitala.

Tylko żeby dotrzeć do Denver.

– A co z oponą? – spytałem. – Mamy przecież jedną gumę, nie?

Wzruszył ramionami.

– Robbie zrobił, ile mógł. A ta dziurawa jest akurat w parze z dobrą...

Po kilku minutach pakowania w zupełnym milczeniu po wiedziałem jeszcze:

– Założę się, że Braydenowi nic nie będzie.

– No – mruknął Niko. – Musi z tego wyjść.

Załadowaliśmy do autobusu zapas jedzenia i picia na jakieś dwa tygodnie.

Niko kazał mi też spakować sporo leków.

Sam chciał się skupić na uszczelnianiu dachu.

Kiedy wróciłem z czterema wielkimi pudłami antybiotyków, przeciwbóli, bandaży, bactine, zyrtecu i takich tam, pomagała mu już Astrid.

– Hej – rzuciła i skinęła mi głową.

– Hej.

Miała na sobie džinsy, nowe trampki i różowy polar.

I nadal moją czapkę.

Niko posłał ją widocznie po koce i śpiwory, bo niosła całe naręcze.

– Włóż po dwa śpiwory i dwa koce pod każdy fotel, dobrze? – poprosił ją.

– Jasne – odparła i zaczęła je wnosić do środka.

– Co teraz? – spytałem.

Wysłał mnie po latarki, latarenki na baterie i najróżniejsze narzędzia, które jego zdaniem mogły się przydać w drodze.

Kiedy wróciłem, Astrid i Niko siedzieli oparci o autobus i odpoczywali, omawiając, co jeszcze jest nam potrzebne.

– Mamy maski przeciwgazowe dla wszystkich. Jedzenie, wodę, apteczkę. Mamy zyrtec?

– Wszystko, co było w sklepie – zapewniłem.

– Liny, zapalki, plandeki brezentowe, plecaki, olej, noże – ciągnął. – Dwa pistolety i trochę naboii...

Potarł oczy.

– A pieniądze? Albo może biżuterię? Coś na wymianę?

– Skoczę po coś takiego – zaofiarowała się Astrid.

– Niko! – W naszą stronę pędziła Josie.

Niko zerwał się na równe nogi.

– Co? O Boże, co się stało?

– Pan Appleton. Nie Brayden, nie Brayden. Z Braydenem wszystko w porządku – mówiła, a łzy ciekły jej po twarzy,

Potknęła się i wpadła Nikowi w ramiona.

– Pan Appleton nie żyje – załkała.

Przyciągnął ją do siebie, otoczył jej ramiona i przytulił mocno.

Spojrzała na niego, on na nią i zaczęli się całować.

Nawet nie popatrzyliśmy z Astrid po sobie. Oboje wiedzieliśmy, że mamy sobie iść.

Zostawiliśmy ich samych.

Rozdział 31

Rekonesans

DZIEŃ 11

NIERUCHOME CIAŁO PANA APPLETONA LEŻAŁO NA NADMUCHIWANYM materacu mniej więcej w połowie działu motoryzacyjnego.

Josie pewnie próbowała odciągnąć go trochę od Braydena, gdy zorientowała się, że nie żyje. Wyglądał jakoś woskowo i sztucznie. Jakby był woskową figurą samego siebie.

Jake siedział przy Braydenie. Oczy miał szkliste i wpatrywał się przed siebie, kiwając się w przód i w tył.

Przy nim leżała Luna. Na mój widok podniosła łeb i niemrawo zamachała cztery razy swoim marnym ogonem.

– Hej, Jake, jak żyjesz? – spytałem.

– Źle – odburknął, machając ręką.

Położyłem dłoń na czole Braydena. Było lepkie.

Jego powieki drgnęły i przez chwilę zdawało mi się, że mnie poznaje.

Astrid przyklękła przy nim i uniosła mu lekko głowę.

Wlała mu do ust kilka kropel wody.

Zakrztusił się i ją wypluł.

– Gdyby tak można było zawieźć go do szpitala – westchnęła.

– Gdybyśmy tak wiedzieli, czy szpital w ogóle działa mruknąłem. – Mamy za mało informacji.

I nagle wpadłem na pomysł.

– Wideo walkie-talkie! – wykrzyknąłem, zrywając się.

– Co? – spytał Jake.

– Zaraz wracam – rzuciłem. I pobiegłem do Nika.

– Niko! – darłem się, pędząc przez sklep.

Wypadłem na przestrzeń przy autobusie, gdzie stali Niko z Josie. Odskoczyli od siebie. Jakby to miało znaczenie, że ich przyłapałem!

– Wideo walkie-talkie! – wyrzuciłem z siebie zasapany. – Słuchaj, Brayden musi się znaleźć w szpitalu. Nie wiemy, czy jest otwarty. Mogę włączyć walkie-talkie i wyjść na zewnątrz. W ten sposób dowiedzie się, co tam się dzieje. Zobaczycie, czy jest bezpiecznie.

– Co? – wybąkał Niko.

Wyjaśniłem mu to jeszcze raz, gdy biegliśmy już do Pociągu.

Chciałem jak najszybciej obudzić Aleksa i spytać, czy to w ogóle możliwe z technicznego punktu widzenia.

– Miałbym ze sobą nadajnik, tak że wy moglibyście zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz – tłumaczyłem Nikowi, gdy wpadaliśmy do salonu. – Mogę przecież nawet wyjść na autostradę i sprawdzić, czy jest przejezdna.

– Ale na zewnątrz nie jest bezpiecznie! – zaprotestowała Josie.

– Niby skąd to wiemy? – niemal na nią nawrzeszczałem. – Czy możemy wierzyć w cokolwiek, co powiedzieli nam ci ludzie? Robbie po prostu nie chciał, żeby ktokolwiek wychodził ze sklepu. Chciał tu zostać. Może wszystko to mówił tylko po to, żebyśmy się stąd nie ruszyli. Może szpital jest otwarty!

Pewnie trochę bredziłem. Niewykluczone, że to zmęczenie padło mi na mózg, ale ten pomysł wydał mi się wprost genialny.

– Rekonesans! – wybuchnąłem.

Alex już się obudził. Sahalia zaczęła się kręcić na kanapie.

– Zrobię rekonesans! Tak to się nazywa.

Odwrociłem się w stronę Aleksa.

– Czy mógłbym zabrać walkie-talkie na zewnątrz, pójść do szpitala i zobaczyć, czy droga jest bezpieczna?

– Nie – usłyszałem głos Jake’a. – Nie dałbyś rady.

Obróciłem się, by spiorunować go spojrzeniem.

– Ale ja bym dał – dokończył.

Niko tylko pokręcił głową, ale Jake mówił dalej:

– Wiem, że dotąd wszystko pieprzyłem. Wiem, że nawaliłem. Ale jestem szybki. Mam dobrą kondycję i przede wszystkim grupę krwi B. Żadnych pęcherzy, halucynacji, napadów agresji.

– Moim zdaniem to cię przerasta – powiedział Niko. – Przykro mi. To zbyt niebezpieczne.

– Musicie pozwolić mi coś zrobić dla Braydena. To mój kumpel. Najlepszy kumpel, a teraz umiera, bo pozwoliłem Robbiemu dopaść pistolet... – Spojrzał na nas. – Błagam, pozwólcie mi iść.

Astrid dołączyła do nas w połowie jego argumentacji.

– O czym wy mówicie? – przerwała mu. – Jake chce wyjść na zewnątrz?

– Tak, żebyście mogli zobaczyć, co tam się dzieje – odpowiedział Jake.

– A jeśli ktoś cię zaatakuje? – spytała.

– No, mógłby wziąć pistolet – odezwał się Niko.

Zwiesiła głowę i wycofała się. Jake wstał i podszedł do niej.

Odeszli trochę dalej, ale i tak było ich słychać.

I widać, bo w całym sklepie było zupełnie jasno.

Taki nadmiar światła zdawał się wręcz nieprzyzwoity.

– Muszę to zrobić dla Braydena – mówił Jake do Astrid. – To moja wina,

że został postrzelony. Gdybym nie ćpał, w ogóle by do tego nie doszło.

– Umrzesz, próbując go uratować – szepnęła.

– Astrid, proszę – błagał cicho. – Muszę coś zrobić. Muszę wreszcie zrobić to, co powinienem. Choć raz.

Przytulił ją, a ja odwróciłem wzrok.

Kochała go, a on kochał ją. Tak już było. Mogłem sobie myć jej włosy, ile mi się żywnie podobało, ale ona kochała Jake'a.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że mój brat patrzy na mnie ze współczuciem.

Tylko tego mi brakowało.

I właśnie wtedy w drzwiach stanął Ulysses. Tarł oczy.

– Chcę do Robbiego – oświadczył zaspany.

Obudziły się dzieci.

Był ranek.

Rozdział 32

TV Jake

DZIEŃ 12

NIKO, ALEX I JAKE POSZLI PRZYGOTOWAĆ WSZYSTKO DO MISJI.

Astrid obiecała, że w tym czasie zajmie się Braydenem.

Więc na mnie i Josie spadł obowiązek nakłamania dzieciakom.

– Co się dzieje? – spytał Max, podchodząc do drzwi.

Maluchy obudziły się złe, nadęsane i nieskłonne do ustępstw. Mrugały osłepione pełnym światłem.

Zebraliśmy się więc w sobie i zaczęliśmy łąć, łąć i łąć jak najęci.

– Dzieci, to była bardzo ciężka noc – oświadczyła Josie. – Gdy poszliście spać, panu Appletonowi się pogorszyło, więc Robbie powiedział, że pójdzie po pomoc, prawda, Dean?

– Tak właśnie było. A potem Brayden poszedł wyciągnąć pistolety ze skrytki i upadł...

– Tak, i to właśnie ten strzał usłyszeliście – weszła mi w słowo Josie. – Brayden postrzelił się w ramię. Na szczęście nic mu nie jest. Wkrótce dojdzie do siebie.

Dzieci miały tak zdezorientowane miny, że niemal widziałem znaki zapytania migające im w oczach.

– Ale przecież padły dwa strzały – upierał się Max.

Spojrzałem na Josie.

– Nie – zaprzeczyła. – To był tylko rykoszet.

– Ryko-co? – spytała Chloe.

– Rykoszet – powtórzyła Josie. – Rodzaj echa.

– Nie wydaje mi się – mruknął Max, krzyżując ramiona na piersi i naburmuszając się.

– Gdzie jest Robbie? – spytał Ulysses.

– W tym problem – powiedziałem, pochylając się w jego stronę. – Robbie już pojechał. Chciał jak najszybciej odnaleźć naszych rodziców... I zorganizować pomoc dla pana Appletona. – Po prostu nie miałem serca powiedzieć im o jego śmierci.

Spojrzałem na Josie i miałem nadzieję, że zrozumie, o co mi chodzi: niech najpierw pogodzą się z tym, że nie ma już Robbiego, a o panu Appletonie powiemy im później.

Caroline i Henry zaczęli płakać. Ulysses już był zalany łzami.

– Ale są też dobre wieści – dodałem pośpiesznie. – Robbie zostawił Lunę. Powiedział, że chce, żeby Ulysses się nią zajął, bo jest takim dobrym chłopcem.

Ulysses wtulił twarz w koszulę Josie.

– Zawołajmy ją od razu – zaproponowała Josie. – Luna! Luna!

I dzieci zaczęły wołać psa swoimi cienkimi, słodkimi głosikami.

Josie spojrzała na mnie.

– Śniadanie – syknęła. – Coś z dużą ilością białka.

Nim skończyłem karmić dzieciaki odgrzewanymi w mikrofalówce gotowymi kanapkami z jajecznicą i serem, Niko i Alex zdołali w pełni wyposażać Jake'a na wyprawę. Przyniosłem im tacę z jedzeniem do działu RTV, gdzie się szykowali.

Jake miał na sobie niezliczone warstwy dresowych spodni i bluz od

rozmiaru M po XXL. Wyglądał jak wypchana kukła. Nie zdążyli mu jeszcze owinąć głowy, więc prezentował się komicznie z tym przeogromnym ciałem, małą, normalną główką i twarzą, która uśmiechała się do nas szeroko.

– Co wy robicie? – spytał Max.

Wszystkie dzieciaki zaczęły się śmiać. Jake wyglądał naprawdę śmiesznie.

Niko posłał mi spojrzenie pod tytułem: „Jeszcze im nie powiedziałeś?”.

Westchnąłem i wzruszyłem ramionami. I tak mieliśmy im przecież tyle do powiedzenia.

Jake miał plecak. W środku zobaczyłem trochę wołowiny, mieszankę studencką i wodę. I dwie dodatkowe latarki.

Wiedziałem też, że ma pistolet.

Boże, oby tylko to mu zapewniło bezpieczeństwo.

Alex kończył podłączanie walkie-talkie.

Przyczepili je do torsu Jake’a kilkoma warstwami taśmy. Przez to jego pierś wyglądała jeszcze dziwniej. Spod taśmy wystawała kamera. Słuchawkę przyklepili mu do skóry na szyi. Wyglądał jak agent federalny szykujący się do ataku na melinę narkotykową albo jak typ z FBI.

– I jak wyglądam, booker? – spytał mnie.

Jak grubaśny paker z niezdrową słabością do gadżetów.

– Jak twardziel – odpowiedziałem.

– Nie ściemniaj mi. – Roześmiał się.

Dobrze było widzieć, że odzyskał sens życia. Wciąż był blady i rozczochrany, ale przynajmniej się uśmiechał.

Wszystkie maluchy zebrały się wokół nas, ale tak, żeby zostawić nam przejście. Josie cierpliwie tłumaczyła im, co zamierzamy.

Dzieciaki były niesamowicie przejęte.

Chloe z całych sił ścisnęła Lunę. Pies będzie musiał się przyzwycząić do mnóstwa czułości.

To był naprawdę dobry psiak. Po prostu lizał Chloe po twarzy, aż dziewczynka wreszcie go puściła.

Alex włączył walkie–talkie i podszedł do bigtaba. Podczas trzęsienia ziemi sprzęt był w pudle, więc nie uległ zniszczeniu. Teraz był podłączony do prądu i miał wciśnięty kabel, który łączył go z walkie–talkie.

Alex włączył sprzęt i nagle na ekranie pojawił się obraz – zobaczyliśmy Caroline i Henry’ego, którzy akurat stali tuż przed Jakiem, tuląc się do siebie i ssąc kciuki.

– Hej! – zakrzyknęły bliźniaki chórem, gdy zobaczyły się na bigtabie.

Wszyscy aż piszczeeli z radości.

Jake obrócił się, a wtedy wszyscy po kolei pojawiliśmy się na ekranie.

Było dość kiepsko widać. Z trudem można było dojrzeć postaci, ale jednak nie ulegało wątpliwości, że to my. Brudni. W oku kamery prezentowaliśmy się wszyscy znacznie gorzej, niż w rzeczywistości.

Może po prostu przywykłem już do takiego stopnia zabrudzenia.

– Ale odlot – ucieszył się Jake.

Podskoczył, a obraz na ekranie razem z nim. Przysunął się do twarzy Maksa i na ekranie zobaczyliśmy wielkie zbliżenie bardzo wesołej buzi, a Max wysunął język i robił śmieszne miny.

– Dobra – orzekł Alex. – Teraz coś powiedz.

– Halo? Halo? – wygłupiał się Jake. – Specjalnie dla państwa prosto z Greenwaya przy Old Denver Highway w Monumencie w Kolorado!

Głośność była ustawiona zdecydowanie za słabo, ale jednak słyszeliśmy słabiutki, cieniutki głosik dobiegający z walkie–talkie.

– Sprawdź, czy mnie słyszysz – polecił Alex i usiadł na ziemi przy walkie–talkie. – Słyszysz mnie, Jake? – powiedział do urządzenia.

– No, Jezu, ale głośno – marudził Jake, ale z uśmiechem. – Chłopie, to jest czad. Normalnie czuję się jak astronauta!

Podszedł do niego Niko.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – spytał. – Wiemy przecież, że na zewnątrz jest niebezpiecznie.

– Jasne, kolo – zapewnił go Jake. – Wszystko pod kontrolą, Niko Knacko.

– Niko Knacko – powtórzył zachwycony Max.

Jake znów był sobą. Żartownisiem i gwiazdorem.

Tego właśnie było mu trzeba, pomyślałem. Szansy, żeby być bohaterem.

Pojawiła się Astrid.

– Braydenowi podniosła się gorączka – poinformowała. – Nie podoba mi się jego stan. Miota się po pośłaniu.

– W takim razie czas na mnie – odparł Jake. – Do dzieła.

Astrid odwróciła wzrok.

– Posiedzę przy Braydenie – powiedziała.

– Pójdę z tobą – zaofiarowała się Sahalia.

Wydawała się teraz cicha i potulna. Poszły razem.

Astrid nawet nie spojrzała na Jake'a.

– Widzimy się za chwilę, Astrid – zawołał za nią.

– Jasne – wymamrotała.

– Zabezpieczymy ci teraz głowę – powiedział Niko do Jake'a.

Alex i Niko opracowali cały system składający się z maski z filtrem połączonej z kilkoma polarowymi kominiarkami dla narciarzy.

Niko założył Jake'owi na twarz ciężką gumową maskę.

Jake uniósł rękę i poprawił sobie słuchawkę i mikrofon pod maską.

– Jake, słyszysz mnie? – spytał Alex, a Niko zaczął zakładać kominiarki na głowę Jake'a. Trudno było je wcisnąć na maskę filtrującą powietrze.

– Już wystarczy – bronił się Jake i próbował odgonić Nika.

– Nie – upierał się tamten. – Jeszcze chwila.

Jake stał więc posłusznie, a Niko zakładał kolejne kominiarki.

– Możesz coś powiedzieć? – spytał Alex.

– Próba mikrofonu, próba mikrofonu, raz, raz, raz – powiedział Jake. Jego głos był ściszony, zarówno ten dobiegający spod maski, jak i ten z małych głośniczków walkie-talkie.

Alex popatrzył na nas.

– Możemy startować – oświadczył.

– Dobra, zaczynamy – powiedział Niko.

Wszyscy ruszyli w stronę magazynu, żeby pożegnać Jake'a.

– Zaczekajcie! – ryknąłem. – Nie możecie wszyscy tam wejść.

– Dlaczego? – zdziwił się Niko.

– To niebezpieczne – powiedziałem z naciskiem, próbując jakoś mu przypomnieć, że przecież dopiero co zaciągnęliśmy tam zakrwawione, zmasakrowane ciało Robbiego.

– A, racja – zreflektował się Jake zduszonym głosem spod maski.

– I przecież chemikalia...

– Racja – powiedział Niko. – Alex pomoże Jake'owi wejść na dach.

To oznaczało, że Alex też musi założyć maskę i kilka warstw ubrań.

– Hej! – ucieszyła się Chloe. – Chodźmy po krzesła, popcorn i coś do pogryzania, żebyśmy byli gotowi na film!

Reszta maluchów pobiegła przyciągnąć wygodne meble z salonu. Chichotały z przejęcia.

Chyba już tylko Ulysses był jeszcze trochę smutny z powodu Robbiego i pana Appletona. Pozostałe dzieci nie myślały o niczym innym poza oglądaniem „telewizji”.

– Powodzenia, Jake – powiedziałem, gdy czekaliśmy, aż Alex się ubierze.

Jake uścisnął dłoń najpierw mnie, potem Nikowi.

– Wracaj szybko – dodał Niko.

Dzieciaki jeszcze znosiły smakołyki, gdy na ekranie zobaczyłem, jak Jake

przechodzi obok materaca z ciałem Robbiego. Stałem przed monitorem, żeby zasłonić ten widok, na wypadek gdyby któreś z dzieci wróciło i spojrzało na bigtaba.

Widać było, jak Jake i Alex wchodzą po metalowych schodach prowadzących do wjazdu.

Alex wyciągnął wielki metalowy rygiel i kłapa się uniosła.

Jake wyszedł pierwszy. Potem na monitorze ujrzałem głowę Aleksa. Podał Jake'owi jakieś łańcuchy. Drabina. Potem Jake wyciągnął do niego rękę i pomógł mu wyjść na dach.

Na samą myśl o tym, że Alex jest na dachu, robiło mi się słabo ze strachu.

Jake przypiął drabinę i łańcuchy wypadły z pola widzenia kamery, w ciemność.

Obrócił się do Aleksa i uściśnął mu dłoń.

– Hej, młody, nic się nie martw – usłyszeliśmy głos w walkie-talkie. – Poradzę sobie.

Alex odpowiedział mu coś, czego nie usłyszeliśmy.

– Masz to jak w banku – odparł Jake.

Dzieciaki przybiegły z poduszkami i pufami. Dotarła też Chloe z wielką torbą popcornu, kartonem małych batoników i sześciorami Mountain Dew. Fuj.

Obraz się poruszał, gdy Jake schodził szczebel po szczeblu. Było bardzo ciemno.

– Nic nie widzę! – jęczała Chloe.

– Ja też – dodał Max.

– Podkręćcie światło! – zażądała Chloe i wstała, żeby dotknąć walkie-talkie.

– Nikt tego nie rusza poza Aleksiem! – ryknął Niko. Chloe aż podskoczyła.

– A gdzie się podział Alex?

– Wciąga drabinę na dach, a potem jeszcze musi się umyć. A teraz zamknijcie się i oglądajcie!

Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby tak ostro zwrócił się do dziecka. Ale tak było lepiej. Chciałem tylko oglądać naszą

TY Jake.

To prawda, że trudno było cokolwiek dojrzeć. Każdy krok Jake’a sprawiał, że obraz podskakiwał, i było bardzo ciemno.

– Mógłbyś na chwilę przystanąć, żebyśmy lepiej zobaczyli? – spytał cicho Niko przez walkie-talkie.

– Dobra. Widzicie tylko niebo i horyzont.

Jake zatrzymał się i zobaczyliśmy, no, w sumie niewiele. Ciemne niebo, ciemną ziemię i lśniący pas światła między nimi.

Wyglądało to jak czarno-białe nagranie nieba tuż przed wschodem słońca. Tylko że była już co najmniej ósma rano. Może nawet dziesiąta.

– Za dużo nie widzimy – powiedział Niko. – Czy ty cokolwiek widzisz?

– Jest ciemno – przyznał Jake. – Ale tak, widzę. Nie chcę jeszcze włączać latarki, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ale powiem wam, że jest ciemniej, niż się spodziewałem.

Coś więc już wiedzieliśmy. Na dworze jest ciemniej, niż się spodziewaliśmy.

Obraz skakał z każdym krokiem Jake’a. Widzieliśmy rozmyte plamy kolorów i różnych odcieni szarości, ale nie sposób się było połapać, co to jest.

– Jestem na parkingu. Nadal stoją tu samochody. Gradobicie nieźle je uszkodziło. Sami zobaczcie.

Przysunął tors z kamerą bliżej samochodu. W świetle walkie-talkie zobaczyliśmy zbliżenie karoserii. Była poobijana i podziurawiona. Z zardzewiałego metalu odpadały całe płyty farby.

– Wygląda na to, że chemikalia przeżerają metal...

Jake znów szedł, bo obraz zaczął podskakiwać.

– Trochę przyśpieszam – powiedział. – Wzrok mi się już przyzwyczał.
Nie ma co marnować czasu.

Zgodnie z trasą, którą wspólnie opracowaliśmy, Jake skierował się teraz przez parking w stronę Old Denver Highway. Miał może czterysta metrów do autostrady 1–25.

Zaraz za nią, po drugiej stronie Struthers Road, znajdował się szpital Lewis–Palmer.

– Okej, widzę autostradę – powiedział. – Widzę nawet światła.

– O Boże! – wyrwało się przejętej Josie.

Przybiegł Alex.

Twarcz miał czerwona od szorowania i był ubrany w nowe ciuchy.

– Coś przegapiłem? – spytał. Podeszedł od razu do walkie–talkie i usiadł przed nim.

– Idzie przez parking – odpowiedział mu Niko. – Na autostradzie są jakieś światła.

Na ekranie widzieliśmy migające w oddali kółeczka. Małe jak tic taki.

– Światła! – wrzasnął Henry.

Kroki Jake’a stały się nagle szybsze, a potem wolniejsze.

Raptem obraz zrobił się zupełnie czarny.

– Ktoś idzie – szepnął Jake.

– Co jest? – zdenerwowała się Chloe. – Dlaczego nic nie widzimy?

– Chyba przykucnął – mruknąłem.

Czekaliśmy.

– Spytaj go, czy wszystko w porządku – powiedział Alex do Nika.

– Nie – syknął Niko. – Jeśli jest w niebezpieczeństwie, nie chcemy, żeby wydał go dźwięk dochodzący ze słuchawki.

W końcu Jake sam się odezwał:

– Poszli sobie – zameldował.

– Kto to był? – spytał Niko. – Poznałeś ich?

– Dwie osoby. Szły razem. Z walizkami. Takimi na kółkach.

Dwóch postapokaliptycznych nomadów z walizkami na kółkach. Surrealistyczne.

– Głowy mieli tak zakutane, że nawet nie widziałem, czy to kobiety czy mężczyźni.

– Jezu – wyrwało się znowu Josie. Wyglądała na przerażoną. – To mógł być każdy.

Miała rację. To mogli być ludzie, których znaliśmy. Ale Jake nie mógł ich zatrzymać i spytać. Mogli go obrabować albo zabić, albo Bóg jeden wie co jeszcze.

Ale tak – mogli to być ludzie, których znaliśmy (i kochaliśmy).

Na przykład nasi rodzice.

Obejrzałem się i zobaczyłem Astrid. Pewnie zostawiła Braydena pod opieką Sahalii.

Siedziała po turecku na podłodze z tyłu za wszystkimi. Luna położyła jej łeb na kolanach i Astrid odruchowo ją pogłaskała.

Na ekranie światła stawały się coraz większe. Co chwilę znikwały, gdy Jake poruszył się w inną stronę, ale zaraz znów wracały.

– Strasznie tu grząsko – powiedział. – Rośliny zupełnie powiędły i wszystko jakby gnije.

Zwolnił.

Słyszeliśmy jego oddech, głośniejszy z powodu maski.

Wszyscy wierciliśmy się niecierpliwie. Caroline i Henry tulili się do siebie kurczowo.

–Oto, co widzę – szepnął Jake. – Autostrada jest właściwie pusta. Co jakiś

czas pojawiają się pojedyncze samochody, ale przynajmniej jeden pas zawsze jest wolny. Palą się tu jakieś latarnie, wyglądają na wojskowy sprzęt. Stoją, bo ja wiem, co cztery metry. Na poboczu mnóstwo samochodów. Chyba popsutych, ale trudno powiedzieć, jak długo tu stoją. Może jeszcze od gradobicia, może stanęły później. Droga jest w złym stanie. Trzęsienie ziemi ją zniszczyło. Wszystko zniszczyło.

Oddech Jake'a był rytmiczny, równy. To zdawało się jakoś zbyt intymne. Tak słuchać jego oddechu.

A potem przyśpieszył.

– Tylko... trochę... przyśpieszam kroku – powiedział lekko zasapany. – Trudno w tym wszystkim oddychać.

Palilo się kilka latarni, co mnie zaskoczyło.

– Okej – powiedział Jake. – Teraz miły spacer po zacisznej uliczce.

Słysząc było napięcie w jego głosie.

– Latarnie są włączone? – spytał Niko.

– No. Wyciągnąłem pistolet. Na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował.

Szedł w ciemności chyba przez całą wieczność.

Dzieciaki mlaskały przy tym całym popcornie i chciałem je uciszyć, ale bałem się nawet odezwać.

Jake zbliżał się do szpitala.

– Nie wygląda to dobrze – mówił cicho. – Ciemno. Żadnych świateł.

Zobaczyliśmy ciemny budynek z powybijanymi szybami.

– Szpital jest wymarły – oświadczył Jake. – Nikogo tu nie ma.

– Cholera. – Niko schował głowę w dłoniach. – Co my teraz zrobimy?

Na ekranie migają nam ściany szpitala, jakby same się poruszały.

– Co widzimy? – spytał Alex przez walkie-talkie, przejmując je od Nika.

– Ulotki. Listy, wiadomości, zdjęcia – odpowiedział Jake.

Podszedł bliżej, żebyśmy mogli zobaczyć.

Zdjęcie mężczyzny w średnim wieku i podpis: „Zaginiony Mark Bintner. Ostatnio widziany na Mount Herman Road”.

„Czy ktoś widział moją córkę?” i zdjęcie uroczego malucha o blond włoskach.

Pośpiesznie nabazgrane słowa: „Babciu, żyję! Idę do Denver”.

– Nikogo tu nie ma – powiedział Jake, pokazując kolejne ulotki.

Było ich mnóstwo, a wszystkie mówiły to samo: OSOBY, KTÓRE PRZEŻYŁY KATAKLIZM, MAJĄ NIEZWŁOCZNIE UDAĆ SIĘ DO DENVER, SKĄD ZOSTANĄ PRZETRANSPORTOWANE NA ALASKĘ. ODLOTY CO PIĘĆ DNI O PIĄTEJ.

– Co pięć dni o piątej – wyszeptalem.

– Który dziś jest? – wymamrotała Josie.

– Dwudziesty siódmy – odparł ponuro Niko.

Zdjęcie dziewczyny w sukni jak na studniówkę.

Ksero zdjęcia czyjejś babci.

Fotografia kobiety przypięta do świstka papieru: „Anne Marie, znajdź mnie w Denver! Lou”.

I nasza kartka bożonarodzeniowa.

– Stop! – wrzasnałem. – Powiedz mu, żeby się cofnął. To nasza kartka! Nasza kartka bożonarodzeniowa!

Niko kazał Jake’owi się cofnąć i Jake znalazł kartkę. Matka, ojciec, Alex i ja.

Przed domem.

Uśmiechamy się, machamy.

Chwyciłem się obiema rękami za głowę.

– Co jest na niej napisane?

Jake zdjął kartkę ze ściany. Trzymał ją w dłoniach. Otworzył.

„Wesołych Świąt życzą Griederowie!” – głosiły piękne, czerwone litery. A

pod tym:

DEAN I ALEX– starannym pismem ojca. – ŻYJEMY. ZOSTAŃCIE TAM, GDZIE JESTEŚCIE, JEŚLI JEST TAM BEZPIECZNIE. ALBO JEDŹCIE DO DENVER.

KOCHAMY WAS.

Rzuciliśmy się na siebie z Alekssem i przytuliliśmy mocno.

Chyba wszyscy płakali razem z nami, bo czułem, że z każdej strony ktoś mnie obejmuje.

Josie, Chloe, Batiste, Ulysses przywarli do nas z całej siły. Henry i Caroline, Niko, nawet Astrid. Byliśmy z Alekssem w samym środku i wszyscy trzymali się wszystkich.

Nie wiem nawet, czy płakaliśmy dlatego, że nasi rodzice mogli przeżyć, czy dlatego, że mogli już nie żyć, czy po prostu dlatego, że ktoś nawiązał z nami kontakt.

– O Boże – dobiegł nas głos Jake’a. Ciężki od łez. – Przepraszam. Przepraszam was.

Odszedł od szpitala.

– Ja... ja nie wracam. Już dłużej nie dam rady.

– Co?! – zawyła Astrid, odrywając się od naszej grupy. – Co on powiedział?

Usłyszeliśmy odgłos zrywanej taśmy, szamotania się z ubraniem.

– Co on robi? – pytała Astrid.

Kąt obrazu zmienił się nagle i zrozumiałem, że Jake zdejmuje kamerę walkie-talkie z piersi.

– Powiedzcie Astrid, że ją przepraszam – usłyszeliśmy jeszcze i potem już nic.

Staliśmy przed ekranem i patrzyliśmy.

Jake odłożył walkie-talkie na ulicę.

Widać już było tylko jego buty. Chodnik. Ciemność.

Jake od nas odchodził. Oddalał się od kamery.

I nie mogliśmy nic zrobić. Patrzyliśmy, jak odchodzi i znika w czarnym dniu–nocy.

– Nie! – zawyła Astrid.

Dzieciaki lgnęły do nas i do siebie nawzajem.

Niko odmaszerował gdzieś z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Astrid osunęła się na podłogę. Caroline i Henry wpakowali się jej na kolana, tuląc się do niej i płacząc. Astrid ukryła twarz we włosach Caroline i łkała.

Może dwie minuty później usłyszeliśmy mechaniczny warkot. Warkot budzącego się silnika. Luna zaczęła szczekać. Dźwięk dochodził z przeciwległego końca sklepu.

Autobus.

Niko włączył silnik.

Rozdział 33

Autobus

DZIEŃ 12

WARKOT NIÓSŁ SIĘ PO CAŁYM SKLEPIE.

Jak w półśnie ruszyliśmy w jego stronę. Jakby ryk silnika rzucił na nas urok.

Autobus zamilkł, gdy byliśmy już blisko.

Stał przed drzwiami wejściowymi. Tam, gdzie zawsze na nas czekał. Niko podszedł do drzwi.

– Macie wszyscy dziesięć minut, żeby się spakować. W większości ubrania. Możecie zabrać po jednej zabawce – rozkazał.

– Zaczekaj! – zawołała Astrid. – Co robimy?

– Brayden potrzebuje lekarza. Zabieramy go do lekarza.

– Dokąd jedziemy? – spytał Max.

– Do Denver.

Okrzyki radości i śmiechy były wręcz ogłuszające.

Zrobiło mi się słabo.

– Jesteś pewien? – spytałem. – Nie powinniśmy tego obgadać?

Niko podszedł do mnie, gdy maluchy popędziły się pakować. Alex stanął u jego boku.

– Z Braydenem jest gorzej. Wdało się zakażenie. Jest dosłownie zielony na

twarży – syknął Niko.

– Ale drogi! – oponowałem. – Mogą być zniszczone, zablokowane...

– Jeśli zostaniemy, on umrze.

– Ale, Niko...

– Masz dziesięć minut, żeby się spakować. Wiesz, że w autobusie mamy zapasy. Poradzimy sobie.

– Dean – odezwał się Alex – to prawdopodobnie jedyny sposób, żeby znów zobaczyć mamę i tatę!

– Chcesz zobaczyć rodziców? – spytał Niko.

– Oczywiście, że tak – wydarłem się. – Ale nie chcę się zmienić w krwiożerczego potwora uwięzionego w autobusie pełnym dzieci!

– Uśpiemy cię – oświadczył Niko. – Omówiliśmy to już z Alekssem.

Skinął na mojego brata.

– Co takiego?! – jęknąłem.

– Uśpiemy całą waszą trójkę. Wszystkie osoby z grupą krwi 0.

I zwiążemy na wszelki wypadek – wyjaśnił Alex.

– Dzięki – mruknąłem.

Było to logiczne, ale i tak odczułem to jako zdradę, szczególnie że obaj uparli się mnie teraz przekonać do tego planu.

– Poza tym chemikalia mogły się już trochę rozproszyć – dodał Alex. – Może nie będziesz tak gwałtownie reagował.

– Nie mamy czasu na dyskusje – powiedział Niko. – Taka jest moja decyzja i jeśli nie jest słuszna, poniosę konsekwencje. Ale nie pozwolę Braydenowi tak po prostu umrzeć.

– Niko, przecież to ty masz być tym rozsądnym – argumentowałem. – Ostrożnym, rozważnym gościem, który najpierw myśli, potem działa.

– Ten autobus jest jak czołg – odparł. – Dowiezie nas na miejsce. Na sto procent.

– Musimy jechać – popierał go Alex. – To nasza jedyna szansa, żeby ich zobaczyć.

– A jeśli mamy jechać, to natychmiast. Następną ewakuacja jest za trzy dni.

Odwróciłem się i ruszyłem przed siebie.

– Dokąd idziesz? – zawołał za mną Alex.

– Spakować się oczywiście – wycodziłem przez zęby. – A mam wybór?

– Pośpiesz się – krzyknął Niko. – Potrzebuję twojej pomocy przy ładowaniu Braydena do autobusu.

Poszedłem do działu sportowego i chwyciłem pierwszy lepszy plecak. Powędrowałem z nim do działu ubrań męskich.

Aż się trząsałem ze złości.

To była czysta głupota. Błąd. Oni naprawdę nie rozumieli, co mogą ze mną zrobić chemikalia.

A drogi? A bandyci?

– To zły pomysł – usłyszałem za sobą cichy głos.

Astrid. W jasnym świetle jarzeniówek wyglądała na małą i przerażoną.

– Wiem.

– Nie powinniśmy jechać – dodała.

– Wiem – powtórzyłem. – Niko tak się boi, że Brayden umrze, że ryzykuje życie pozostałych.

Astrid podeszła bliżej i przyłgnęła do mnie.

Wtuliła twarz w moją pierś i trzymała mnie mocno.

Jak dobrze. Byliśmy jak magnesy. Byliśmy dla siebie stworzeni. Otoczyłem ją ramieniem i przytuliłem.

– Zostań – powiedziała. – Zostań ze mną, Dean.

– Co?

– Nie jadę. – Odsunęła się, żeby na mnie spojrzeć. – I chcę, żebyś ze mną

został.

Serce skoczyło mi do gardła. Zawirowało mi przed oczami. Astrid nie jedzie i chce, żebym z nią został?

– Chcesz, żebym z tobą został? – wybąkałem. – Ja?

Odsunęła się ode mnie o krok. Wcisnęła ręce w kieszenie kamizelki.

– Chodzi o to... – Zarumieniła się. Rumieniła się. – Że nie jadę – powiedziała, nie patrząc mi w oczy. – Nie mogę. Ty też nie powinienes. Chemikalia zmienią nas w potwory. Oni nie mają pojęcia, jak to jest. My wiemy. Ty, ja i Chloe powinniśmy zostać.

Że co? Ze jak? Nie wiedziałem, co powiedzieć poza: Że co? Prosiła mnie, żebym został, bo miałem tę samą grupę krwi? Radziła mi zostać ze względu na chemikalia?

Co znaczyło to, że przedtem się przytuliła?

Zdawało mi się, że znaczy bardzo wiele.

Chyba się przytuliła, bo... jestem miłym facetem. Przyjacielem.

Wcisnąłem kilka bluz do plecaka.

– Co myślisz? – spytała.

– Nie wiem, co powiedzieć, Astrid. Muszę jechać z bratem. Musimy trzymać się razem.

– To przekonaj go, żeby też został. To rozsądny chłopiec. Będzie wiedział, że to słuszna decyzja.

– Nie. Alex chce jechać. Wierzy, że to jedyny sposób, żeby odnaleźć rodziców. Za nic nie zostanie.

– Nic możemy jechać! Zabijemy kogoś!

Odwróciłem się w jej stronę.

Łzy ciekły jej po twarzy. Otarła je wierzchem dłoni.

– Błagam cię, Dean. – Za każdym razem, gdy wymawiała moje imię, to

było jak ciepły nóż tnący wprost przez środek mojego serca.

– Astrid, przecież możemy mieć maski przez całą drogę.

Uśpią nas. I zwiążą. Nie będziemy mogli im pomóc, ale też nikogo nie zabijemy. – Wcisnąłem do plecaka dzinsy. – Kto wie, może Niko ma rację. Może naprawdę nam się uda.

– Nie! – wrzasnęła niemal w hysterii. – Nie mogę jechać.

Nie mogę. Nie mogę!

– Dasz radę...

– Będę miała dziecko.

– Co?!

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Jestem w ciąży.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową.

– Na sto procent. To czwarty miesiąc. Może trochę dalej.

– Jesteś w czwartym miesiącu?

Uniosła bluzę i podkoszulek.

Zobaczyłem kremową skórę jej pięknego ciała pływaczki. I tak – miała mały brzuszek. Niewielkie wzniesienie, wypchnięty pępek.

Opuściła koszulkę i ukryła twarz w dłoniach. Płakała cicho.

– Astrid – wyszeptałem i zrobiłem krok w jej stronę. Wzięłem ją w ramiona i przytuliłem. – Ale czy właśnie dlatego nie powinniśmy jednak jechać? – spytałem cicho. – Trzeba przecież znaleźć lekarza, prawda?

– Myślałam o tym – wyszeptała. – Ale co, jeśli, no wiesz, dziecko będzie wystawione na działanie chemikaliów? Co, jeśli jest takie jak my, Dean? – Zniżyła głos. – Albo pokryje się pęcherzami?

Nie powiem wam nawet, jakie koszmarnie obrazy przemknęły mi przez głowę.

– A wy co, do licha, wyprawiacie? – ryknęła na nas Chloe, wpadając między regały. – Wszyscy już prawie gotowi!

To był chaos, wszyscy biegali jak szaleni, pakowali do autobusu setki rzeczy, Josie próbowała je wypakowywać („Nie, Caroline, nie możesz wziąć dzwonek dla mamy”, „Ale Dean powiedział, że możemy!”, „Dobrze, niech będzie”), a Niko usiłował zaprowadzić jaki taki porządek.

– No wreszcie! – zawołał na nasz widok.

Ledwie udało mu się wmusić w Chloe tabletkę nasenną. Przemycił ją na łyżeczce galaretki.

– Dałem jej pełną dawkę – szepnął. – Mam nadzieję, że prześpi całą drogę. Teraz was uspię, ale musisz mi najpierw pomóc przenieść Braydena na pokład.

Josie i Sahalia pomagały maluchom poubierać się w jak najwięcej warstw ubrań.

– Okej – powiedział Niko, gdy ruszyliśmy w stronę działu motoryzacyjnego, gdzie leżał Brayden.

Wyciągnął z kieszeni jakiś świstek.

Lista.

– Mamy: jedzenie, wodę, apteczkę, zapasowe ubrania, kosztowności na wymianę...

Usłyszeliśmy szczekanie Luny.

– Cholera – syknął. – Potrzebujemy karmy dla psa.

– Max – zawołałem. – Jedzenie dla Luny!

Chłopiec skinął głową i popędził do działu z produktami dla zwierząt.

A Niko czytał dalej:

– Maski, płachty brezentowe, liny, zapalki, plecaki, olej, noże, pistolet, naboje.

Spojrzał na mnie.

– Co jeszcze?

Lista była imponująca.

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy – przyznałem.

Sahalia była z Braydenem. Już od jakiegoś czasu przejęła opiekę nad nim i miałem wrażenie, że robi się pod tym względem zaborcza.

Miała już na sobie kilka warstw ubrań i właśnie usiłowała wcisnąć na Braydena parę ciuchów.

– Pomożemy ci – powiedziałem.

Niko miał rację. Brayden był rzeczywiście zielony.

Tak ostrożnie, jak tylko się dało, włożyliśmy mu zapinane z przodu bluzy z kapturem. Niko jakoś poradził sobie ze spodniami od dresów.

– Brayden – powiedział do niego cicho. – Przeniesiemy cię teraz do autobusu.

Brayden nie zareagował. Był wilgotny i bezwładny.

– Przesuńmy cały materac, dopiero potem go uniesiemy.

We trójkę dopchaliśmy materac do autobusu.

I cały czas się zastanawiałem, co mam, do cholery, zrobić.

Na drugim fotelu Josie przygotowała już dwa koce dla Braydena.

Z Nikiem, Josie, Sahalią i Alekssem unieśliśmy rannego niezgrabnie i zapakowaliśmy do autobusu. Nawet zrobił kilka kroków, gdy go trzymaliśmy w pionie, ale potem osunął się bez sił na fotel.

– Jedziemy po pomoc dla ciebie, Brayden – szeptała do niego Sahalia. – Już niedługo lepiej się poczujesz.

Gdy Niko i ja wychodziliśmy z autobusu, spytała jeszcze:

– Mamy coś przeciwbólowego? I antybiotyki?

– Cały pojemnik – zapewnił Niko.

Sahalia naprawdę bardzo wydozrosłała w ciągu ostatnich dni.

Gdybym tylko był twardzielem i milczkiem – z tych, co to nigdy nie

płaczą i nie okazują emocji...

Ale zobaczyłem, jak mój brat i Astrid zabierają się do zdejmowania dodatkowych osłon z bramy, i łzy stanęły mi oczach, a wszystko stało się zamazane i błyszczące.

Mój kochany, poważny, mądry braciszek.

Jak mogłem mu to zrobić?

– Nie zdejmujcie zabezpieczeń, póki wszyscy nie będziemy w ubraniach i maskach! – polecił im Niko.

– Rany, a co z bramą? – jęknąłem, odwracając się do

Nika.

– Rozpracowałem ją. Umiem ją otworzyć – powiedział Alex.

Pokiwałem głową i odwróciłem się, żeby nie zobaczył moich łez i rozpaczy.

Pozostali już byli w rozlicznych ubraniach. Maski mieli w rękach. Sahalia też wyszła z autobusu po maskę.

Wszyscy byli gotowi.

– Gdzie Chloe? – spytał Niko.

– Była bardzo śpiąca, więc zaniósł ją do autobusu – powiedziała Josie.

Wyglądało na to, że tabletki nasenne dość szybko podziałały na ośmiolatkę.

– Alex, możemy porozmawiać? – poprosiłem.

– Tu są twoje ciuchy, Dean. – Josie podała mi naręczę dresów. – No i mam twoje „witaminki”.

– Też chcę witaminki! – zawołała Caroline.

– I ja! – dołączył Henry.

Josie ich jakoś uciszyła.

– Alex, muszę z tobą porozmawiać – powtórzyłem.

– Możecie pogadać w autobusie – syknął Niko, który wkładał właśnie

swoje ciuchy. – Ubieraj się.

Obejrzałem się na Astrid. Josie pomagała jej się ubierać, naciągała jej kolejne bluzy przez głowę i pomagała rozprostować rękawy.

– No, Astrid, w ogóle mi nie pomagasz – zbeształa ją. Astrid płakała. I posłała mi błagalne spojrzenie ponad głowami naszych krzątających się przyjaciół. Naszych najlepszych przyjaciół. Naszej rodziny.

– Nie – powiedziałem. – Nie jadę.

Głowy wszystkich się odwróciły.

– Astrid i ja zostajemy.

Josie spojrzała Astrid prosto w oczy.

– O czym on mówi? – spytała.

Astrid pokiwała żałośnie głową.

– To nie jest zabawne, Dean – zdenerwował się Alex. Wziął bluzę, którą trzymała Josie, i wcisnął mi w rękę. – Ubieraj się!

– Zostajemy – powtórzyłem.

– Nie, nikt nie zostaje! – ryknął.

– Musimy.

– Musicie jechać! – darł się Alex. W oczach miał łzy. Jego usta zacisnęły się w cienką linię.

– Nie powinniśmy w ogóle wsiadać do autobusu. Stanowimy zagrożenie – powiedziałem.

– Niko, powiedz im, że muszą jechać! Każ im jechać!

Niko się ubierał.

– Niko! – wrzasnął Alex. – Każ im jechać!

– Nie – powiedział Niko. – Mają rację. Tak będzie bezpieczniej dla nich i dla nas.

Alex zawył i uderzył Nika. Potem odwrócił się i rzucił na mnie.

Chwyciłem go i mocno przytuliłem.

– Alex, posłuchaj – błagałem. – Odnajdziesz rodziców.

– Nie.

– No i będziesz wiedział, gdzie jestem. Po prostu po mnie przyjdziecie.

– Błagam, Dean. Jedź z nami!

– Powinniśmy zostać. Tak będzie bezpieczniej dla nas i dla was – powtórzyłem argument Nika.

– Zostajesz... – Z trudem łąpał oddech. – Zostajesz... – Odepchnął mnie i otarł rękawem smarki. – Zostajesz dla jakiejś dziewczyny! – wydarł się. – Wybierasz ją zamiast mnie! Zamiast mamy i taty! – Odsunął się jeszcze bardziej. – Tak ją kochasz, że już nigdy nie zobaczysz własnej rodziny! Nienawidzę cię!

Obrócił się na pięcie i wszedł do autobusu.

– Alex! – krzyknąłem za nim, łzy płynęły mi po twarzy.

Niko położył mi rękę na ramieniu. Miał już na sobie wszystkie warstwy ubrań.

– Skoro zostajecie, musimy znaleźć jakiś inny sposób na otwarcie bramy – powiedział. – I uważam, że Chloe też powinna z wami zostać.

Spojrzałem na Astrid, a ona pokiwała głową.

– Nie spodoba jej się to – mruknęła Josie.

Będzie wściekła, gdy się obudzi.

Ale prawda była taka, że z nami będzie bezpieczniejsza, a pozostali będą bezpieczniejsi bez niej.

Wyniosłem jej ciepłe, ciężkie ciało z autobusu i położyłem na brudnym materacu Braydena.

– Czy któreś z was jeszcze nie chce jechać? – spytał Niko dzieci.

Milczały.

Patrzyły na nas przerażonymi oczami. Kurczowo zaciskały paluszki na maskach przeciwgazowych.

Żadne się nie zgłosiło.

Zdjęliśmy jedynie środkowe zabezpieczenia. Te z boku mogły zostać, bo autobus potrzebował tylko środkowych drzwi, żeby wyjechać.

Po całej tej szopce i tak musieliśmy się z Astrid ubrać i włożyć maski, bo wiedzieliśmy, że chemikalia przecież dostaną się do środka.

Będziemy musieli potem jak najszybciej znów zamontować osłony.

– Pośpieszcie się – ponaglał Niko dzieciaki. – Pożegnajcie się i zaraz wsiadajcie. Nie możemy marnować czasu.

Max, Batiste, Henry i Caroline rzucili się w naszą stronę. Uściskaliśmy się serdecznie. Poczułem, że ktoś mnie ciągnie za grube od warstw rzeczy ramię.

Ulysses. Wcisnął mi w dłoń smycz Luny.

– Zatrzymać Luna – powiedział. – I nie zapomniewać o mnie.

Przytulił się mocno i wsiadł do autobusu.

Pożegnanie rozdzierało mi serce.

Bliźniaki płakały. Tuliły się do mnie, póki Josie ich nie oderwała i nie posłała do autobusu.

– Ale Dean – wołała Caroline. – Musisz z nami jechać. Jesteś naszym najulubieńszym kolegą!

– Przykro mi, Caroline. Muszę zostać i dbać o bezpieczeństwo Astrid i Chloe.

– Dasz Chloe buziaka od nas?

Po jej piegowatych policzkach płynęły łzy. To była męczarnia.

Alex siedział z przodu autobusu niedaleko Braydena. Nie patrzył na mnie. Niko poszedł, żeby z nim pogadać, ale Alex nie chciał wyjść. Nawet nie chciał pomóc przy bramie. Przekazał tylko Nikowi instrukcje co do jej obsługi, żeby ten mógł objaśnić je Astrid.

– Więc kiedy usłyszysz trąbkę – mówił jej teraz Niko – to będzie oznaczało, że masz nacisnąć przycisk podnoszenia bramy, ale tylko tej

środkowej. Kiedy usłyszysz drugi sygnał, musisz wcisnąć przycisk jeszcze raz, żeby opadła.

Astrid pokiwała głową.

– Przepraszam, Niko – powiedziała. – Tak mi przykro, że nie możemy z wami jechać.

– Wiem – mruknął.

– Byłeś wspaniałym przywódcą – stwierdziła.

Nie mogłem znieść tej ich rozmowy. Wszystko brzmiało tak ostatecznie.

– Powodzenia – rzucił Niko.

– Nawzajem.

I Astrid poszła czekać na sygnał.

Silnik był już włączony.

Josie i Sahalia stały w maskach.

Trzeba było już tylko zdjąć zabezpieczenia i zatrąbić na znak, żeby Astrid podniosła bramę.

– Zaczekajcie! – krzyknąłem.

Wpadłem na pewien pomysł. Odwróciłem się i pobiegłem.

– Dean! Musimy już jechać!!! – wrzasnął Niko.

Pędziłem przez sklep.

W poszukiwaniu tego, co było mi potrzebne.

Wróciłem zasapany.

Josie i Sahalia już były w autobusie. Zaprzepąściłem szansę, żeby się z nimi pożegnać. Nieważne.

Wskoczyłem po schodach do autobusu.

Siedział tam. Na pierwszych siedzeniach.

– Alex, weź to – powiedziałem.

Podąłem mu pusty dziennik, taki sam jak mój, i pudełko długopisów.

– Weź to i spisuj wszystko, co się dzieje. Pisz o wszystkim. Pisz do mnie.

Opowiadaj mi.

Łkał, gdy wyciągał rękę w warstwach dresów. Przytuliliśmy się.

– Dzięki temu będę wiedział, co się z tobą dzieje – dodałem.

– Będę pisał – przyrzekł. – Obiecuję.

Niko i ja odkręciliśmy ostatnie śrubki.

Luna była przywiązana do stołu w kuchni. Chloe leżała na nadmuchiwanym materacu.

Wszystkie dzieci były już przypięte pasami.

Stałem po jednej stronie bramy, a Niko po drugiej. Pociągnęliśmy i cztery ostatnie osłony spadły z hałasem. Odciągnęliśmy je z drogi.

Josie stała na schodkach autobusu. Czekwała, aż opadnie sklejka. To był znak.

BUUU! Zawyla jej trąbka. Odrzuciła ją na bok.

Ale przecież pod sklejką były jeszcze koce i warstwy plastikowych zasłon. Zupełnie o tym zapomniałem.

Sięgnąłem, chcąc zdjąć koce.

Ale brama już głośno, mechanicznie turkotała. Za późno.

Unosiła się, szarpiąc i jęcząc z powodu tych wszystkich koców i płacht, ale jednak uparcie szła w górę.

Zobaczyliśmy mroczny parking. Pokruszony asfalt. Zniszczone samochody. Plamy światła w oddali – latarnie na autostradzie.

Świat.

Tak długo byliśmy od niego odcięci.

Zaryczał silnik. Niko wrzucił wsteczny i wycofał na parking.

Autobus jechał! Był sprawny.

Niko zatrąbił.

Wiedziałem, że w środku pewnie krzyczą słowa pożegnania, może płaczą, ale nic nie słyszałem...

Odjeżdżali. Bez nas.

Walnąłem w trąbkę. BUUU!

Autobus jechał dalej po parkingu.

Ale nagle się zatrzymał. Drzwi się otworzyły.

Co jest?

Dwie okutane postacie wyskoczyły ze środka i zaczęły nieporadnie biec w moją stronę.

Serce skoczyło mi do gardła. Nerwy miałem w strzępach.

Popędziłem z wyciągniętymi ramionami ku grubo ubranym postaciom, kimkolwiek były.

Za mną zaczęła opadać brama.

Biegłem do dzieci i ślizgałem się na mokrym, lepkiem chodniku. Przeskakiwałem nad szczelinami, usiłując się nie przewrócić.

Podniosłem maluchy i pomknąłem z powrotem do sklepu. Brama już się zamykała, już odcinała światło z Greenwaya. Prawie nie było widać kuchni, kas, pustych wózków czekających w rzędzie.

Pchnąłem dzieci na ziemię i przecisnąłem po kolei pod bramą.

Potem sam się wczołgałem. Ubrania – liczne warstwy – krępowwały mi ruchy. Brama zaciskała się na mojej piersi. Dzieci ciągnęły mnie z całych sił, próbując pomóc mi przedostać się do środka.

Przetoczyłem się jakoś do sklepu.

Pod bramą zakleszczył się trampek, ale udało mi się wyrwać stopę, tak że but został na zewnątrz.

Byliśmy w środku. Z powrotem w domu. Naszym sanktuarium komercji. Z dala od ponurego, straszego, prawdziwego świata. W naszym Greenwayu.

Dzieci zdjęły kominiarki i maski przeciwgazowe. Byli to Caroline i Henry.

– Chcemy zostać z tobą – powiedziała Caroline.
– Przy tobie jesteśmy bezpieczni – dodał Henry.
– Możemy? – spytała Caroline i uniosła ku mnie brudną, zalaną łzami buźkę.
– Oczywiście – zapewniłem. – Oczywiście, że możecie.
Z magazynu wyszła Astrid.
– Och! – krzyknęła na widok dzieci.
Podbiegły do niej.
Przykucnęła i obsypała ich twarzyczki pocałunkami. Po prostu ujęła w dłonie ich małe, brudne buzie i całowała. Potem przytuliła je mocno.
Spojrzała na mnie ponad ich głowami i przytuliłem się do nich.
Alex odjechał.
A z nim Niko, Josie, Brayden i reszta.
Jake odszedł.
Ale mieliśmy Caroline, Henry’ego i Chloe.
Mieliśmy siebie nawzajem.
Było nas pięcioro.

PODZIĘKOWANIA

Z całego serca dziękuję mojej agentce Susannie Einstein, która wspierała Monument 14 od chwili, gdy zdradziłam jej pierwszy zarys pomysłu, aż po tę wersję, którą właśnie przeczytaliście. Jean Feiwel, mojej redaktorce i wydawcy, dziękuję za wizję i zapał, z jakim zrobiła z Monument 14 najlepszą książkę, jaką się dało. Mam wielkie szczęście, że mogę z tobą pracować. Holly West dziękuję za to, że tak się zachwyciła tą książką i z takim oddaniem się nią zajęła.

Wielkie podziękowania dla Gregoryego Casimira i dla Vinny'ego z Target za całą ich wiedzę. Dziękuję także skautom ze stanu Nowy Jork, których poznałam na pikniku kowbojskim w Colorado Springs. Wasza otwartość, inteligencja i uczciwość sprawiły, że postanowiłam, iż Niko też będzie skautem. Mam nadzieję, że będziecie z niego dumni.

Na podziękowania zasłużyli także Jane i Bob Stine, dzięki którym mogłam napisać moją pierwszą książkę. Bill Gifford,

Terry Culleton, Richard Walter i Howard Suber byli wspaniałymi pedagogami, którzy w istotny sposób na mnie wpłynęli, i bardzo bym chciała, żeby o tym wiedzieli.

Marino Dominguez, nigdy nie zdołałabym wrócić do pisania, gdyby nie twoja pomoc przy dzieciach.

Na podziękowania zasłużyli sobie oczywiście także moi pierwsi czytelnicy: Amy Baily, Cate Baily, Andrew Bair, Kristin Bair, Wendy Shanker i Kevin Maher, oraz moi niestrudzeni czytelnicy od zawsze: Kit i Gerry Laybourne (moi najukochańsi rodzice).

Dziękuję Patricii Hasegawie i grupie Parent Your Dream. Dziękuję Warriors. Dziękuję Heartless Floozies. Mojej kochanej grupie e-mailowej. (Wygląda na to, że nie mogę żyć bez grup). Mam wielkie szczęście, że was wszystkich mam!

– Gregowi – dziękuję za to, że jest moim orędownikiem bohaterem.

Spis treści

MONUMENT 14. ODCIĘCI OD ŚWIATA

Dedykacja

Plan

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Podziękowania](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Monument 14*

Copyright © 2012 by Emmy Laybourne
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt okładki: Rich Deas

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Sławomir Folkman

Ilustracja na okładce: Kathleen Breitenfeld

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Monument 14. Odcięci od świata, wyd. I, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-286-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl



MONUMENT 14

NIEBO W OGNIU

EMMY LAYBOURNE

